

Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2021/2022

# Antologia tekstów



**kbf:**  
operator programu





# Wstęp

Szanowni Państwo, Drodzy Wydawcy,

jako aktywni czytelnicy i czytelniczki doskonale wiemy, że dobra literatura potrafi zagwarantować nam nie tylko estetyczne i intelektualne uniesienia, lecz także szereg wyzwań, począwszy od samej lektury aż po krytyczną refleksję łączącą słowo pisane z własnym życiem. Wyzwania te są jednak nieporównywalnie łatwiejsze, kiedy możemy zatopić się w lekturze i o niej porozmawiać, niż gdy sami tworzymy rzeczywistość od podstaw. Tylko ci najodważniejsi postanawiają pójść o krok dalej i wkroczyć na drogę pisarstwa.

Taką ścieżkę wybrało dziesięcioro autorów i autorek, których teksty prezentujemy w niniejszej antologii. Podczas trwającego pięć miesięcy Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO cierpliwie szlifowali swoje debiutanckie powieści i opowiadania pod czujnym okiem znakomitych redaktorów – Filipa Modrzejewskiego i Pawła Goźlińskiego.

Nie mam wątpliwości, że pomysły, które kiełkowały podczas regularnych spotkań od

września 2021 roku do stycznia 2022 roku, z czasem przemienią się w pełnowymiarowe powieści i opowiadania obecne na księgarskich półkach. Nasuwają się tylko dwa pytania: Jakie historie w nich odnajdziemy? Kiedy weźmiemy książki do ręki?

W przypadku pierwszego z nich odpowiedź jest prosta – narracje te są tak rozmaite, jak różnorodna jest wyobraźnia naszych absolwentów. Państwa uwadze polecam wszystkie historie, a w szczególności trzy teksty, które organizatorzy postanowili wyróżnić w sposób szczególny – za walory literackie, wyjątkowy pomysł i łatwość w przelewaniu myśli na papier.

Autorką pierwszego wyróżnionego tekstu jest **Marta Biłobran**. Trzy czwarte to zbiór historii opowiedzianych z perspektywy narratorki pochodzącej z rodziny alkoholowej. Wyjątek stanowi pierwsze opowiadanie ukazujące galerię postaci uwikłanych w nałóg. Bezimienna bohaterka, panna Nikt, zabiera nas do świata jej uzależnionych bliskich. Nie ma tam miejsca na dialog i pojednanie. Jest za to emocjonalna pustka, z którą trzeba sobie poradzić. Filip Modrzejewski podkreślił, że jest to „dojrzałe i subtelne pisanie o trudnym, poważnym temacie”.

Kolejnym wyróżnionym jest **Kamil Kosowski**. Jego *Wcześniejszy wyjazd* to opowieść prowadzona w pierwszej osobie, osadzona gdzieś na pograniczu Śląska i Małopolski. Główny bohater uciekł kiedyś ze świata dzieciństwa – pełnego ludzi i książek, ale też skupionego wokół kopalni. Teraz powraca z aparatem i notesem w rękę, by ocalić nie tylko to wyjątkowe dla niego miejsce, ale także samego siebie. Kamilowi Kosowskiemu udało się stworzyć „prozę faktu, która elektryzuje i z miejsca zaciekawia, balansując między różnymi gatunkami, w tym tymi nieliterackimi” – zauważają jurorzy.

Trzeci z wyróżnionych tekstów to fragment powieści *Nieboskie*. Autorka – **Joanna Łępicka** – w centrum opowieści umieściła Natalię. Życie bohaterki wkracza na inne

tory, gdy nieoczekiwane spotkanie ożywia legendy i sny. Według redaktorów Kursu Pisania Powieści KMLU powieść *Nieboskie* zasługuje na szczególną uwagę ze względu na „świetny pomysł na świat przedstawiony i problematykę związaną z domem »pod granicą«, a przede wszystkim za wyczuwalny styl, pisanie z wyobraźni i wkładanie wysiłku w pracę ze słowem i jego brzmieniem”.

Przedstawione wyżej pozycje to wybrane debiutanckie opowieści spośród dziesięciu historii naszych absolwentów. Zapraszam Państwa do lektury wszystkich tekstów zamieszczonych w tej antologii. Zainteresowanych współpracą wydawców serdecznie zachęcam do kontaktu z organizatorami Szkoły Pisania KMLU.

Odpowiedź na drugie pytanie o publikację niniejszych opowieści pozostawiam już w Państwa rękach.

**Oliwia Fryc**  
Koordynatorka Szkoły Pisania  
Krakowa Miasta Literatury UNESCO

**2 Wstęp****6 Teksty wyróżnione**

- 7 Marta Biłobran – *Trzy czwarte*
- 16 Kamil Kosowski – *Wcześniejszy wyjazd*
- 25 Joanna Łepicka – *Nieboskie*

**35 Pozostałe teksty**

- 36 Olga Górka – *Nie wszyscy pójdziemy do raju*
- 58 Bartosz Gromek – *Wyprawa marzeń*
- 68 Tomasz Jedoń – *Dzienniki Jętki*
- 80 Monika Mańka – *Świt*
- 106 Adam Pawłowski – *Niepewność*
- 117 Agnieszka Rynkowska – *Laleczka*
- 138 Wojciech Wróbel – *Skargowie*

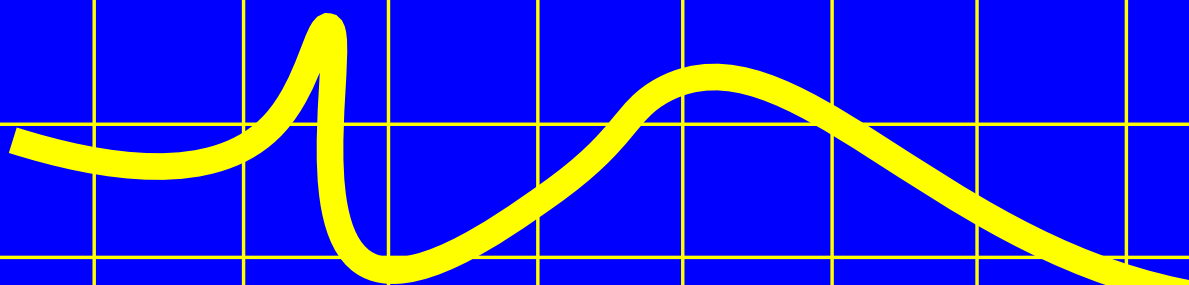
**157 O autorach****161 O Szkole Pisania Krakowa  
Miasta Literatury UNESCO**

# Teksty wyróżnione

*Marta Biłobran – Trzy czwarte*

*Kamil Kosowski – Wcześniejszy wyjazd*

*Joanna Łepicka – Nieboskie*



---

Rekomendacja organizatorów kursu

---

Marta Biłobran | *Trzy czwarte*

---

**Wyróżnienie przyznane za dojrzałe i subtelne pisanie o trudnym, poważnym temacie, który jest i będzie aktualny, a w tekście Marty Biłobran być może został ujęty najciekawiej i najlepiej. *Trzy czwarte* ma rozpadać się na opowiadania, być zbiorem próz – i to jest bardzo obiecująca myśl. Tekst autorki zasługuje na wielki kredyt zaufania.**

# Trzy czwarte

## Marny

Tuk-tuk, tuk-tuk – słychać było koła zbliżającego się pociągu.

Miarowy dźwięk rozchodził się w jego głowie, powodując coraz większy spokój. Leżał pijany na torach i czekał na osobowy Warmia z Warszawy do Olsztyna. Pociąg był już naprawdę blisko, kiedy Marny poczuł nagłe szarpnięcie. Wzbił się bezwładnie w powietrze, a potem runął na nasyp i sturlał się z niego w silnym uścisku z dróżnikiem Rydzewskim.

– Ty debilu głupi, kretynie! – darł się dróżnik, podnosząc się znad niedoszłego nieboszczyka. Chcesz się zabić, to się zabij! Do lasu idź, na drzewo, a nie Bogu ducha winnym ludziom chcesz kłopotu narobić!

Rydzewski otrzepał spodnie, wyprostował się i splunął tuż obok głowy Marnego. Wolnym krokiem ruszył w kierunku dróżniczej budki, w której zostawił telefon. Trzeba zadzwonić po pomoc.

Tymczasem Marny starał się zmienić swoje niewygodne położenie, próbował wstać, ale połączenie między mózgiem a kończynami najwyraźniej nie działało poprawnie i kołysał się raz w prawo, raz w lewo, aż od tego kołysania wpadł w letarg. Leżał teraz na wznak i patrzył w niebo, a z nieba zaczął padać długo wyczekiwany śnieg. Płatki spadały na jego okrągłą twarz niczym Chrystus pod postacią chleba. Otworzył usta, wysunął język, jakby chciał przyjąć ostatnią komunię.

\*

Nic nie pasowało do niego tak dobrze jak ksywa. Ani spodnie od garnituru z za długimi nogawkami, ani przykusa koszula. Ani miejsce, z którego pochodził, ani miejsce, do którego zmierzał.



Za to „Marny” pasowało do niego jak ulał. Marne miał wykształcenie, marny miał charakter, a i wszystko czego się tknął, zawsze szło na marne.

Podklejoną podeszwę w bucie sprawdzał tuż przed wyjściem do kościoła i trzymała się. Ale kiedy przyklęknął przy ołtarzu, klej puścił i z dziury w bucie wylał się wstyd. Wstyd palący, który natychmiast zabił w Marnym wcześniejszą obietnicę trzeźwości. O ile do tej pory wmawiał sobie, że łaskotanie z tyłu głowy potrafi ignorować, tak teraz miał doskonały powód, żeby na stypie po babci chlapnąć kilka głębszych.

Wstał przed ołtarza i ruszył w kierunku ostatniej ławy. Starał się zachować powagę, jednak bawiły go wznoszone w głowie toasty, a każdy toast miarowo zlewał się z kłapaniem oberwanej podeszwy.

– Klap-chlap! – za świętej pamięci babcię, co na świat wydała pięcioro potomstwa. Trzech synów i dwie córki, a każde z nich rywalizowało w liczbie opróżnianych flaszek i czynionych w związku z tym głupot. Konkurencję, w wieku lat niespełna czterdziestu, wygrał najmłodszy z braci, wieszając się na pasku od munduru konduktora PKP.

– Klap-chlap! – za świętej pamięci dziadziusia, który karmił koty przy stole, a potem wypraszał je z domu za pomocą dętki, na stałe dyżurującej przy drzwiach przedwojennej chałupy.

– Klap-chlap! – za ojca, Króla Ryszarda bez serca, co kazał się w sygnet całować, dopóki sygnet ten nie trafił do lombardu na wieczne niewykupienie, wódki zakupienie, przepicie, wesole życie. Z sygnetem czy bez, ręka zawsze gotowa była do egzekwowania obowiązków poddanych wobec Jego Królewskiej Mości.

– Klap-chlap! – za matkę, mamę, mamusię, starą pijaczkę, Królową Elżbietę, absolutną gwiazdę detoksów, odwyków, wszelkiej maści terapii. Artystkę od dostojnego picia winka małymi łyżkami i spektakularnego rzygania mieszaniną wina, ginu i żółdkowej gorzkiej. Miał piętnaście lat, kiedy zaczęła pić, a i on wtedy stawiał pierwsze kroki na ścieżce alkoholowej kariery.

– Klap-chlap! – za jego dzieci, dwie opasłe księgi, w które zamiast słów wkładał ciastka i batoniki, żeby ukoić wyrzuty sumienia po każdym wypitym piwie. Aż w końcu matka wywiozła je do Anglii czy Irlandii, już sam nie wie, głowy nie ma do tej zagranicy. Z zagranicy to on tylko Finlandię.

– Klap-chlap! – za siostrę, panią Nikt, co nikt jej nie obchodzi i nikt o niej nic nie wie. Ze wszystkich uroczystości swoją obecnością usświetnia jedynie pogrzeby, jakby szacunek należał się jedynie martwym członkom tej rodziny.

Dotarł do swojej ławy podekscytowany na myśl, że pogrzeb niedługo się skończy, a on ostatni raz w życiu się upije. A potem pożegna alkohol. Najlepszego przyjaciela, wiernego kumpla, który zawsze był, który dodawał mu odwagi, odganiał wstyd i sprawiał przyjemność, a jednak wszystkim wokół przeszkadzał. Jutro wytrzeźwieje, przeprosi kierownika za przychodzenie do roboty na kacu, odda kolegom, co pożyczył, do dzieci zadzwoni, może tym razem będą chciały z nim gadać. Wszystko naprawi. Ale jeszcze dziś...

\*

Marny żegnał się z alkoholem wiele razy, aż w końcu uznał, że to nie alkohol powinien odejść. Starał się, zrobił, co należy, a tu znowu pech!

Leżał teraz na ziemi, śnieg lekko osiadał na jego ubraniach, ale na twarzy roztapiał się i spływał wąskimi stróżkami. Sam nie wiedział, czy to śnieg, czy łzy. Czekał.

Za chwilę od strony błyskających świateł karetki podejda ratownicy i zapakują jego bezwładne ciało na nosze. Na kolejowym nasypie zostaną równo ustawione skórzane buty. Zostawił je tam, żeby nie zniszczył ich pociąg.

### **Medalik**

Codziennie przychodziłam w porze, w której niewielki pokój wypełniało światło zachodzącego słońca. Siadałam na twar-

dym, niewygodnym krześle wcisniętym w kąt, bo tylko tutaj było gniazdko, do którego mogłam podłączyć ładowarkę telefonu. Na zmianę czytałam wiadomości, przeglądałam media społecznościowe i oglądałam śmieszne filmiki z kotami. Przede mną na nowoczesnym szpitalnym łóżku leżał stary człowiek. Jego lewa ręka spoczywała wzdłuż ciała, prawą zaś zaciskał na złotym medaliku zawieszonym na szyi. Twarz z żółtej krepiny wykrzywioną miał w grymasie, który ktoś, kto go nie zna, wziąłby za grymas bólu. Ja jednak wiedziałam dobrze, że to złość odcisnęła trwałe ślad. Prawie bezgłośnie poruszał ustami i zdawać by się mogło, że się modli. Ale wystarczyło wsłuchać się w jego szept, żeby z porwanych płytkim oddechem sylab ułożyć zdania: „Po co tu przyszłaś? Idź stąd! Nic ode mnie nie dostaniesz!”.

Jego twarz łagodniała jedynie w obecności pielęgniarki. Nie dziwiło mnie to. Zawsze był uprzejmy dla obcych.

Przychodziłam codziennie. Na godzinę, dwie. Siadałam w kącie i nadrabiałam internetowe zaległości. Po prostu byłam, tak samo jak on był przez całe moje życie. Nieobecny, pochłonięty swoimi sprawami, zły, że w ogóle musiał być.

Tata.

Ojciec raczej.

Wyrzut sumienia.

Patrzyłam na niego tylko, kiedy zasypiał, kiedy nie mógł widzieć, jak mu się przyglądam. Czasem podchodziłam bliżej, ale wtedy, nawet przez sen, zaciskał mocniej dłoń na medaliku. Pamiątka po jego ojcu. Skarb. Jedyne, czego ani razu nie zastawił w lombardzie.

Dużą kwadratową blaszkę ze złota z wytłoczonym wizerunkiem cierpiącego Chrystusa nosił dziadek na grubym złotym łańcuchu. Skąd chłop z mazowieckiej wsi miał taki skarb, nie wiadomo. Nie rozstawał się z medalikiem nigdy, dlatego kiedy zmarł, postanowiono, że zostanie pochowany razem z nim. Jednak syn pierworodny nie mógł pogodzić się z taką decyzją i w tajemnicy zdjął nieboszczykowi biżuterię w dniu pogrzebu. Coś mu się od

ojca należało.

A co należało się mi?

Może wyjście do kina, jedna wigilia bez wódki na stole, słowo „kocham”, które pożyczyłam mu dawno temu, którego nigdy nie oddał?

Jaki był mój ojciec, zanim zniknął między jednym kieliszkiem a drugim?

Kim mógłby być, gdyby nie alkohol?

Pewnego dnia, kiedy pielęgniarka poprawiała mu poduszki, zdjął medalik z szyi i wsunął jej do kieszeni fartucha.

– To dla pani – szepnął.

– Ale ja nie mogę...

– Proszę – twarz wykrzywił w coś, co mogło przypominać uśmiech.

Kiedy wyszła, zdecydowanie za długo patrzyliśmy sobie w oczy.

Na umieranie wybrał dzień moich urodzin. Jedyne dni w ostatnim czasie, którego nie spędziłam w hospicjum.

– Pytał, czy pani przyjdzie, zanim... – pielęgniarka nie dokończyła zdania.

Z kieszeni fartucha wyjęła medalik. Przez chwilę patrzyła na twarz cierpiącego Chrystusa, po czym podała mi go w otwartej dłoni.

– Niech to pani zatrzyma – powiedziałam. – Przetopi na cztero-listną koniczynę albo inny symbol szczęścia.

Odwrociłam się i ruszyłam w stronę wyjścia. W głowie miałam tylko tę myśl, że ojca, którego do tej pory nie było, od teraz nie będzie naprawdę.

## Fotel

Najbardziej kojącym zapachem jest zapach moich suk. Ta czarna pachnie szaleństwem i wiatrem, ta żółta ciepłem i bezpieczeństwem. Ich futra są czyste i miękkie, ale nie zawsze tak było. Nasz świat składa się z dziesięciu nóg, trzech głów i dwóch ogonów. We trzy uwielbiamy jabłka, długie spacery i wieczory spędzane pod kocem. Każda z nas ma swoją historię, choć ich przeszłości mogą się jedynie domyślać.

Pojawiły się w dniu, w którym zniknęła moja matka. Biegły wzdłuż ulicy, chude i brudne.

– Chodźcie – powiedziałam – teraz wami będę się opiekować.

Zaprowadziłam je do weterynarza i sprawdziłam, czy mają czipy. Okazało się, że tak jak ja, nie należały do nikogo. W domu ta czarna od razu zajęła miejsce w sypialni. Wskoczyła na nieposłane łóżko i zwinęła się w kłębek na mojej poduszce. Ta żółta wybrała kanapę stojącą tuż przy oknie, przez które może obserwować wróble. Obie ominęły fotel, który niedawno zajmowała matka.

Oryginalny francuski fotel typu Ludwik któryś-tam matka dostała dawno temu w prezencie od ludzi, którzy uważali się za jej przyjaciół. Krzywe nóżki i szkaradne złote obicie kontrastowały z tanimi, prostymi meblami w skandynawskim stylu. Ale matka, kiedy przeprowadzała się do mnie, uparła się, że zabierze wszystkie swoje rzeczy. Szyte na miarę garsonki, biżuterię z bursztynów zakutych w srebrze i eleganckie słoiczki z kremami przeciwko starości. Oraz fotel. Siadała w nim wieczorami, na kolanach kładła laptopa i czekała, aż podam jej kanapki, których nigdy nie jadła. Potem czekała, aż wyjdę i stawiała pasjansa, dopóki mieszanka relanium i wódki nie zabierała jej w głęboki sen.

Codziennie rano zapewniała mnie, że to ostatni raz i codziennie wieczorem łamała tę obietnicę. Aż pewnego dnia zniknęła. Zniknęły też garsonki, biżuteria i kremy. Zostały puste butelki po alkoholu i fotel. Stał teraz w salonie i raził swoim niedopasowaniem. Denerwował suki. Kiedy przechodziły obok, jeżyło im się futro na grzbietach. Uznałam, że to może przez zapach i mebel należy wyczyścić.

Pan od prania tapicerki najpierw fotel odkurzył, a potem wtarł weń intensywnie pachnący proszek. Długo i cierpliwie czyścił drewniane elementy fotela. Potem znów uruchomił odkurzacz, który wciągnął cały proszek i resztki wspomnień.

– Jak nowy! – zachwalał swoją pracę.

I faktycznie, fotel wyglądał jak nowy. Jednak nie tak łatwo wyprać zło, które wsiąkało w niego latami. Wsiąkało, a teraz zaczęło unosić się w powietrzu wraz z intensywnym zapachem czystości. Osiadało sukcom na sierści, wdzierało w nozdrza. Ta czarna zaczęła wyludzać przysmaki jak matka pieniądze. Ta żółta, jak matka, stała się niemiła dla obcych ludzi. Coraz częściej powar kiwały na siebie.

Wyniosłam fotel do piwnicy. Jaśniejsza plama na dywanie i wygniecione w nim ślady po krzywych nóżkach natychmiast wypełniły się wyrzutami sumienia. Położyłam w tym miejscu legowisko, ale żadna z suk nie chciała z niego korzystać. Potem ustawiłam tam kwietnik, ale nawet najbujniejsze rośliny nie były w stanie zappełnić tej pustki. Przyniosłam więc mebel z portem, a on puchł, odbierał światło, wypełniał przestrzeń.

Coraz mniej czasu spędzałyśmy w domu. Zabierałam suki na długie spacer, bo tylko na zewnątrz mogłyśmy cieszyć się swoim towarzystwem. W mieszkaniu unikałyśmy fotela i siebie nawzajem.

Aż w końcu suki pogryzły się. Tej czarnej krwawiło ucho, ta żółta miała ranę na kufie. Nadszedł czas na ostateczne rozwiązanie kwestii fotela.

Tego dnia osiedlowy dostawca internetu miał jakieś problemy techniczne, więc zdjęcia na portalu z ogłoszeniami dodawały się wyjątkowo wolno. Wpisałam treść ogłoszenia i kliknęłam „wyślij”. Chwilę później na ekranie wyświetlił się tekst „Sprzedam dwupokojowe mieszkanie. Oryginalny francuski fotel gratis”.

# Marta Biłobran:

Trzy czwarte to dobra pojemność, ekonomiczna, choć tych rozmiarów butelkę alkoholu trudno ukryć. *Trzy czwarte* to też tytuł zbioru opowiadań o pijącej części czteroosobowej rodziny. Bezimienna narratorka, nazywana przez brata panią Nikt, opisuje relacje w alkoholowej rodzinie z perspektywy osoby trzeźwej, ale obciążonej syndromem DDA.

Zbiór otwiera opowiadanie pt. *Marny*, jedyne prowadzone w trzecioosobowej narracji, mające na celu ukazanie galerii postaci, z których część będzie bohaterami kolejnych opowiadań. *Marny* to historia mężczyzny, który z powodu ciągłych niepowodzeń postanawia zakończyć życie pod kołami pociągu. Nie udaje mu się to. Kiedy leży na kolejowym nasypie, wraca pamięcią do dnia pogrzebu babci. W ten sposób czytelnik poznaje rodzinę i sytuację życiową Marnego.

*Medalik* to opowiadanie o trudnej relacji między uzależnionym od alkoholu ojcem a córką, która odwiedza go w hospicjum. Wzajemne pretensje nie pozwalają im na dialog i choćby próbę pojednania.

W opowiadaniu pt. *Fotel* znika matka narratorki, zostawiając po sobie jedynie fotel i puste butelki po alkoholu. Narratorka próbuje poradzić sobie z emocjonalną pustką na różne sposoby. Przygarnia dwa bezpieczne psy. Stają się one osiłą jej życia i motorem do zmian.

---

Rekomendacja organizatorów kursu

---

Kamil Kosowski | *Wcześniejszy wyjazd*

---

**Wyróżnienie przyznane za znakomity pomysł na prozę faktu, która elektryzuje i z miejsca zaciekawia, balansując między różnymi gatunkami, w tym tymi nieliterackimi.**

**Zachwyca fabuła *Wcześniejszego wyjazdu* ze zbeletryzowanymi dziejami kopalni i opowieścią o pewnym miasteczku w tle. Aż chce się zanucić za narratorem słowa: „Janina, Janka, Janeczka” i wyobrazić sobie postapokaliptyczny pejzaż rodem z Houellebecq.**



# Weześniejszy wyjazd

## fragment

Tego dnia, gdy mój dziadek szykował się na ostatnią swoją barbórkę, spadł śnieg, gęsty taki, jakby kto kaczkę bitą u góry skubał i to pierze bieluchne na ziemię leciało.

W tamto grudniowe popołudnie siedziałem w jego fotelu, w dłoniach miętosilem być może figurki kowbojów lub Indian i patrzyłem, jak dziadek zakłada galowy mundur górniczy, co pod kluczem trzymał na co dzień w swej szafie. Chude już od wieku ciało odziewał białą koszulą, zapinał starannie guziki, wywijał mankiety przydługich rękawów, a na obleczone kalesonami nogi wciągał spodnie uszyte z czarnego sztywnego materiału, po latach dowiedziałem się zaś, że materiałem tym była krepa. Spodnie z czarnej sztywnej więc krepy ścisnął wytartym skórzanym paskiem, ścigał z drewnianego wieszaka uszytą z tej samej tkaniny marynarkę i narzucał ją sobie na ramiona. W tamtym momencie w pokoju słychać było pobrzękiwanie medali – krzyżyków i kólek powieszonych u piersi na różnokolorowych wstążkach, a ja uśmiechnąłem się na to pod nosem.

– Dzwonisz jak ministrant na podniesienie, dziadek.

Dziadek zmierzył mnie wtedy surowo, nie lubił tych moich kościółkowych nawiązań, tak jak nie lubił później, kiedy służyłem do mszy, ale nie powiedział mi z początku nic na to pokpiwanie, jak to on, że „Trzym lepiej gębę, synek” albo „Idź, ty wisusie, do ksiązek, aby tam popatrz”. Po chwili odezwał się jednak, żebym spojrzał, czy mu pelerynka od tej górniczej

marynarki na plecach równo się ułożyła, powiedziałem, że równo, a dziadek mruknął, że dobrze, i zapinać zaczął złote guziki – te dziewięć, dziś wiem, że knefli, w równym kneflowym ich rzędzie. Poprawił aksamitny kołnierz, tak by koszula na szyi ledwie spod niego wyzierała. Zbliżył się następnie do otwartych drzwi szafy, gdzie po ich wewnętrznej stronie powieszono było niewielkich rozmiarów lustro, nachylił doń twarz, z uwagą przyjrzał się kołnierzowi i potarł palcami haftowane na jego zejściu godła, jakby chciał sprawdzić, czy złoty odcień nici przez lata nie zmatowiał i pozostał ten sam.

– Się mieni pięknie – powiedział to dziadek chyba do siebie, a później sięgnął do szafy, do której ja też co jakiś czas niecierpliwie z fotela zerkałem, i wyjął z niej czako zdobne w białe kogucie pióra. Założył to czako na głowę, lecz do lustra więcej nie spojrział. Miał przecież pewność, tyle razy je nosił, widziałem na zdjęciach, jak chodził w pochodach czy stał wyprostowany w tej czapce w grupach kopalnianych prominentów. Wzwał następnie buty, zasznurował nawet zgrabnie niezgrabnymi już przecież palcami, a na dłonie te założył wreszcie białe płócienne rękawiczki, które dopełniły całości munduru. Widziałem, że się waha, ale po szpadę nie sięgnął, być może nie miała mu być tamtego dnia potrzebna, machnął na nią ręką i zostawił w szafie. Przed samym wyjściem odwrócił się jeszcze do mnie i powiedział:

– Idę. Jakby babka pytała, to jej powiedz, że mnie młody Miziołek przywiezie. Nie wiem o której. I niech nie dzwoni jak wtedy na stołówkę, bo i tak z sali do telefonu nie pójdę.

Babka krzątała się w tym czasie pewnie wele krowy w przybudówce. Zazwyczaj sypał łaciatej dziadek, gnój ciepłał spod niej dziadek, ale tego dnia dziadek miał święto, ubrał się w mundur i założył strojną w kogucie pióra czapkę, nie mógł więc w najlepszych butach deptać po obszczonej krowim moczem słomie.

Nie wiem, co robiła wtedy matka. Obszywała może nowe obrusy w tym pokoju, co po Ryśku został na górze. Może obszywała je na swoje imieniny, bo było jej właśnie Barbara, patronka górników. Takie imię wybrał jej dziadek, tak jak wybrał jej jeszcze wiele

innych rzeczy, o czym dowiedziałem się później, kiedy sama mi powiedziała, że ona skrycie marzyła, by mieć na imię Florencja. Czasem na czwartego grudnia zapraszała jeszcze wtedy gości, piekła drożdżowe placki i smażyła naleśniki, które faszerowała mięsem i zawijała w foremne kromki. Gotowała warzywa, by posiekać je następnie w kosteczkę, wsypać do emaliowanej miednicy, dołożyć z puszki zielonego groszku i wymieszać z majonezem. Chciała zatem to wszystko postawić przed ludźmi na nakrytym białym obrusie stole, choć nie do końca białym, bo haftowała matka te obrusy kordonkiem i muliną w kolorowe kwiatowe wzory.

Ojciec robił na torach zdawczych i kojarzę, że nie było go wtedy w domu, pewnie dyżurował na drugiej zmianie i może spisywał składy, które opuścić miały bocznice. Pracował na kopalni, wypłatę, węgiel i kartki przynosił z kopalni, ale nie świętował nigdy Barbórki jak reszta.

Przytaknąłem więc dziadkowi, że powiem babce, że go młody Miziołek odwiezie, a on obrócił się i wyszedł. Ja odczekałem moment, aż trzasną drzwi – najpierw od ganku, a później od domu frontowe – i cały w napięciu skoczyłem wreszcie do okna, żeby zobaczyć, czy dziadek na pewno pojedzie, czy nie wróci się jeszcze po coś, czego z rozpędu zapomniał. A przecież zapomniał, widziałem, że zapomniał, ja zaś na to liczyłem, że sobie nie przypomni.

Przez chwilę miałem wielką nadzieję. Widziałem, że dziadek przeszedł do bramki. Czekał już przy niej i otworzył ją przed nim młody Miziołek. Na polu była już tęga szarówka, ich postacie ledwie majaczyły mi w tym wałącym gęsto śniegu, i byłbym nie zobaczył za wiele, gdyby nie światło ulicznej lampy, która stała tuż obok domu. Było z nią zresztą pewne utrapienie, bo od czasu do czasu potrafiła bez ostrzeżenia zgasnąć i nikt nie wiedział dlaczego. Zgłaszał to dziadek nieraz do gminy i choć przyjeżdżali, oglądali, wymieniali nawet te wielkie żarówki – nic na dłuższą metę to nie dawało. Lampa gasła nawet na tych nowych żarówkach, ale wtedy świeciła i widziałem, że zaraz też od bramki Miziołek podleciał, żeby drzwi od pasażera w swoim nowym polonezie dziadkowi otworzyć.

Ale nie, to by nie był mój dziadek, gdyby sobie wszystkiego w pamięci nie porachował. Zatrzymał się nagle, coś chyba do młodego przez ten śnieg powiedział i z powrotem ruszył w kierunku domu. Młody Miziołek został więc przy aucie, z klamką w dłoniach, lekko skonsternowany, że mu jeszcze przyjdzie w tej zawierusze poczekać.

Dziadek zaś oczywiście wpadł zaraz na powrót do domu, zaraz też wszedł do pokoju, gdzie ja zdążyłem znów zająć miejsce w jego fotelu, miętosząc w dłoniach figurki kowbojów lub Indian. Zerknął na mnie podejrzliwie, ale nie odezwałem się nic, tylko się znów uśmiechnąłem od ucha do ucha. Dziadek wysupłał natomiast z kieszeni klucz od szafy, który nie wiadomo kiedy doń włożył, wsunął do zamka, przekręcił, szarpnął drzwiami dla pewności i dopiero wtedy wyszedł na dobre. Mnie zaś mina jakoś zrzędała i przestałem się nawet w duchu uśmiechać.

Ale podniosłem się jeszcze do okna. Miziołek stał ciągle przy poldku, przypominał już lekko puchatego bałwana. Zobaczyłem wreszcie dziadka – szedł spokojnie, pióra tylko na czapce podskakiwały mu nieco w rytm kroków. Wydawało mi się, że obraca głowę, jakby wiedział, że stoję w oknie i chciał spojrzeć jeszcze na mnie zawiedzionego przy szybie, ale wtedy lampa znów bez zapowiedzi zgasła, a dziadek zniknął mi na zawsze w ciemności i śniegu.

\*

W tej szafie to stało coś jeszcze, na co dziesięcioletni wtedy ja ukradkiem z fotela zerkałem i miałem nadzieję, że nim dziadek wyjdzie, nie zamknie mi tego wszystkiego na klucz. Na jej dnie stała bowiem maszyna, maszyna do pisania, którą dziadek – nim odszedł na emeryturę – przytargał podobno z któregoś z biur kopalnianej cechowni. Stara i wysłużona, ciągle jednak zupełnie sprawna. Z jej obudowy w wielu miejscach złuszczył się lakier, a część liter na przyciskach klawiatury była wytarta tak, jakby nieodwracalnie się zużyły i nie mogły już nigdy więcej zostać odcisnięte na papierze. Było to jednak tylko złudzenie, mechanizm cały czas działał, działał jak brzytwę – sprężyny ścigały, młotki uderzały, wałek i pokrętła bez zacięć chodziły w jedną czy drugą stronę, świeżo nasączona tuszem tasiemka

pachniała.

Dziadek mówił nieraz, że maszynę wyprodukowano jeszcze przed wojną, i choć nie miało to dla mnie wtedy żadnego znaczenia, dziś wiem, że miał rację, że Urania przyjechała z Niemiec, konkretnie zaś z Drezna, z zakładów Clemens Müller GmbH, które w połowie wieku dziewiętnastego ruszyły z produkcją maszyn do szycia, by z początkiem kolejnego stulecia uzupełnić swą ofertę o kolejne maszyny, ale już do pisania. Nie wiem, kto wymyślił tę nazwę, że marka będzie nosić imię akurat Uranii, nie zaś Kalliope, Erato czy Talii, ale wiem, że ja po swoim zacząłem nazywać ją później Niebiańską, z jakąś taką lekkością w opozycji do tego, ile faktycznie ważyła.

Urania ciężka była bowiem jak cholera i ten ciężar również ostał się w mojej pamięci. Myślę nawet, że gdyby ktoś dał mi ją dziś potrzymać w całkowicie ciemnym pokoju, to bez trudu odgadłbym, że trzymam w rękach maszynę do pisania mojego dziadka. Nie musiałbym dokładnie przypominać jej sobie palcami, wystarczyłoby, abym poczuł, jak ciągnie w dół moje ramiona. Jako chłopiec nigdy nie mogłem podnieść jej sam i zmuszony byłem czekać, aż dziadek, chcąc napisać jakiś pilny dokument, wyciągnie maszynę z szafy, w której stała zamknięta. Układał ją wtedy na kuchennym stole ustawionym przy oknie wychodzącym na południe, tak aby więcej światła padało na pożółkły papier wciągnięty w wałek maszyny. Następnie przysuwał krzesło, na którym zwykł siedzieć podczas obiadów, siadał i zaczynał pisać.

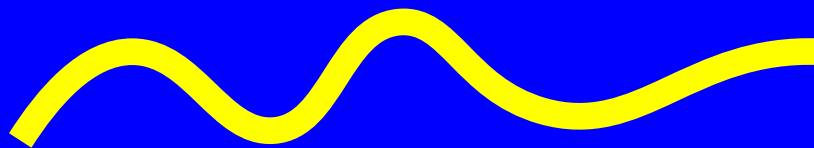
Nie wiem dlaczego, bo nie zdążyłem zapytać o to dziadka, ale zawsze wkręcał on w mechanizm te żółte, szorstkie arkusze, zamiast czystych, gładkich kartek, które leżały przecież w tej samej szufladzie razem ze stosikiem kalek w fioletowym i czarnym kolorze. Być może uważał, że na ten czysty papier jest jeszcze czas, nie musi mu się z nim nigdzie spieszyć, bo i tak w końcu zostanie zadrukowany. Mógł więc poleżeć w szufladzie i poczekać na swoją kolej – skoro dziadek sprawował urząd, to może i papier do tego jego pisania musiał nabrać mocy urzędowej. Albo to zwyczajny rozsądek i przyzwyczajenie nakazywały mu trzymać go na coś naprawdę ważnego. A może papier ten czekał

po prostu na mnie i to nie w gestii dziadka leżało, co zrobić z tymi czystymi arkuszami, lecz one same decydowały o tym, co się z nimi kiedyś stanie.

Nie wiem, dziś mogę snuć tylko przypuszczenia. Wtedy natomiast, patrząc na te kartki, miałem zupełnie inne wytłumaczenie. Myślałem, że musi z nim być tak jak z papierówkami, które rosły w naszym sadzie – najlepsze były zawsze te, które zżółkły, leżąc już jakiś czas pod drzewem.

Nie mam też pojęcia, dlaczego dziadek zawsze pisał w kuchni, ale dziś myślę, że po prostu kuchnia to miejsce, gdzie w domu zawsze wypowiada się najwięcej słów, a więc i łatwiej było wyłowić mu to, które nadawało się do wklepania na maszynie. Chociaż nazywanie tego dźwięku klepaniem nie wydaje mi się teraz najodpowiedniejszym słowem. Maszyna strzelała bowiem jak najprawdziwszy karabin maszynowy, co chwilę przerywając serię wyrzucanych liter głuchym, sprężynowym uderzeniem spacji. By rozpocząć kolejny wers tekstu, od czasu do czasu dziadek przeładowywał maszynę, przesuwając jej wałek szybkim ruchem z powrotem w prawą stronę, na nowo ustawiał celownik, lekko przekręcając go zgodnie z ruchem wskazówek zegara i wystrzeliwał kolejną porcję liter, które zawsze sięgały swego celu. Jeśli nawet któraś z nich nie odbiła się zbyt wyraźnie lub była błędna, zawsze można było ją poprawić, naciskając w tym celu specjalny przycisk, *cofacz*, który precyzyjnie przesuwał wałek maszyny o jedno uderzenie do tyłu. Jak wehikuł czasu – pozwalał dokładnie zobaczyć, naprawić oraz zapamiętać swój błąd.

# Kamil Kosowski:



Gdzieś na pograniczu Śląska i Małopolski leży małe miasto w pasie otaczających je niewielkich wzgórz. Choć nie takie są ich nazwy, to te wzgórza są tam odwieczne – to Lipie oraz Jaworek, Grodzisko oraz Jazdówka. Jest tam również hałda, ostatnie piętra wieżowców z Flagówki i kamienice dawnego robotniczego osiedla Obieżowa. Z każdego z tych miejsc doskonale widać zaś ją – Janinę, Jankę, Janeczkę. Widać, jak w brudnych wodach osadnika odbija swoją krasną twarz.

W Libiążu wydarzy się jednak lokalna apokalipsa, już ją zresztą zapowiedziano. Kopalnia, wokół której wyrosło miasto, z której żyła i żyje lokalna społeczność, zostanie wkrótce zamknięta. Wydobycie zostanie wstrzymane, koła na szybowej wieży nie obrócą się więcej na zjazd. Węgiel nie wyjedzie już z dołu taśmą na powierzchnię i rozpocznie się proces likwidacji zakładu.

Staną pompy, ucichną maszyny. Stal obróci się w złom, cegła zamieni się w gruz. Dusi się więc Libiąż, ale oddech złapać musi także świat. Mówią o tym w telewizji i do miasta wraca wtedy ktoś, kto przed radykalną zmianą chce ocalić tamten świat. Jego świat. Kiedyś uciekł, ale teraz wraca. Nie wiadomo, kim jest – nosi ze sobą notes, aparat fotograficzny, wspomnienia i potrzebę opowiedzenia o tym miejscu innym.



Tak jak wiele lat wcześniej wspina się więc co rano na któreś z otaczających miasto wzgórz. Klatką schodową wchodzi co wieczór na najwyższy na Flagówce blok. Czekając na odpowiednie światło, szuka lepszego kadru, patrzy na kopalnię i myśli o dobrych chwilach, które odejdą wraz z nią.

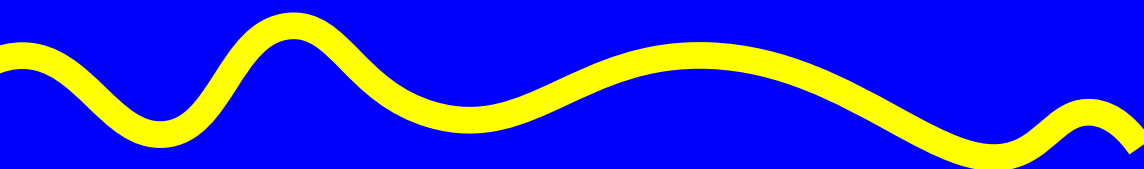
Myśli o dziadku, który przywłókł kiedyś z cechowni Uranie, jedną z antycznych muz. Myśli o niemej babce w podomce i drzeniu jej czarnych od ziemi rąk. Myśli o przyjacielu w czerwonym jak krew renault. O tym, czy szybowce rzucą jeszcze kiedyś na miasto swój cień.

Myśli o domu i szkole, robocie i książkach, cmentarzu i dziewczynie, myśli o tamtych nocach i dniach. Chce ocalić, pamiętać i wiedzieć, kim jest.

Zanim więc stal obróci się w złom, a cegła zamieni się w gruz, wraca, by powtórzyć wędrówkę sprzed lat. Wchodzi do góry i patrzy. Chce uratować siebie i świat. Podnosi do oczu aparat, wybiera kadr, łapie ostrość i naciska spust.

**NARRACJA:** pierwszoosobowa

**CZAS WYDARZEŃ:** nieodległa przyszłość; w retrospekcjach pierwsza dekada XXI w., epizodycznie lata 90. XX w.





---

Rekomendacja organizatorów kursu

---

Joanna Łępicka | *Nieboskie*

---

**Wyróżnienie przyznane za świetny pomysł na świat przedstawiony i problematykę związaną z domem „pod granicą”, a przede wszystkim za wyczuwalny styl, pisanie z wyobraźni i wkładanie wysiłku w pracę ze słowem i jego brzmieniem. A nawet za śmiałą próbę opowiadania za pomocą dialogu. Widoczny jest niewątpliwy potencjał *Nieboskich*. Nie można wykluczyć, że zamysł artystyczny w trakcie dalszej pracy zmieni się, że oto nad narracją Joanny Łępickiej górować będzie język, obraz.**

# Nieboskie

## Catfish

Jestem parzystą liczbą odrostków poroża zrzuconego w podmokłym, głuchym lesie. Znaki zaczynają się tam, gdzie ja: pod sklepikową budą w parku i pod cementownią; biegną pod wszystkimi domami. I na powierzchni wody, i w słońcu, i w cieniu, w gęstym tataraku. Jestem mchem, który odbije ciężar, bo nie obchodzi mnie, co po nim stąpa. Byli tu ludzie, którzy z głodu jedli liście. Przyjdą tu ludzie, którzy z głodu zjedzą liście. Z miękkich, srebrzystych smug na szalwii pozostanie niebieski, skruszony ślad. To, co mam zeschnięte, pełne jest życia.

Jestem okiem czerwonego bagna w basenie środkowym rzeki. Kładą się we mnie rysie, żubry i zające. Ich brzuchy wypełniam mnóstwem szelestów, ćwierkań i brzęczeń. Zwijam w nie pulsujący świergot i jazgot, gładko zlewany w nieustanny, kipiący jęk. Wypełniam brzuchy, bo są moje, ale nie w samolubny sposób. W głównej mierze wciąż zakładam udział uczestników: służę śpiewaniu i tańcowi. Służę godom, o jakich nie macie pojęcia.

Z nikim się tym nie dzielę. Niczego nie przynoszę do stołu. Jestem nim.

Wyciągam igły z poplątanego brzucha – i to jest proste. Kładę proste badyle na prostej, wytartej ścieżce – i znów się plączę. Zarastam mną ścieżki.

Nazwijcie mnie starą, dobrą puszcza, ale nie ma we mnie tego, co myślicie. Wyjmijcie tę myśl za pomocą rąk albo wędki. Natrzyjcie nią palec i wsadźcie w ranę. Zobaczcie, jak zamienia się w ziemię.

Jak przetłumaczyć to w waszym języku?

Znaki świecą doraźnie – jak zakaz wstępu na rok.

W tym roku nie opowiem kolorowych liści, tylko sprawdzę, czy kogoś pod nimi nie ma. I zobacz: jesteś dzieckiem pogrzebanym w liściach. Liście gniją: oto ja.

---

Kot-ryba tłucze ogonem o bagno. To królewski sum, a jego głowę przytrzymuje jedno z japońskich bóstw. Ale ciężko jest nie stracić uwagi i wtedy, przy każdej możliwej okazji, uścisk słabnie, a ryba wyrywa się. Tłucze ogonem tsunami. Tak powstają niektóre trzęsienia ziemi. Natalia czytała o tym, zanim poszła spać.

Teraz związuje włosy w jasny, twardy supeł na szczycie głowy i naciąga na niego wełnianą czapkę. Jest potwornie rano i, już albo jeszcze, zimno. Zbiera się szybko na autobus, bo jest robota do odjebania. Wychodzi zawsze tak, żeby jeszcze na przystanku zapalić papierosa. Zagląda w telefon, który całe szczęście tym razem naładował się przez noc. Mruży oczy, sprawdzając godzinę. Kurwa mać. Klucze lecą z rąk. Zanim nie usiądzie przy ladzie, nie nosi okularów, a bez nich nic nie widzi.

Chyba że ogólnie, wtedy jest OK. W autobusie może jeszcze poszukać zdjęć. Muszą być z agencji modelingowych, ale koniecznie zagranicznych. To nie może być prawdziwa modelka z kontraktem i zasięgami, a dopiero ktoś, kto *aspiruje* do bycia *kimś*. Ktoś ładny i na tyle niemądry, żeby zostawić pełno swoich zdjęć, na których wysyła buzi w obiektyw. Ktoś, kogo trudno wyszukać. Zajmuje to strasznie dużo czasu, wysiłku i zaangażowania. To nie jest pierwszy dzień, w którym szuka swojej twarzy.

Przede wszystkim nie może być posągowa.

*Ma blond włosy i trzyma się za głowę, kiedy pije z plastikowej rurki sok grejpfrutowy. Jest w dresowej bluzie. W dole talerz, sałatka, palcuszki. Miasto w tle pęcznieje od słońca. Kraty kwiatów, jakiś deptak. Pierścionek zaręczynowy na palcu.*

Nie. A zdjęć musi być dużo.

*Siedzi na białym plastikowym krześle. Ktoś z tyłu majstruje przy grillu. Pije piwo. Na gołych stopach chodaki, wycięcie bluzki odsłania łańcuszek z krzyżykiem. Obok ktoś, chyba mama. Wszystko low-fi, widać ziarno.*

Aha.

*Trzyma na kolanach psa, ale widać, że jest cudzy. Skupiona mina. Pies jest nienaturalnie chudy, może chory, przewiązany wstążką i rzemykiem.*

O co w tym chodzi? Nie.

*Brązowe loki. Sesja zdjęciowa, ale tania. Błyskotki w uszach, szmin-ka. Miętko patrzy w punkt za lewym ramieniem. Wszystko w sepii.*

Może? Też nie.

Zdjęcie z wesela.

Zdjęcie, na którym jest pijana.

Zdjęcie z przyjaciółmi.

Zdjęcie, którego mogłoby tu nie być. Albo niedługo nie będzie.

Zdjęcie z chłopakiem albo bratem. Chyba z chłopakiem.

Zdjęcie na plaży, na którym podtrzymuje kapelusz. Widać wiatr, podnosi sukienkę.

Marylin Monroe.

*W samochodzie, pasy zapięte na miejscu obok kierowcy. Niebieski logotyp Pepco rozmazuje się w pokrytej kroplami deszczu szybie. Poruszenie za oknem, w środku wyraźne, jasne kolory płaszcza i bluzki. Delikatny makijaż, nic nadzwyczajnego. Odślonięte gładkie, opalane nogi. Dużo pierścionków. Uśmiecha się.*

Jest.

Po 20 minutach Natalia wysiada z autobusu, jakby był pulsującym wnętrzem ryby.

---

### „Jakub, 29”

– A tak poza tym, to zdradzisz może historię pierwszego zdjęcia? Czemu zostałaś owinięta tą świecąca listwą? Czy patrzysz na kogoś, czy też to ustawka? Tak wiele pytań...

– Tak mało pytajników. To ustawka.

– Pasowałyby do tej pozy słowo związane z teatrem. Coś jak, o, fasada.

– Ja o nic nie pytam.

– Ja wiem, że nie pytasz, ale wolę się przedstawić, skoro jest okazja...

– Prezentacja. Fasada.

– Damn, uprzedziłaś swoją fasadą moją fasadę. Więc w takim razie pozwól: inscenizacja.

Ale co ze świecąca listwą?

I w sumie, co z brakującym pytajnikiem?

?

– Widziałam, jak w teatrze świecąca listwa świetnie grała ocean.  
Inscenizacja była WIELKA.

Brakujący pytajnik jest na morzu, w podróży.

Zajmie mu to z dziesięć lat. Czy powróci szczęśliwy?

– Skoro jest na morzu, to uniesień. A skoro uniesień, to dno mu nie grozi.

W sumie, dziesięć lat uniesień brzmi bardzo kusząco.

– Dziesięć lat uniesień.

Ale i ciągłej przebudowy statku.

To jest wręcz nieuniknione.

– Przy tendencyjnych, ludzkich założeniach.

Nie chcę ograniczać pytajnika

i niech ma statek albo sam będzie statkiem. Niech go przebudowuje (jeśli go ma) albo niech sobie pływa bez niego – jeśli chce.

– Niech mu sprzyjają wiatry.

– W zasadzie, to pytajnik dawno nam się schował za horyzontem, on i jego rzeczywistość.

– Na morzu jest wiele pytań i pytajnik świetnie się tam odnajdzie.

– Bo nic mu nie musimy życzyć, czekają go ciągle uniesienia.

– I niebezpieczeństwa!

– Czy będą to zatem niebezpieczne uniesienia (tu znajdowałby się pytajnik, gdyby był obecny).

– (gdyby pytajnik był obecny, zamysliłby się tkliwie).

– Ale skoro słowa to tylko fasada, w pewnym sensie, to wprowadźmy na scenę nowego bohatera.

Oto on: @

– Mianowicie: życie?

– Następca pytajnika, któremu nadamy tę samą funkcję.

– To małpa.

– Dla Ciebie małpa, a dla mnie pytajnik. Małpa w zastępstwie pytajnika. Albo małpa z pytajnikiem.

– To pytajnik, któremu wydłużono ogon.

Albo: pytajnik, który zamienił się w pestkę, która wyrosła.

– Cegła.

Kwitnąca cegła.

I co z tym życiem, poza kwitnięciem?

Chciałem napisać: i co z tym życiem@

– I co z nim@

Ja jestem spod znaku życia, totalnie. Jestem wariatką, w tym gorszym sensie. W sensie, który wpisuje ci w opis: nie szukam związku.

Dlaczego lubisz rozmawiać z ludźmi@ Myślę, że to fasada. Teraz Ty mów o sobie.

– Bo chcę wychodzić z mojej „groch z kapustą”.

– Nie rozumiem.

Wychodzić ze swojej... Już rozumiem.

Nowy bohater na scenie.

– Groch to też podstępne słowo. Bo ostatnio usłyszałem „groch”, myślę „groch”, a to... Fasola. I tłumaczę: groch to groch, fasola to fasola. I słyszę: groch to groch, fasola to groch.

– I ta osoba miała rację@.

– Nie i tak. Miała tak rację, jak @ to pytajnik.

– Dlaczego kwitnąca cegła@.

– Kwitnąca cegła ze studiów.

Bardzo mi się spodobało ćwiczenie „Proszę sobie wyobrazić kwitnącą cegłę”.

– I to jest cegła porośnięta jak rzeka, kiedy kwitnie?

Znaczy: @

– Właśnie cały szkopał w tym, że tej cegły nie powinno być. To znaczy jej nie ma, ale jest – w naszych głowach, a tam też jej być nie powinno. Dodatkowo zapamiętałem ją, a chodziło o to, żeby zapomnieć.

Wiem, że zapominanie czegoś, co miało być niewyobrażalne brzmi abstrakcyjnie, ale... Nie, nie ma „ale”, bo nie ma usprawiedliwienia. Ale zaakceptuj, proszę, fakt, że naprawdę tak było.

– Opowiedz mi wszystko o cegle.

– Bo chodziło o rozróżnienie między rzeczami nieintuicyjnymi i kontrintuicyjnymi. Kwitnąca cegła, zdecydowanie miała należeć do tej drugiej kategorii. Gdzieś obok niewidzialnego różowego jednorożca.

– Co to były za studia@.

– Religioznawstwo. W ogóle, nie wiem, jak to zostanie odebrane, ale bardzo miło pytasz.

– Jest ze mną moc pytajników.



– Wydaje mi się, że jesteś ponad to.

Czasem orzekasz, ale jednak wciąż pytasz.

– Tłumaczę: mam ich moc. Najwyraźniej.

– Skoro jesteś spod znaku życia, to jak najbardziej, masz w sobie moc małp (o których wiemy, że na potrzeby dzisiaj i teraz, małpami nie są).

– Małpa, postrzelona w dzielnicy boga-małpy, siada przed maszyną do pisania. Przychodzi Śmierć i Małpi Bóg, spierają się, bo nie mogą zdecydować, które ją zabiera. Żeby to rozstrzygnąć, małpa spisuje wspomnienia ze wszystkich swoich żyć, oczywiście grając na czas.

Jesteś Strzelcem@.

– Dokonałem aktu sprawdzenia. I jestem małpą. I moja małpa niebezpiecznie zbliża się do pytajnika, który jest na morzu. Tak, jestem wodną małpą, a Ty@.

– A ja jestem... Ja jestem świnia, drewnianą.

– Tak naprawdę to na pewno jesteśmy czymś innym, niż nam się wydaje. Istotny jest rok, miesiąc, ale i dzień... Oraz pora dnia...

– Jesteśmy sobą, dzisiaj.

– Kurczę, myślałem, że jesteśmy wczoraj. A jesteśmy już dzisiaj.

– Tak, jest późno! Jutro też będziemy@

– Tak.

# Joanna Łepicka:

Hesha Pesha mieszka w lesie i śpiewa brzydkie piosenki. W Wielkanoc odwiedzi ją stara znajoma, tłumaczka. Tu następuje opis zamkniętego, strzeżonego bagna. Opis muru. Opis magii ze szczególnym uwzględnieniem nekromancji. Tu mówi kora drzewa, grzyby pachną ślisko. Topielica mówi, że nowe mity są już wystarczająco stare, żeby stać się mitami. Jak to się stało, że ktoś pomylił słomianą kukłę z człowiekiem? Pod powierzchnią bez światła śpiewa się brzydkie piosenki.

# Pozostałe teksty

*Olga Górka – Nie wszyscy pójdziemy do raju*

*Bartosz Gromek – Wyprawa marzeń*

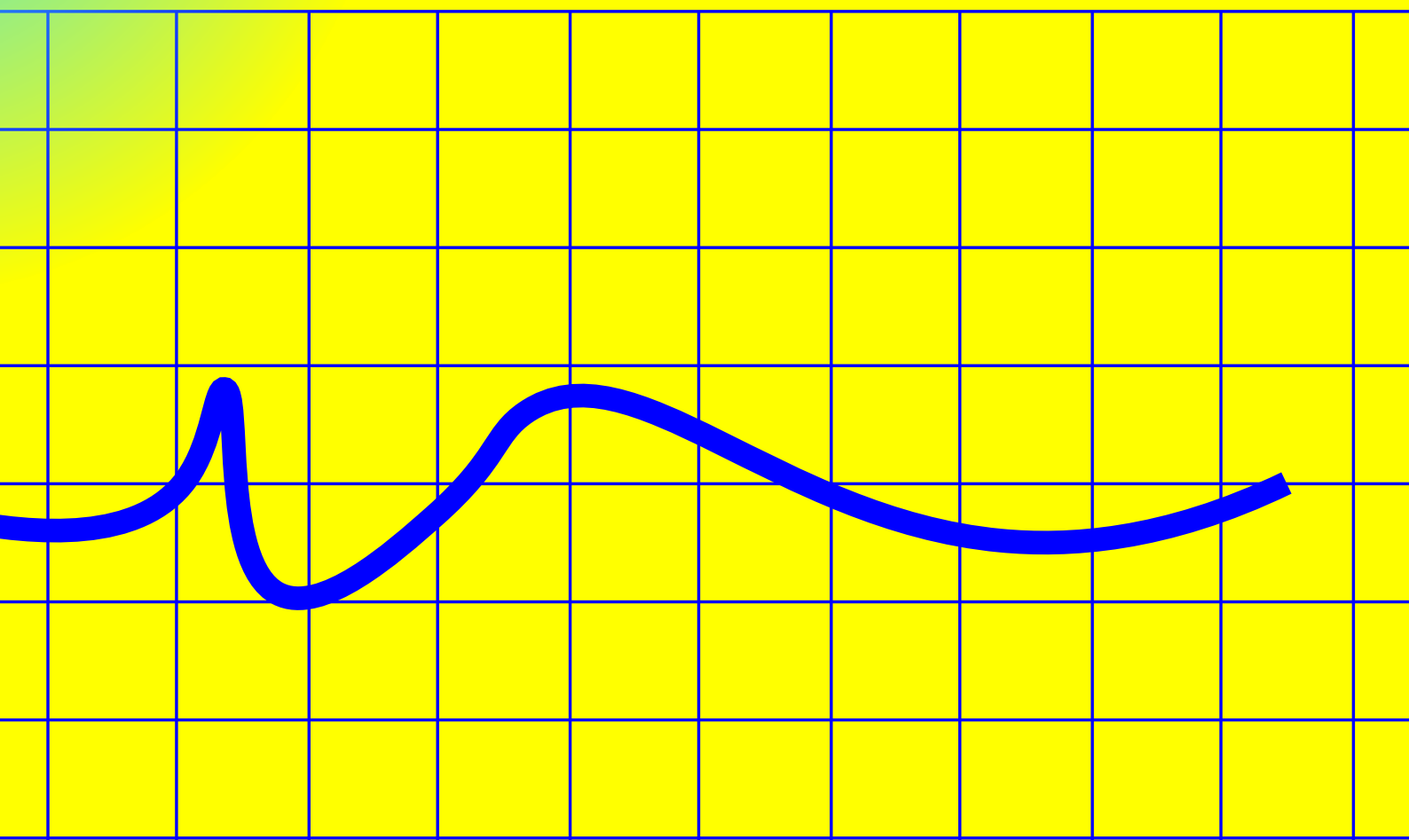
*Tomasz Jedoń – Dzienniki Jętki*

*Monika Mańka – Świt*

*Adam Pawłowski – Niepewność*

*Agnieszka Rynkowska – Laleczka*

*Wojciech Wróbel – Skargowie*



# Nie wszyscy pójdziemy do raju

Pierwsze uderzenia perkusji, początkowe takty *Crazy*, zagłuszają mnie, ale radio prawie od razu wciąga taśmę i się zacina. Dorota patrzy na mnie z irytacją pomieszaną z czymś jeszcze, z czymś czułym.

Asfalt topnieje, choć słońce ledwo wzeszło. Zapadamy się miękko w drogę. Drzwi po stronie Doroty nie domykają się. Są już gotowe od odlotu. Wiem, że tylko o nich myśli. Nie lubi prowadzić. Ja z kolei nie mam prawa jazdy.

Uderzam dłonią w radio. Steven Tyler powraca.

– Po chuj ci radio na kasety? – pyta Dorota.

Nie odpowiadam. Wykręcam się nienaturalnie i sięgam po różaniec. W prawej dłoni trzymam piwo, które robi się ciepłe. Auto nie ma klimatyzacji. Ani wspomagania. Wkrótce nie będzie miał też drzwi od strony kierowcy.

Jedziemy starym, białym, przeżartym korozją oplem przez wiejskie drogi na Radom. Jest sierpień, ulice są puste od upału i święta. Na moim opalonym ramieniu perli się pot. Ze mną w samochodzie siedzą dwie kobiety, które kocham, i nie chcę, żeby ten dzień się skończył. Włosy Doroty, dawno niemyte, kręcą się jej

nad uszami. Nos wysokiej dziewczyny, który widzę w tylnym lusterku, jest spalony słońcem. Przez brudne szyby wpada do auta złociste, nabrzmiące światło. Słuchamy kasety. Kiedy się kończy, zapada cisza. Może dziś, może chociaż dziś powiem prawdę.

Dziś są moje urodziny, właśnie skończyłam trzydzieści lat. Nagle słyszę dźwięk, chrobotanie i dyszenie, dochodzące z lewej strony samochodu. I już wszystkie widzimy dym, wydobywa się spod maski, szary upiór niepasujący do jasnego dnia. Opel staje, drzwi znów się otwierają, Dorota mówi:

– Kurwa.

Wychodzę z samochodu, nadal trzymając w dłoni puszkę. Oblepia nas kurz. Zanim zacznę się krzątanina, zanim zaczną się telefony do pomocy drogowej, szukanie warsztatu w święto, zanim zacznę się podnoszenie maski, brudzenie rąk, przeklinanie pod nosem, lekkie odwodnienie i zachód słońca, mówię:

– Brakuje mi Betty.

Dorota patrzy na mnie i widzi, że szykuję przedstawienie. Kasetą Aerosmith. Pirackie Myslovitz na CD. Dłubię w nosie. Różaniec. Obok Doroty stoi ona – wysoka, jasnowłosa – i uśmiecha się do mnie.

– Kim jest Betty? – pyta.

Nie znamy się jeszcze za dobrze, ale wiem już, że będę ją kochać do końca życia.

– Nie błaznuj – mówi Dorota.

Jest jeszcze rano, ale powietrze już zgęstniało i wszystko pachnie śmiercią. Sierpień jest początkiem i końcem mojego roku liturgicznego, narodzeniem, śmiercią, zmartwychwstaniem, wszystkim naraz.

Kłamałam od zawsze. Na początku ze wstydu. Teraz nie ma już po co.

Posłuchajcie, posłuchajcie opowieści o przystankach, od wtedy do teraz, stamtąd dotąd, do Radomia i z powrotem.

### **Przystanek pierwszy. Księga tajemnicza. Prolog**

Sierpień 1988 roku był taki sam. Fala upałów przewalała się nad miastem, dyszącym z pragnienia i brzydkim. W dniu maryjnego święta dwudziestoletnia kobieta, dziecko prawie, zaciskając zęby z bólu, urodziła córkę. Na porodówce była sama. Wstydziła się krzyczeć i płakać, kiedy patrzyli na nią znużony, stary lekarz i wytapirowana położna. Obojgu wcisnęła do fartuchów banknoty z Chopinem, które dostała od ojca, i wtedy położna, trochę mniej zła, że spóźni się na mszę, podała jej zastrzyk.

Sześć lat później zdyszana dziewczynka wbiega do dużego pokoju. Jest siódma rano, a zdążyła już zwiedzić cały świat. Mokra od rosy i bezwonnego potu zdejmuje buty. Podłoga skrzypi pod jej stopami, a telewizor, pulsujące serce meblościanki, przyciąga ją do siebie. Nic nie słyszy, ale czuje przymus patrzenia. Najpierw widzi szczupłe nogi w białych podkolanówkach, krótką spódniczkę i dłoń poprawiającą majtki. Krzywi się, mama mówiła, że to nieładnie. Bohaterka teledysku wchodzi w mundurku do toalety i wtedy w telewizorze wybucha perkusja. Następnie ucieka ze szkoły przez okno. Podwija się jej spódnica, odsłaniając bieliznę. Wsiada za kierownicę granatowego samochodu i za chwilę przybiega do niej druga dziewczyna, z ciemnymi włosami. Bardzo brzydki pan na scenie krzyczy, a one ze śmiechem odjeżdżają.

Dziewczynka nie może oderwać od nich wzroku, ale nagle się wzdryga. Rozgląda się po pokoju, choć wie, że nikogo w nim nie ma. Mama szumi wodą w łazience, a Środkowy, jej brat, wciąż biega po podwórku. Zbliża się do telewizora i przełyka ślinę.

Po jej małym, zgrzanym ciele przechodzi dreszcz. Zastyga w bezruchu blisko kineskopu, tak blisko, że poznaje jego tajemnicę, kolorowe kropki.

Kiedy przygląda się dwóm dziewczynom w telewizorze, drętwieje.

Słyszy kroki mamy i choć wie, że nie zrobiła niczego złego, rozgląda się nerwowo, zabiera kompot, po który przyszła, i wybiega na zewnątrz, gdzie po chwili jej jasna głowa znika znów w wysokich chwastach.

Sierpniowy poranek połyskuje kolorami umierającego lata, purpurą naparstnicy i żółcią aksamitki. W tych barwach jest śmierć, która nawet nie próbuje ukryć swojej obecności, cmentarna upiorność wydobyta na powierzchnię przez wściekle rozgrzane słońce.

Dziewczynka myśli już tylko o śniadaniu. O serku Rolmlec z krówką, najlepszym śniadaniu na świecie.

Nie zapomina jednak, co zobaczyła.

\*

Dorota podnosi maskę opła, odpina szelki swoich spodni i wyciąga tytoń z tylnej kieszeni.

– Będziesz mówić teraz o sobie w trzeciej osobie? – pyta, mrużąc oczy.

Hanka, bo tak ma na imię wysoka dziewczyna, śmieje się.

– Nie kpij! – Kiwam jej palcem.

– Kpię sobie z niebezpieczeństwa – mówimy zgodnie i podaję jej ogień.

– Co było dalej? – pyta cicho Hanka, kiedy wreszcie decyduje się podejść bliżej. Pachnie tak pięknie.

### Przystanek pierwszy. Nikt nie jest dobry w samotności

Pośrodku wyziębionego kościoła, naprzeciwko zdeformowanej twarzy Chrystusa, ksiądz Szymon uderzał w gitarę jak szaleniec, a pod pachami rosły mu plamy potu. Obok niego stała ona, moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła, i śmiała się ze wszystkiego, co mówił.

Zachowywali się, jakby dookoła nie było nikogo innego. A przecież z fioletowych, topornych witraży osiedlowego kościoła wciśniętego między bloki z prefabrykatów patrzył na nich sam Bóg. I ja.

Do rozpoczęcia spotkania zostało jeszcze piętnaście minut, a oni ćwiczili pieśń, której nigdy wcześniej nie słyszałam. O upadaniu i podcinaniu. Lubiłam, kiedy Bóg był brutalny. Dziewczyna nawet na mnie nie patrzyła, za to pochylała się w stronę Szymona. Miała na sobie swoje najlepsze dżinsy z targu i zieloną, dziecienną bluzkę w kwiatki. Nie wiedziałam, że już niedługo drżącymi dłońmi będę ją z niej zdejmować. Na razie chciałam być na miejscu Szymona.

Tymczasem stałam między ławkami i rozglądałam się. Podekscytowane dziewczyny wycinały Jezusa ze sztywnego kartonu, posępny ministrant ciągnął przez nawę za krótki kabel od mikrofonu, dwóch jego kolegów charczało ze śmiechu, przenosząc z miejsca na miejsce grób Jezusa z papier mâché, który tamtego roku umarł przez sekty. Tylko ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Znów na nią spojrzałam. Nadal stała pośrodku kościoła obok księdza i śpiewała.

Obsceniczne bicepsy Szymona, odsłonięte, bo zamiast sutanny miał na sobie koszulę, napinały się, kiedy dotykał strun i próbo-



wał wyciągnąć z mojej pierwszej dziewczyny, której nie nazywałam swoją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła, wysokie dźwięki. Jego nie do końca czyste palce ścisnęły kostkę. Wszystko było w nim niedokończone, choć z daleka wydawał się bardzo piękny, jak apostoł z kolorowych Biblii dla dzieci, w których pastelowe anioły schodzą z nieba, a przystojni mężczyźni wraz z Jezusem przemierzają ziemię jałową.

Na jego zębach widziałam żółty, papierosowy nalot.

Kiedy zaczęliśmy spotkanie, usiadła obok mnie. Wysoka i wyprostowana, była ładna, ale nie to mnie do niej przyciągnęło. Chodziło o to, że miał ją Jezus i miał ją Szymon, a ja nie mogłam jej mieć. Wierciłam się na niewygodnym krześle przyniesionym z zakrystii i przyglądałam ludziom w kręgu. Rozmodlone oczy zawsze nabierały wody i przez to ich kolor rozcieńczał się, a potem znikał za wilgotną mgłą. Na oazie wszyscy mieli takie spojrzenia, jednocześnie lśniące i mętne. Sutanny księży nie były prane tak często, jak powinny, i sztywniały z brudu. Chłopcy byli przyszczaci i pokraczni. Nosili powyciągane ubrania, koszulki w modnych w tamtym czasie kolorach: pomarańczowym, żółtym i niebieskim. Dziewczyny były infantylne. Miały drżące usta, rozdygotane ciała, warkoczyki, włosy potraktowane karbownicą. Wystarczyło, że używała jej jedna w klasie – i nagle wszystkie nosiły na głowie sztywne, nienaturalne fale. Były ubrane w dzwony, które zaliczyły wtedy głośny powrót, ale tylko na jedno lato. Każdy z uczestników miał jakąś rolę: w chórze, w wycinaniu ozdób, w służeniu do mszy. Każdy oprócz mnie. Animatorzy, podnieceni obecnością księdza Szymona, zaczęli od modlitwy. Mamrotali pod nosem słowa, które – pozbawione przecinków i oddechów – brzmiały jak mantra.

Ścisnęli nasze dłonie tak mocno, że bieleły im knykcie, i wyglądali, jakby miały rozstąpić się nad nimi niebiosy. Wolałabym zwykle *Ojciec nasz*, ale nie miałam nic do gadania. Pół roku wcześniej nadano mi status obserwatorki, więc moim zadaniem było sie-

dzieć cicho i kołysać się w rytm *Abba, Ojciec*. Animatorką mogłam zostać najprędzej za trzy lata. Trzy lata wydawały mi wtedy się pieprzoną wiecznością, którą musiałabym spędzić między lekko przepoconymi, rozochoconymi Jezusem małoletnimi katolikami, naćpanymi kremówkami i *Barką*.

Moim głównym grzechem była pycha. Czułam się od nich wszystkich lepsza. Poza tym nie miałam tyle czasu. Próbowałam więc na własną rękę nawracać nieodpowiednie dziewczyny na wąskich korytarzach Trzeciego Liceum Ogólnokształcącego imienia Pułkownika Hubala. Zaczepiałam je na przerwach, kiedy nie mogły się obronić, z dłońmi wypełnionymi bułkami z serem i szynką, w pół soczku, i opowiadałam im o ciele Chrystusa i potędze ofiary, którą za nas złożył.

Patrzyły na mnie wielkimi oczami, które przykrywały ciężkie powieki, a ja nie mogłam oderwać spojrzenia od ich twarzy. Zaczepiałam je na Gadu-Gadu, kiedy ich status zmieniał się na dostępny, i rozpalona do czerwoności snułam wizje piekieł, straszniejsze od dantejskich, czując mrowienie w całym ciele.

To mama zasugerowała, żebym zapisała się na oazę. Chyba martwiło ją, że nie mam przyjaciół. Udział w spotkaniach oazowych był – jak wszystko w moim życiu – wypadkową odziedziczonej po starych bierności i rozpaczliwej potrzeby przynależenia. Na krótki moment oaza dała mi złudzenie wspólnoty, szybko jednak stałam się elementem niepożądanym. Chodziłam tam w końcu tylko po to, żeby patrzeć na moją pierwszą dziewczynę, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła.

Spreparowana atmosfera miłości, wyrażana niezręcznym dotykaniem nieustannie spoconych ciał, nie była dla mnie. Nie opuszczałam jednak spotkań, próbowałam wtopić się w tłum i przebrać swoją wiarę w ich ekspresję: taniec, śpiew, grę na gitarze, ogniska w lesie, nocne drogi krzyżowe, zstępowanie Ducha

Świętego i ekstatyczne różańce. Bombardowanie miłością przez fajnych księży, takich jak Szymon, nie było mi potrzebne. Działo raczej na wysokie i szczupłe licealistki, których spoceni starzy wracali z roboty, żeby pić warkę do *Teleexpressu*, i zasypiali w fotelach, kiedy matki syczały: „Nie budźcie ojca”. Oaza oferowała cały szereg rozrywek dla młodych katolików, zachowywanie dziewictwa do ślubu, rekonstrukcje Grobu Pańskiego, odgrywanie pasji, piesze pielgrzymki do Częstochowy, całowanie się z porządkowymi podczas pieszych pielgrzymek do Częstochowy, koncerty na Lednicy, a dla najlepszych wyjazd na Taizé. Nic z tego mnie nie interesowało. Interesowała mnie tylko ona.

Mogłam od razu przewidzieć, że oaza skończy się dla mnie klęską, choć na tamto spotkanie jednak przyszłam. Już miałam uciekać, kiedy podszedł do mnie Szymon i powiedział coś, co mnie zatrzymało. Że nikt nie jest dobry w samotności. Podobał mi się kształt tych słów, to, jak dobrze obracało się je w ustach: „Nikt nie jest dobry w samotności, nawet Bóg”. Położył dłoń na moim ramieniu, a ja się odsunęłam. Stał tak blisko mnie, że poczułam jego oddech i zapach taniej wody kolońskiej, brutalnie męski.

Po modlitwie i świadectwach przyszedł czas na śpiew. Moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła, stanęła przed amboną obok Szymona i zaczęła wydobywać z siebie cieniutkie dźwięki:

– Dogoniłeś mnie, Jeździec niebieski, stratowałeś, stanąłeś na mnie. Ległem zbity, łaską podcięty, jak dym, gdy wichur go nagnie.

Była fatalną wokalistką, jej głos łamał się i drżał, więc wszyscy, ze mną na czele, powtarzali jej, że jest świetna. Ale tym razem pieśń była ważniejsza od niej. Pieśń o niebieskim jeźdźcu rozpałała moją i tak rozgorączkowaną duszę, niosła w sobie zapowiedź katastrofy, którą i ja przeczuwałam od dawna. Pragnęłam, żeby

to mnie podciął łaską i stratował. Bóg wystawia swoich wybrańców na próby, a ja bez wątpienia się do nich zaliczałam.

Od tamtego dnia z jeszcze większym zapalem przelewałam swoją witalność i wszystkie cielesne pragnienia na Boga o twarzy i ciele młodego mężczyzny wiszącego na krzyżu. Fantazjowałam o stratowaniu i podcięciu łaską tak często, że pieprzyłam potem moją pierwszą dziewczynę w rytm tych słów, które dla mnie już zawsze będą mieć w sobie coś erotycznego. Seks widziałam w drżących ustach i zamglonych oczach dziewczyn z oazy, w ich pieśniach, tańcach i zabawach.

W pierwsze piątki rozwodnionymi oczami prosiła mnie: „Wyspowiadaj się, wyspowiadaj się z grzechu, którym jestem ja”. Ulegałam jej w te piątki, tym banalnym zdaniom wyjętym z katolickich romansów, które czytała z wypiekami na twarzy, ale nie wyznawałam tego, co powinnam. Klęczałam przy konfesjonale dla niej. Jej ciało, jej osiemnastoletnie ciało, było tak otwarte, tak moje, że nie mogłam go stracić. Nie miałam wtedy pojęcia, że istnieją jeszcze inne ciała, które nie będą żądać ode mnie klękania tam, gdzie mój oddech i oddech spowiednika mieszają się aż do momentu rozgrzeszenia. Po wyjściu z kościoła żułam gumę. Po każdym księdzu inny smak.

Moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła, nie była „taka”. „Nie jestem taka”, szeptała za każdym razem, kiedy jej dotykałam.

Nie wiedziałam jeszcze, że dziewczyn jest więcej. Że ciał jest we wszechświecie niemal nieskończona ilość. Że wystarczy tylko przełamać wstyd – i można je mieć. Wszystkie. Albo wiele. Jedno dawało się tylko całować w ciemnych zakamarkach klubów, przyciśnięte do ściany, podniecone do granic. Inne chciało pójść ze mną do domu. Kolejnemu nieporadnie ścigałam majtki, nie wiedząc, co zrobię dalej. Inne dochodziło pode mną ciężko, a ja myślałam, że trzeba się ratować, uciekać, zostawiając za sobą po-

żogę. Przy każdym z nich czułam się pierwszym człowiekiem, jak Neil Armstrong na Księżycu, każdy dotyk był wtedy po raz pierwszy.

Podobno nikt nie jest dobry w samotności.

### **Przystanek pierwszy. Betty (1)**

Kiedy stałam nad zamkniętą trumną Betty, byłam już spakowana. Został jeszcze miesiąc do mojej wyprowadzki, ale nie chciałam dłużej czekać.

To ona pojechała ze mną szukać mieszkania. Wsiadliśmy pod dworcem PKS i uderzył w nas od razu smród targowiska, chemii z Niemiec, swetrów z Turcji, cebularzy i ludzi. Nad rozpiędnym placem pełnym cuchnących puszkowatych busów i autobusów z przeszłości górował pomalowany w pastele zamek. Betty pokiwała głową, włożyła papierosa do wydętych ust i zapytała:

– Dlaczego, kurwa, Lublin?

Nie odpowiedziałam. Nie umiałam odpowiedź na pytanie: „Dlaczego, kurwa, Lublin?”.

\*

– To trudne – mówię do siebie albo do Betty i wzruszam ramionami. Pociągam z puszki i podaję ją Dorocie.

– Prowadzę, nie widzisz? – denerwuje się Dorota.

Uśmiecham się do niej i wylewam rozgazowane piwo do rowu.

– Nigdy nie wypiałam z nią piwa – mówię, nie wiem po co.

\*

Betty zuła gumę, kiedy prowadziła mnie obcymi ulicami i znikła na klatkach schodowych, między blokami i bliźniakami, których położenie co chwilę sprawdzała na nieporęcznej mapie. Koniec mapy trzymałam półtora metra od niej, raz za razem potykając się o własne nogi. Patrzyła na mnie i śmiała się. Kiedy wchodziliśmy do mieszkań, przedstawiała mnie jako młodszą siostrę i przystępowała do oględzin. Fachowo, jak stary majster, ostukiwała ściany i poklepywała narzuty na niewygodnych kanapach. Odsuwała zakurzone szafki. Klękała przy gniazdkach. Zadawała pytania tonem, który dorośli zawsze brali za bezczelny.

Zapominałam, że my też jesteśmy już dorosłe, i oblewałam się rumieńcem, kiedy tak bez ceregieli zaglądała do kibli i pod zlewy. Nie powiedziałam jej, że zamieszkam z Lublinie z moją pierwszą dziewczyną, której nie nazywałam moją pierwszą dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła. Nie powiedziałam jej, że się zakochałam. Zresztą wciąż była na mnie zła, że nie jadę z nią do Warszawy. Stwierdziła:

– Uciekasz.

Miała rację, uciekałam.

W tamten poniedziałek w Nadarzynie, gdzie jej rodzice z niejasnych dla mnie powodów postanowili ją pochować, od rana lał deszcz. Gdyby Betty żyła, powiedziałyby: „Pierdol ten pogrzeb”. Strasznie dużo przeklinała. Zawstydzalo mnie to. Kościół pod wezwaniem Świętego Klemensa był prawie pusty. Ani ona, ani jej starzy nie chodzili do kościoła. Rodzice stali w pierwszym rzędzie, niszcząc decorum upartą nieporadnością gestów: skurczona matka i wyprostowany ojciec. Za nimi kilkanaście dorosłych osób. Poruszali tylko ustami – nie śpiewali ani się nie modlili. Klękali, naśladując ministrantów, zawsze trzydzieści sekund za

późno. Pogrzeby gówniarzy są inne, myślałam wyrwana z otępienia. Byłam tam jedyną nastolatką – ja i grupa ponurych dorosłych, nieprzyzwoicie przytomnych. Miałam na sobie jej kurtkę, męską, za dużą kurtkę z prawdziwej skóry, w której jeździła na rowerze, i ja jedna płakałam. Ta kurtka to wszystko, co mi po niej zostało, ostatni dowód, że w ogóle istniała. Wywieźli ją do Nadarżyna i gdyby nie mój ojciec, nie dowiedziałabym nawet, że nie żyje.

W czwartej klasie pomagałam w szkolnej bibliotece. Na długiej przerwie uzupełniałam papierowe rewery, wpisywałam daty wypożyczeń i zwrotów oraz numery kart uczniów. Ruda bibliotekarka nigdy nie pytała, dlaczego spędzam przerwy z nią, a nie bawiąc się w berka. Odpowiedź była prosta: nienawidziłam berka. Berka kucanego, berka drzewa, berka z piłkami, gry w gumę, gry w klasy, innych gier i innych dzieci.

Lubiłam rudą bibliotekarkę i Marcina z ósmej klasy, który pracował tam razem ze mną. Pewnego dnia, kiedy wychodziłam z biblioteki, usłyszałam:

– Masz przejebane, pedale. – To był Maksiu, najstraszniejszy łobuz w dwadzieścia siedem. – Słyszysz? Masz przejebane!

Krzyczał do Marcina, który leżał na drewnianej podłodze pachnącej świeżym pastowaniem, a ja kuliłam się pod ławką. Nie wiedziałam, co to znaczy „przejebane” ani „pedał”, ale z tonu Maksia wnosiłam, że nic dobrego. Zadzwoił dzwonek i morze dziecięcych głów wylało się z dusznej sali gimnastycznej, w której na udrapowanej zasłonie wisiał portret Juliusza Słowackiego, naszego patrona. Piętnaście minut temu Marcin wygrał konkurs recytatorski, a ja podskakiwałam i klaskałam najgłośniej ze wszystkich. Oprócz książki i dyplomu Marcin dostał też wpierdol od Maksia.

Zapamiętałam te dwa słowa, mnąc je w ustach przez całe lato dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Lato dziewięćdziesiątego

dziewiątego, klęska urodzaju. Tańczyłam przed telewizorem do *Livin' La Vida Loca*. Słabo znany kwartet Destiny's Child wydał drugą płytę i *Say My Name* odbijało się w mojej głowie, kiedy ja odbijałam ukradzioną z sali gimnastycznej piłką do kosza o beton, starając się rzucać za trzy jak Michael Jordan. Błogie czasy, kiedy Mambo, nie rzeźnia, miało numer piąty. Ścieżka dźwiękowa pod dorastanie, którego częścią stały się nowe, groźne słowa, była gotowa. Wystarczyło wcisnąć „play”. Czekałam na dobrą okazję.

Kiedy Maksiu zniknął, wyszłam spod ławki i biegiem minęłam Marcina, który zdążył już wstać i wycierał zakrwawioną twarz kraciastą chusteczką. Krzyknęłam wtedy do niego, trochę pytając, a trochę oznajmiając:

– Widzimy się jutro w bibliotece?

Nie odpowiedział, a ja ruszyłam dalej. Oboje musieliśmy stamtąd spadać. Marcin był wysoki, miał ciemne włosy, niebieskie, blade oczy i pryszcze. Mówił cicho i łagodnie, wyglądał na nieśmiałego, ale w bibliotece często się śmiał. Kiedy z niej wychodziliśmy, zmieniał się, przemykał korytarzami ze spuszczoną głową, ale nie mógł się ukryć, bo był najwyższy w szkole. Nosił mnie na barana, wypożyczał dla mnie książki, do których jeszcze nie dorosłam, i sprawdzał moje prace domowe. Często recytował wiersze, przygotowując się do konkursów. Często pisał wypracowania z polskiego dla całej ósmej B. Często chodził smutny, bardzo smutny. Jego rodziców widywałam w kościele. Był ministrantem. Zawsze mu tego zazdrościłam. Mówił: „Wiesz, wcale nie jest aż tak fajnie”.

Chłopcy z dwadzieścia siedem nie opiekowali się małymi dziewczynkami, nie chodzili do liceum i nie recytowali wierszy. Chłopcy z dwadzieścia siedem palili skuny, kradli rowery i zabierali dzieciom z czwartej klasy pieniądze na bułki. Dlatego nigdy nie przynosiłam pieniędzy do szkoły, kupowałam pączka w sklepie



na górce, chowałam go głęboko w plecaku, potem szłam do szatni, rozbierałam się i biegłam do biblioteki. Dopiero tam mogłam spokojnie go zjeść. To samo zrobiłam w dzień po konkursie. Zdyyszana wpadłam do biblioteki, ale Marcina nie było. Wzruszyłam ramionami rozczarowana i zaczęłam porządkować książki. Był piątek, myślałam już o sobotnim poranku, kiedy oglądać będę Hannę-Barberę, leżąc w łóżku ze Środkowym i Najmłodszą. W sobotnie poranki byłam bezpieczna. W sobotnie poranki mogliśmy chodzić w piżamach do jedenastej, oglądać bajki i jeść bułki, które rozpadały się w moich ustach, kiedy moczyłam je w gorzkim, gorącym kakao.

W poniedziałek, pogiębiona powrotem do szkoły, jak zwykle przeszłam przez dziurę w szkolnym płocie – sznur od worka na buty wrzynał mi się w skórę – i wtedy dopiero zauważyłam, że dzieje się coś dziwnego. Przed wejściem do budynku stały dzieci z nauczycielami. Kiedy podeszłam bliżej, tłum przerzedził się, rozstał przedemną. Na drzwiach wisiała klepsydra z napisem: „Marcin. Umarł. Pogrzeb. Pokój jego duszy. Pograżeni w smutku”. Pokój jego duszy.

Słyszałam sto osiem wersji śmierci Marcina. Po niedzielnej mszy wrócił do domu i zszedł do piwnicy, bo matka kazała mu przynieść ziemniaków na obiad. I już z niej nie wrócił. Jego śmierć zamieniła się w legendę: podobno zszedł po węgiel, choć mieszkali w bloku, podobno straszył w parku nocami, recytując wiersze Słowackiego, podobno znalazła go matka, która poszła po pranie. Podobno zerwał się sznur, na którym się powiesił, podobno powiesił się w komży. Jedno jest pewne: lubił wiersze.

Całą szkołą poszliśmy na pogrzeb Marcina, a każdy z nas miał białą różę. Jego koleżanki z klasy płakały i mdlały, a chłopcy zaciskali pięści ze łzami w oczach. Tak wygląda pogrzeb dziecka, tak to się robi. Ci, którzy śmiali się z niego, teraz rozpaczali, a dziewczyny, które nie chciały tańczyć z nim na szkolnych dyskotekach, stały zbite w grupki i zanosły się szlochem. Tak to się robi, myślałam.

W Nadarzynie czułam na kołnierzu kurtki zapachy Betty: gumy do żucia, papierosów, drogiej wody toaletowej i lizaków Chupa Chups. Lubiłam, jak pachniała. Żuła gumy Orbit dla dzieci, żeby zamaskować smród fajek, a lizaki ssała, żeby nie obgryzać paznokci. Niedbale wyciągała je z szortów, jak kreskówkowa postać, która ukrywa je tam w nieskończonych ilościach. Często wała mnie i nie wstydziła się, że są dziecinne.

Z Nadarzyna wracałam prawie cztery godziny, choć to tylko osiemdziesiąt kilometrów. Rzygałam w busie do Janek, a w pekaesie Grójec zasnęłam z reklamówką własnych wymiocin na kolanach. Wróciłam do pustego domu. Moi rodzice byli w pracy, Środkowy grał z kolegami w piłkę na Spoiwie, a Najmłodsza jak zwykle chodziła za nimi ze wzrokiem wlepionym w pyzate oblicze brata. Na mnie nigdy nie patrzyła w ten sposób. Podawała im piłki, a oni czasem pozwalali jej stanąć na bramce.

Umyłam zęby, żeby pozbyć się z ust zapachu rzygowin, i spojrzałam w lustro. Patrzyłam na siebie bez zrozumienia. Położyłam się na łóżku twarzą do poduszki i nagle, niezapowiedziana, weszła do mojego pokoju moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła. Nie wiedziała, że właśnie wróciłam z pogrzebu. Stwierdziła:

– Nigdy o sobie nie mówisz. – I dodała: – Muszę ci coś powiedzieć.

Został miesiąc do wyjazdu. Betty nie żyła. Moja jedyna przyjaciółka leżała martwa, zamknięta w trumnie, przysypana ziemią, sama w dole, w ziemi, na zimnym cmentarzu, a ja wąchałam kołnierz jej kurtki. Było mi wszystko jedno.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Skąd?

– Przecież ja wszystko wiem.

To było oczywiste kłamstwo, niczego wtedy nie wiedziałam, ale

w kurtce Betty czułam się trochę jak ona. Moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam moją dziewczyną, bo nigdy by na to nie pozwoliła, powiedziała:

– Zakochałam się w tobie.

Wzięłam głęboki wdech. Wydech.

– Wiem.

Wdech. Chciałam wstać, ale ona pochyliła się w moją stronę i mnie pocałowała. Zbliżyłam się do niej i też ją pocałowałam. Tak dobrze jak umiałam. Tak jak sama chciałam być całowana. Myślałam: „Nie otwieraj oczu, nie otwieraj oczu”. Nie wiedziałam, co zrobić dalej. Obiecałam sobie, że zawsze będę całować właśnie tak. Jakby na świecie nie było nic ważniejszego.

I nagle leżymy w moim dziecięcym pokoju, na wąskim łóżku między moimi ulubionymi rzeczami. Na półce stoi wieża hi-fi Sony z kolekcją wypalonych płyt kupionych z chodnika. Pomiedzy płytami kasety magnetofonowe ze składankami nagrywanymi z radia. Eklektyczne zestawy prozy, podręczników do historii i poezji, której nie umiem czytać. Leżymy pomiędzy tymi rzeczami na pościeli z Królikiem Bugsem i całujemy się. W tle leci *Little Earthquakes* Tori Amos. Tamtego lata puszczałam tę płytę nieustannie, by potem już nigdy jej nie słuchać. W tamtej chwili nie wiedziałam, czy jestem jeszcze dzieckiem, czy już dorosłam.

Zdejmuję z niej głupią bluzę polarową, nie wiem chyba, co robię. Ma pod spodem tiszert, w którym ćwicz na wuefie. Ściągam go z niej zawstydzona i niewprawna. Z siebie też muszę zdjąć ubrania. Kurtkę Betty i sweter, który jest mokry od deszczu i potu. Na zewnątrz jest zimno, deszcz sączył się na mnie od rana, pod kościołem, na cmentarzu, w drodze powrotnej. Powinnam iść po Środkowego i Najmłodszą, zaciągnąć ich do domu, by deszcz nie padał na ich jasne głowy, tak podobne do mojej, ale jestem zajęta. Ściągam jej spodnie, zwykłe džinsy, które opinają się na jej

tyłku, i nie mogę przestać. Drżą mi palce. Nagle zostaje w samej bieliznie. Mogę jeszcze zawrócić, ale nie, nie zrobię tego. Dotykam swoimi drobnymi dłońmi jej prawie nagiego ciała. Zwyczajność bielizny, jej nieodświętnych majtek, uspokaja mnie. Zdejmuję je i chyba nie wiem, co robię.

Dotykałam już wcześniej męskiego ciała, męskiej klatki piersiowej, męskiej szyi, męskich ramion i ud. Były twarde i pachniały w ostry sposób. Całowałam już męskie usta, szorstkie jak koci język. Lubiłam je czuć na swoich wargach. Kiedy jednak poznałam jej skórę, jej miękkie, wiśniowe usta, jej gładkie ciało pod moimi dłońmi, jej piersi, jej uda, zamarłam. I zrozumiałam. Każde poprzednie ciało prowadziło mnie do tego ciała. Nie chciałam być pochłonięta – chciałam pochłaniać. Pragnę jej, pragnę, żeby ona mnie pragnęła, cała jestem pragnieniem.

Drzę nie z zimna, ale ze strachu. Zdejmuję jej stanik i słyszę już tylko jej oddech, nic więcej. Przykładam palce do jej piersi. Pod moim dotykiem są twarde, twarde i piękne. I nagle gubię się w jej języku, w swoim języku, w jej cichym pojękiwaniu, kiedy napieram na jej ciało swoim ciałem. Wtedy ona, jakby wiedząc lepiej ode mnie, co dalej, kładzie moją dłoń między swoimi udami. Czuję, jak jej ciało reaguje na mój dotyk, jak staje się otwarte i mokre, i nie potrzebuję niczego więcej, nagle wszystko staje się jasne. Mam siłę zapytać tylko: „Czy mogę?“, choć wiem, że tak. Odpowiada tonem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. *Little Earthquakes* trwa pięćdziesiąt siedem minut. Nie lubię trzech ostatnich piosenek, ale teraz nie zwracam na nie uwagi.

Kiedy skończyliśmy, skończyła się płyta, a ja usłyszałam kroki Środkowego i Najmłodszej, potem dźwięk otwieranej lodówki, szum telewizora, ich ściszone głosy. Wiedzieli, że pojechałam na pogrzeb i że nie wolno im wchodzić do mojego pokoju, kiedy jestem smutna. Pokój podarowali mi rodzice na trzynaste urodziny, rezygnując z własnej przestrzeni w naszym małym domu. Moja pierwsza dziewczyna, której nie nazywałam swoją dziewczyną,

bo nigdy by na to nie pozwoliła, patrzyła na mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć, żaden film, który widziałam, nie docierał do tego miejsca. Po cięciu wszyscy byli już na powrót ubrani i jedli śniadanie. Leżałyśmy więc w ciszy. Unikałam jej spojrzenia. Próbowwała się do mnie przytulić, ale chciałam być sama. Zapytała, czy może zostać. Często wtedy u mnie spała, słuchałyśmy muzyki i oglądałyśmy filmy z wypożyczalni wideo, którą prowadził jej brat. Nie chciałam jej obecności, ale się zgodziłam. Kochałyśmy się przez całą noc, a rano nieprzytomne poszłyśmy na pożegnalne spotkanie klasy III C, na którym jedliśmy wszyscy sałatkę warzywną i udawaliśmy przed sobą, że będziemy dozgonnymi przyjaciółmi. Podchodzili do mnie koledzy i koleżanki i mówili miłe, nieprawdziwe rzeczy, a ja nie potrafiłam nawet udawać, że ich słucham. Myślałam tylko o tym, co stało się w nocy. Chciałam wrócić do domu i robić to znowu. Ona jednak unikała moich spojrzeń i mojego nieśmiałego dotyku. Zapytała:

– Czy stracę przyjaciela?

Odpowiedziałam:

– Nigdy.

Oczywiście kłamałam. Skąd miałam wiedzieć, co się z nami stanie.

Rubryka *Mój pierwszy raz* w „Bravo”, którą czytałam zawsze w pierwszej kolejności, nie przewidywała takiej sytuacji. Dziewczyna miała leżeć pod chłopakiem i czekać na to, co się stanie, czy będzie krew i czy będzie bolało. Za list z opisem pierwszego razu dawali pięćdziesiąt złotych i jeszcze w podstawówce taki napisałam, ale nigdy go nie opublikowali.

Mogłam zapytać Betty, jak to było, kiedy kochała się po raz pierwszy, ale nie miałam odwagi. Jeszcze nigdy nie wypowiedziałam słowa „seks”. Kilka razy widziałam jej chłopaków, starszych, wysokich, całowali ją, a ona ich odpychała, śmiejąc się. Nie rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi. Wielu rzeczy nie rozumiałam. Była tylko dwa lata starsza ode mnie, ale różniło nas wszystko.

W moich oczach jej szczupłe, naprężone uda, małe piersi, niesforne włosy, zadarty nos i długie palce były już dorosłe. Ja wciąż byłam dzieckiem.

\*

Widzę, że Hanka chce coś powiedzieć, ale wie, że jeśli teraz mi przerwie, moja opowieść się urwie.

– Dorota zna te historie – mówię w ich kierunku, trochę pozując na obojętność, a trochę szukając aprobaty. – Ale lubię je powtarzać – dodaję.

– Lubisz kłamać – mówi cicho Dorota z papierosem w palcach. Często przyglądam się jej, kiedy pali. Ma długie palce i chowa w nich papierosa w taki sposób, że widać tylko jego czubek.

– Lubisz kłamać? – pyta Hanka.

Czy widzi nadchodzącą katastrofę? Naszą wspólną przyszłość i nasz koniec?

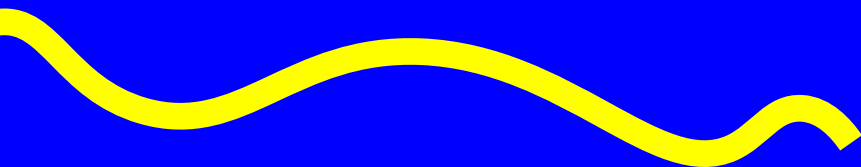
# Olga Górska:

W dniu 30. urodzin bezimienna bohaterka *Nie wszyscy pójdziemy do raju* jedzie do domu. Oprócz niej w samochodzie są dwie kobiety, które kocha. Samochód psuje się, a one w oczekiwaniu na pomoc wysłuchują historii jej życia. Poszatkowanej, niechronologicznej, pełnej zmyśleń i wyrw.

Pierwsze wspomnienie to mit własnych narodzin, kłamstwo z domieszką prawdy i serka Rolmlecz. Bohaterka przywołuje najważniejsze momenty dzieciństwa w latach 90. Poranki z Disco Relax, niedzielne msze, pierwszą śmierć. Opowiada o szkołach, w których była prześladowana, relacjach, z których uciekała, kłamstwach, które opowiadała.

Każda z historii jest przystankiem, niektóre powtarzają się, różnią się tylko małym detalem. Pozornie to opowieść podobna do opowieści wszystkich dzieci z robotniczych rodzin dorastających na przełomie mileniów. A jednak różni się od nich. Gdy koledzy z podstawówki wążają klej i palą skuny, ona odkrywa, że jest inna. Ta inność staje się kolejnym powodem do wstydu.

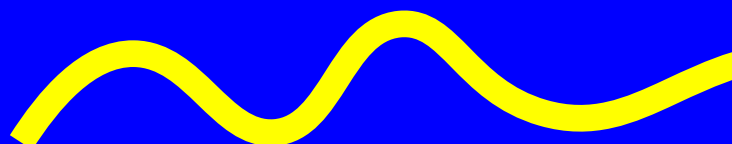
Wrodzona bierność i posłuszeństwo wobec nakazów Kościoła sprawiają, że dryfuje. Nie marzy o innym życiu, bo nie zna innego. Pozbawiona języka do nazwania własnej



tożsamości posługuje się jednym językiem, jaki zna: katolickiego wychowania. Nim opowiada o dorastaniu do bycia lesbijką. Nie jest to łatwe, bo słowo „lesbijka” jest dla niej obrzydliwe.

Narratorka poznaje swoją pierwszą dziewczynę, która nie pozwala jej nazywać się swoją dziewczyną, a zamiast tego każe spowiadać się z każdego pocałunku. Narratorka traci Betty, najlepszą przyjaciółkę, która miała wszystko, w okolicznościach, których nigdy nie zrozumie. Narratorka zakochuje się w kobietach: realnych i wymyślonych, choć ciągle jest przekonana, że przy ołtarzu w kościele będzie stać u boku mężczyzny. Aż w końcu zakochuje się. Ze wzajemnością. Ale zamiast happy endu zaczynają się kłopoty.

Opowieść nieheteronormatywnej dziewczyny w prowincjonalnym mieście – w czasach dość odległych, by stać się polem badania duchologii – nie jest rzewna. Uwypukla brutalność i brud lat 90. ubiegłego stulecia i pierwszej dekady XXI wieku. Prowincjonalne jądro ciemności zostaje rozmontowane za pomocą jej spojrzenia. Bohaterem tej powieści jest też język: język kościelnej opresji, w której dorastała, i queerowej przemocy, który odzyskuje dla siebie. W końcu dociera do niej, że te dwie tożsamości: queerowa i robotnicza są prawdziwe.





*Nie wszyscy pójdziemy do raju* to powieść drogi i powieść o dorastaniu, narracja dziewczynska, opozycyjna wobec ugruntowanej tradycji męskiej powieści o dorastaniu Miłosza, Iwaszkiewicza i Konwickiego. *Nie wszyscy pójdziemy do raju* to tętniąca muzyką i popkulturą przejażdżka po krajobrazie pozornie znanym. Daje głos tym, którzy dotąd nie byli słyszalni: dzieciom rodziców pokonanych przez transformację, które dziś są dorosłe.

*Nie wszyscy pójdziemy do raju* ukaże się w czerwcu 2022 roku nakładem Wydawnictwa Drzazgi.



# Wyprawa marzeń

A wszystko zaczęło się mniej więcej tak. Dostałem wiadomość, że mój przyjaciel ze studiów, Pawełek, który pracuje jako konsultant, a raczej pracował jako konsultant, zmarł. Podobno jego serce nie wytrzymało tempa pracy, stresu i wszystkiego, co wpuszczał do organizmu w celu poprawienia swojej wydajności.

Wziąłem dzień wolny, co nie zdarzało mi się często, żeby udać się na pogrzeb tego mojego kolegi. Odkąd skończyliśmy studia, co miało miejsce ze cztery lata temu, z Pawełkiem widzieliśmy się może kilka razy i to zawsze przez przypadek. Zwykle wyglądało to tak, że w piątek czy sobotę wieczór wpadaliśmy na siebie w jakimś zatłoczonym lokalu, gdzie akurat piliśmy wódkę ze znajomymi z pracy i bałamuciliśmy pijane dziewczyny.

Dobry był z niego kolega, z tego Pawła, bo chociaż nigdy nie rozmawiałem z nim o niczym innym niż praca, seks albo używki, to gdy był już odpowiednio zaprawiony, zawsze ze wzruszeniem wspominał nasze „piękne studenckie czasy” i podkreślał, że kumple są ważniejsi od dziewczyn, bo zawsze można na nich polegać. Jest to straszna bzdura powtarzana przez pijanych facetów, którym miękna na chwilę zbroje i chcą się uzewnętrznić, ale nie zrobią tego tak po prostu, bez dowalenia komuś, w tym przypadku kobietom, które rzekomo są takie niegodne zaufania. Pawełek kochał wznosić toasty za prawdziwą przyjaźń, a pod koniec, gdy już ledwo trzymał się na nogach, klepał mnie z czułością po ramieniu i kazał sobie obiecywać, że od teraz znowu będziemy najlepszymi przyjaciółmi.

Niestety nic nie wyszło z tej naszej przyjaźni, bo zawsze mieliśmy coś ważniejszego na głowie i nie było czasu, żeby spotkać się od tak i pogadać. A jednak trochę mną wstrząsnęła ta śmierć. Jedyne co mogłem teraz zrobić, to należycie pożegnać swojego dawnego przyjaciela.

Pogrzeb był krótki i nawet jak na tego typu uroczystość sztywny i nudny, jak zresztą całe życie Pawełka. Nie znałem nikogo z żałobników. Nikt nie przyszedł z naszej dawnej studenckiej paczki. Było kilka osób, które wyglądały na znajomych Pawełka z pracy, co wnosiłem po zubożniętych i zmęczonych twarzach. Ludzie niby młodzi, koło trzydziestki, a sprawiali takie niemiłe wrażenie, jakby ktoś im kazał codziennie zjadać worek piasku – tacy byli ociężali i zniechęceni do życia. Zupełnie jak ja. Co prawda kilka dziewczyn było niczego sobie, dobry makijaż i wyrzeźbione tyłeczki robią swoje, ale ja zachowałem stoicki spokój, wiedząc, że to i tak nic nie zmienia.

Po pogrzebie wszyscy szybko się rozeszli, nikt nie zaprosił mnie na żadną stypę. Ci, co wyglądali na znajomych Pawełka z pracy, ulotnili się dyskretnie, więc nie zostawało mi nic innego, jak tylko w samotności wypić za spokój duszy mojego kolegi.

Właściwie to miałem też powody do świętowania. Następnego dnia czekało mnie spotkanie z moim menedżerem, a z pewnego źródła wiedziałem, że ma mnie awansować na starszego konsultanta, ten cały menedżer. Na awans zasłużyłem schlebaniem komu trzeba i finezyjnym udawaniem, że robię coś bardzo ważnego, podczas gdy tak jak wszyscy robiłem same bzdety, słowem byłem przykładnym pracownikiem korporacji.

Przy barze zamówiłem od razu dwa kieliszki wódki, jeden za duszę Pawełka, drugi za mój awans. Starłem cieszyć się połową twarzy, a drugą połową – smucić, ale okazało się, że człowiek nie jest jednak stworzony do życia w ciągłym rozdwojeniu i przychodzi moment, gdy jest mu po prostu źle i nic z tym nie może

zrobić. Ciągłe myślałem o smutnym sercu Pawełka, które miało dość i przestało działać. Pawełek, jak wszyscy moi koledzy i koleżanki z pracy, miał wielkie plany i marzenia. Chciał odłożyć trochę grosza, rzucić wszystko i kupić jacht, którym miał potem podróżować po świecie, popijać rum i zaliczać egzotyczne pаниenki. Grunt to mierzyć wysoko, tak nam zawsze powtarzano. Niektórzy wspinają się przez całe lata, by na szczycie przekonać się, że nie jest tam wcale tak wesoło, jak się wszystkim wydaje, do tego pusto i pizga. Inni, jak Pawełek, spadają zanim przekroczą linię drzew i może to dla nich nawet lepiej.

Tak, zdecydowanie tego dnia upijałem się na smutno. Gdy opróżniłem dwa kolejne kieliszki, zachciało mi się wrócić do domu, zamówić pizzę, zakopać w pościeli, obejrzeć sezon serialu i następnego dnia obudzić się bez pamięci o tym, co się ze mną działo. Ruszyłem do wyjścia, ale kątem oka zobaczyłem Petera. Peter to taki miły człowiek, którego wszyscy znają, choć nikt nie wie do końca skąd. Ja również poznałem go w dość niejasnych okolicznościach, właściwie to chyba nigdy nie zamieniłem z nim nawet słowa, ale ktoś kiedyś przedstawił nas sobie w jakimś dusznym i głośnym lokalu w trakcie jednej z imprez, po których przez tydzień ma się doła.

Chodziły pogłoski, że Peter spędza większość czasu w tym właśnie barze przy placu Zbawiciela, gdzie siedzi przed laptopem i zarządza swoimi licznymi biznesami, które uczyniły go bardzo bogatym. Ludzie mówili też, że umie chodzić po wodzie, ale było to dużo mniej imponujące niż bogactwo na własny rachunek. Peter zauważył mnie, taki był czujny i spostrzegawczy, prawdziwy biznesmen. Nie wiem czy mnie poznał, czy uznał, że skoro się na niego gapię, to znaczy, że można ze mną ubić jakiś interes. Zrobił gest, żebym się do niego przysiadł. Uścisnęliśmy sobie dłonie jak starzy znajomi, a po chwili ktoś postawił przede mną szklankę whisky. Najwyraźniej Peter miał układ z barmanami, by jego gości zawsze traktować priorytetowo. Robiło się coraz przyjemniej.

Peter jako człowiek czynu od razu przeszedł do konkretów i bez owijania w bawełnę przedstawił mi swój nowy pomysł na biznes. Chodziło mniej więcej o to, żeby znaleźć ludzi, którzy coś potrafią, ale nie radzą sobie najlepiej na rynku pracy, i sprzedać ich usługi innym ludziom, którzy mają dużo pieniędzy i lubią, gdy im się wszystko podsuwa pod nos. Oczywiście Peter przedstawił mi wiele zapewne istotnych szczegółów swojego planu, ale niestety większość z nich wyparowała z mojej pamięci, a whisky, które łapczywie spijałem, mogło mieć z tym coś wspólnego.

Po przedstawieniu pomysłu zapytał, czy jestem zainteresowany współpracą. Odpowiedziałem uczciwie, że nie potrafię nic przydatnego, więc nie wiem, czy nadaję się na współnika. Peter uznał chyba, że nie spodobał mi się jego pomysł i tylko szukam wymówki, bo zrobił kwaśną minę. A ponieważ nie był to człowiek, który łatwo odpuszcza, ciągnął swój wywód o tym, że pośrednicy zawsze najlepiej zarabiają. „Czy chcesz do końca życia jak zwykły śmieć pracować na etacie na bogactwo ludzi, których nigdy nawet nie zobaczysz na oczy? Czy wolisz zostać kowalem swojego losu? Gdy nasz biznes rozkwitnie niczym kwiat i spłodzi dorodne owoce, my będziemy kąpać się w ich soku. Nigdy nie będziesz już musiał pracować – będziesz miał czas na realizację marzeń, jeśli jakiegokolwiek masz! A jak nie masz, to na pewno coś wymyślisz, bo w końcu będziesz miał czas na myślenie”. No pięknie, pięknie mi kadził ten Peter.

Pomyślałem o Pawełku i jego wielkich planach, których już nigdy nie zrealizuje. Znowu zrobiło mi się smutno, więc opróżniłem kolejną szklankę whisky, którą po chwili ktoś dyskretnie uzupełnił. W głowie miałem straszny zamęt od tych wszystkich danych i statystyk, które przedstawił mi Peter.

Pamiętam, że zanim wyszedłem, obiecałem mu, że poważnie rozważę jego propozycję. Nie wiem, jak trafiłem do domu, ale na pewno szedłem okrężną drogą. Wypiłem wystarczającą ilość alkoholu, żeby na chwilę zapomnieć o Pawełku i sercach, które

dezerterują. Przed oczami miałem tylko piękne obrazy, fatamorganę, w której mam kupę forsy i wszyscy mnie szanują.

\*

Następnego dnia rano czułem się paskudnie, mój żołądek trząsał się jak galareta, wytrząsając na zewnątrz całą swoją zawartość. Przez tę niedyspozycję nie dotarłem na spotkanie z menedżerem.

Mieszkałem sam, więc nie było komu się mną zająć, podać miskę i coś do picia, nikt mnie nie pogłaskał po głowie ani nie położył zimnego kompresu na czole. Przez kilka godzin po przebudzeniu leżałem w brudnej pościeli i kwiliłem jak zwierzę złapane we wnyki. W tej beznadziei, żeby dokopać sobie jeszcze bardziej, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, wspomniałem swoją byłą prawie narzeczoną – Ewę.

Z Ewą byliśmy razem kilka lat, poznaliśmy się w trakcie studiów. Było nam dobrze, tak mi się przynajmniej wydaje, bo skoro nie kłóciliśmy się zbyt, to chyba nie mogło być nam źle? Co prawda ja byłem nieprzekonany co do tej naszej wspólnej przyszłości. Chodziło mi po głowie, czy jeśli dorobię się jako konsultant i w końcu zadbam o swoje mięśnie, to czy nie stanę się lepszą partią i nie znajdę sobie ładniejszej dziewczyny od tej Ewy. Nie potrafiłem być idealistą jeśli chodzi o miłość, bo skoro w innych sferach życia kierowałem się zdrowym rozsądkiem, to czemu w tej kwestii miałoby być inaczej. A skoro rozum służył mi tak dobrze w życiu zawodowym, bo w końcu uczynił ze mnie starszego konsultanta, który zarabia cztery średnie krajowe, to chyba nie powinien też zawieść, jeśli chodzi o związki, prawda? Dlatego też gdy Ewa uznała, że chce wziąć ze mną ślub, byłem raczej na nie. Początkowo myślałem, że to chwilowa fanaberia z jej strony, że kolejna przyjaciółka wychodzi za mąż, więc i ona uznała, że czas na nią. Próbowałem obrócić ten cały pomysł ślubu w żart, a jak to nie działało, starałem się przemówić jej do rozsądku statysty-

kami rozwodów, ale ona ku mojemu zdumieniu była nieugięta. Postawiła nawet ultimatum. Muszę przyznać, że naprawdę przez chwilę myślałem, czy by nie dać jej tego cholernego pierścionka i w ten sposób kupić sobie trochę czasu, a potem coś wykombinować. Jakoś się z tego wykręcić.

Na szczęście postawieni pod ścianą potrafimy przez chwilę być ze sobą szczerzy. Ostatecznie zachowałem się przyzwoicie, co wcale nie wyklucza, że byłem tchórzem, zależy jak na to patrzeć. W każdym razie powiedziałem jej, że żadnych zaręczyn nie będzie. To był dla niej spory cios, to wiem na pewno. Wierzyła, że jej hazardowa zagrywka zadziała.

Przez jakiś czas wydawało mi się, że wygrałem tę bitwę. Ewa nie zerwała ze mną, a temat ślubu umarł. Aż do pewnego dnia, gdy wróciła z pracy i powiedziała, że wylatuje do Tybetu, żeby „odnaleźć siebie”. Pomyślałem, że to zwykły kaprys, pojedzie tam, pocwiczy jogę, pomedytuje i wróci, a życie będzie toczyć się dalej.

Nie wiem, co tam się wydarzyło, ale potem widziałem ją już tylko raz, gdy przyjechała zabrać swoje rzeczy.

Koło czternastej zebrałem siły, żeby wstać z łóżka i doczłapać się do wanny. Położyłem się w pozycji embrionalnej i odkręciłem wodę. We włosach miałem resztki rzygowin, z nosa zwiślał mi glut, do tego trząsałem się, sam już nie wiem z jakiego powodu. Wykapany starszy konsultant, prawdziwy człowiek sukcesu, nie ma co. Było mi wstyd. Wstyd, że doprowadziłem się do takiego stanu, że przegapiłem spotkanie w pracy, że zawiodłem Pawełka i że najprawdopodobniej zawiodę też Petera, który zobaczył we mnie potencjał. Muszę przyznać, że trochę się rozkleiłem, nie miałem już sił czegokolwiek powstrzymywać, lzy wybiły ze mnie jak studzienka kanalizacyjna. Ale tego chyba właśnie potrzebowałem, wyrzucić z siebie co nieco tego gówienka, co się w nas co dzień zbiera, szczególnie w dni robocze.

Do biura dotarłem o szesnastej, w znacznie lepszej kondycji,

choć wciąż niepewny swoich kiszek i tego, co mnie czeka, jeśli chodzi o karierę zawodową.

Wielu ludzi, których miałem umiarkowaną przyjemność spotkać na swojej drodze, ma ciekawą cechę. Regularnie narzekają na pracę w korporacji, która rzekomo wysysa z człowieka życie, ale gdy tylko przekroczą próg swojego biurowca, to nagle coś się zmienia. Jakby im ktoś z tyłu głowy przesunął wajchę. Zaczynają iść wyprostowani, dumni, z uniesioną głową i lekką pogardą w oczach. Zupełnie jakby coś od nich zależało, jakby stali się częścią zespołu, który zmienia świat, a ich życie miało jakiś cel. To chyba te schludne biura, pełne udogodnień typu ekspres do kawy, patyczki zapachowe w ubikacjach i huśtawki w strefach relaksu, pozwalają podtrzymywać zbiorową iluzję powszechnego szczęścia. Ja oczywiście, człowiek z natury zgorzkniały i nieufny, byłem zupełnie świadomy bezsensu pracy, którą wykonuję. Moją pociechą było, że biorąc pod uwagę moje przeciętne umiejętności i brak zapału do pracy, sprzedałem się za bardzo rozsądną cenę, a to już coś.

Na recepcji siedziała taka Kasia, wredna blondyna. Co drugi facet ślinił się na jej widok, a ona potrafiła to wykorzystać. Doszła do perfekcji w zalotnym chamstwie, dzięki któremu nawet wysoko postawieni menedżerowie darzyli ją szacunkiem. Gdy Kasia spojrzała na mnie ze współczuciem, zrozumiałem, że nic dobrego mnie już w tej firmie nie spotka. Gdy nawet taka franca nie ma ochoty ci dogryźć, to znaczy, że musi być źle. Mimo wszystko miała w sobie jakiś ludzki odruch, nie to co ci moi koledzy. Wypełzli ze swoich nerek, żeby przekazać mi nowinę. Nieudolnie próbowali ukryć swoje zadowolenie. Wyszliśmy na papierosa.

Niezły ubaw musieli mieć ci moi koledzy z biura, gdy opowiadali jak się to wszystko potoczyło, pod moją nieobecność. Po dziesięciu minutach, gdy nie stawiłem się na spotkanie, mój menedżer wezwał dziewczynę, która pracuje znacznie krócej niż ja, ale jest wybitną aktorką albo naprawdę traktuje swoją pracę



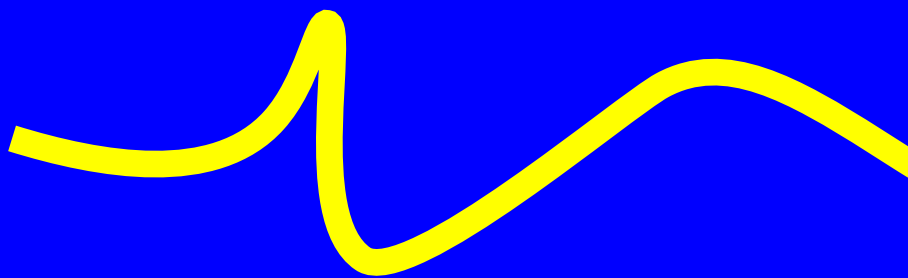
z sakralnym wręcz namaszczeniem, w każdym razie robi wrażenie istoty gotowej umrzeć na posterunku, i jej właśnie zaproponował pozycję, która czekała na mnie. Podobno stwierdził, ten mój wyrozumiały menedżer, że mogę zapomnieć o awansie, co więcej był tak zniesmaczony moim zachowaniem, które nazwał „zupełnym brakiem profesjonalizmu, by nie powiedzieć lekceważeniem wartości firmy”, że rozważa zdegradowanie mnie. Zepchnięcie mnie na samo dno, bym od początku musiał wtaczać ten swój głąz. Wtedy się nauczę pokory – tak pewnie pomyślał. Całe biuro aż huczało do plotek.

Koledzy próbowali mnie pocieszać, wykonując w powietrzu nieporadne gesty, mówili nawet jakieś słowa, które niestety zaraz po opuszczeniu ich ust ginęły porwane podmuchem wiatru. Ci moi koledzy nie przywykli do mówienia w trudnych chwilach. Gdyby tak mieć pół litra pod ręką, to by się rozgadali! Obrali więc inną strategię. Znaleźli winnych, a raczej winne. Nasze koleżanki, które zostały w biurze, by świętować z moją rywalką jej sukces, te to potrafią wchodzić w dupę, byle dostać awans – stwierdzili z niesmakiem, drapiąc się w kroku i masując swoje bicepsy. Zawsze jest pora na akt męskiej solidarności – pomyślałem. Oczywiście nie miałem za złe tej Gosi, że wykorzystała okazję. Na jej miejscu zrobiłbym to samo.

Któryś z obecnych zapytał, co zamierzam. Świetne pytanie. Rozważam dwie opcje – powiesić się albo wysadzić nasze biuro i wtedy się powiesić. Dzięki że pytasz – odpowiedziałem.

Żarty o bombach i samobójstwach są zawsze zabawne, w końcu tylko inteligentni ludzie sobie żartują na takie tematy. Moi koledzy nie byli jednak zbyt lotni, więc trochę się ode mnie odsunęli. Ogólna konsternacja. Każdy by już chciał wrócić do swojego biurka i uznać temat za zamknięty. Ułatwiłem im to. Zostawiłem ich w chmurze dymu i poszedłem sobie. Obejrzałem się tylko raz. W oknie stał mój menedżer i wydłubywał pilniczkiem brud z paznokcia.

## Bartosz Gromek:



Leszek żyje tak, jak potrafi. Umie się dostosować, zarabia pieniądze i nie ma ciężkiej depresji, a to już coś. Kiedyś miał dziewczynę, prawie narzeczoną, ale owe „prawie” sprawiło, że obecnie jest sam. Nie ma ideałów, bo nikt mu ich nie dał, nie ma też marzeń, bo to tylko rozprasza i frustruje. Ma prawie trzydzieści lat, pracuje jako konsultant w dużej korporacji i dalej nie wie, po co żyje, ale co zabawniejsze, niespecjalnie go to interesuje.


Jednak jak w każdej historii muszą nastąpić komplikacje. Życie Leszka zaczyna się sypać. Dochodzi do stopniowego rozkładu poukładanej rzeczywistości, coś zaczyna zżerać go od środka i burzy wątłą równowagę świata. Tym wielkim wybuchem, który wprawia wszystko w ruch, jest śmierć przyjaciela ze studiów, Pawełka, który pewnego pięknego dnia pada na zawał serca.

Leszek ku swojemu zaskoczeniu głęboko przeżywa śmierć przyjaciela, z którym od lat utrzymywał jedynie sporadyczny kontakt. Wytrącony ze swojej stagnacji, kierowany niejasnym impulsem rzuca wszystko i wyjeżdża w wielką podróż w Bieszczady

(zupełnie jak tysiące pracowników korporacji). By jakoś wytłumaczyć sobie tak zuchwały krok, wspomina młodzieńcze marzenie o zostaniu podróżnikiem. Zanim poszedł na studia ekonomiczne i zaczął pracę jako konsultant, chciał zwiedzać świat niczym Kapuściński albo Cejrowski, jednak wygodna codzienność tak go pochłonęła, że nic z tych planów nie wyszło. Aż do teraz.

Jego podróż przypomina wyprawę Bardamu przez życie z powieści *Podróż do kresu nocy*, jednak jest w niej mniej mroku i beznadziei, a więcej poczucia humoru, choć kto wie, czy w przypadku Leszka nie jest to śmiech przez łzy. Na swojej drodze poznaje nowych przyjaciół i wrogów. Bieszczady zamiast oazą spokoju i miejscem kontemplacji stają się centrum przemytu papierosów i potyczek młodocianych gangów. Leszek poznaje też swojego idola z dzieciństwa, Alfreda Murawskiego, autora książek podróżniczo-przygodowych dla młodzieży, obecnie skazanego na klątwę nieśmiertelności mizantropa.

Leszek daje się wplątać w miejscowe porachunki. Czuje, że zbliża się do kresu, lecz nie do końca wie czego. Staje przed dylematem, czy niczym Józio Gombrowicza i Bardamu Céline'a pozostać w ciągłym ruchu, nigdy niekończącej się podróży, uciec przed pustką egzystencjalną i ludzkimi łapami, czy w końcu stanąć naprzeciw życia i zawalczyć o swoje wartości.



# Dzienniki Jętki

## Zamek na Świętej Górze (fragment)

Chętnych na zakup zamku było wielu, lecz nikt przez długie lata nie przekuł swoich zamiarów w czyn. Nieraz było blisko, już zaraz, jeszcze chwila, mówili, za kilka dni odezwiemy się, wrócimy, by sfinalizować transakcję, a później głucha cisza. Jak kilka lat temu zacząłem pracę w agencji nieruchomości opiekującej się tym zabytkiem, mocno mnie te odmowy zadziwiały. Głównie z tego powodu, że wielu potencjalnych nabywców wpłacało niemałe zaliczki. A po tym, jak to zrobili, lekką ręką sobie rezygnowali. Mojego przełożonego w ogóle to nie martwiło, zawsze mi powtarzał, że zameczek to nasz skarb, nie oczko w głowie, a raczej monstrualnie wielkie oko, o które trzeba dbać, chuchać na nie, tulić i pieścić. Tak właśnie mówił o tym naszym zabytku, tej lokalnej perełce architektonicznej niszczonej z każdym rokiem, lecz na tyle atrakcyjnej, że jeszcze niejednego jaśnie pana oczaruje, a ten – a jakże – wpłaci zaliczkę i zniknie. Tak mi o tym opowiadał szef – Pan Stefan, głośno się przy tym śmiejąc. Ale śmiech się skończył. Tak zresztą musiało być, patrząc na to, jak długo udawało się zwodzić ludzi. Dla mnie jednak ta historia nigdy się nie skończyła, bo odkryłem *Dzienniki Jętki*. Ale po kolei.

Skąd niechęć inwestorów do kupna zamku? Jak się okazało – miała swoją przyczynę. Dowiedziałem się o niej dość późno,

pewnie dlatego, że byłem niedoświadczonym żółtodziobem i nie chciano mnie wgłębiać w tajemnice firmy. Zajmowałem się wynajmem pokoi, kawalerek i garaży, gdzie mi do zamku. Mogłem sobie tylko posłuchać, jakie to wspaniałe miejsce, jak jest ważne dla dobrostanu firmy, lecz nigdy mnie tam nie wysłano. Byłem jakby poza tym miejscem, choć często – w godzinach po pracy – chodziłem sobie w okolice zameczku i go podziwiałem, odczuwając jednakowoż trwogę. Ta narastała coraz mocniej, jeszcze nim powiedziano mi oficjalnie, co jest dziwnego w tym miejscu. W pewien mglisty, późnolistopadowy wieczór wybrałem się na spacer, nie omieszkując odwiedzić okolic zamku. Lubiłem się z nim spotykać, nie tylko dlatego, że napawał mnie niezwykłym czarem i przestraczem, ale też z tego powodu, że był położony na najwyższym wzniesieniu miasta – na Świętej Górze, jak określano ją od zawsze, chociaż na żadnej mapie nie widnieje takie oznaczenie. Żeby tam się wdrapać, potrzeba było nie lada kondycji, ale to mnie właśnie cieszyło, bo czułem, że żyję, czułem pulsującą krew, ruch mięśni, a po powrocie do domu miałem cudowne samopoczucie. Po takiej wędrówce spałem jak zabity. Ale w dzień, o którym mowa, zamiast odpoczynku nie mogłem całą noc spać! Takie wrażenie wywarło na mnie to, co zobaczyłem. Miałem już schodzić, gdy nagle ciemność jednego z okien (wszystkie zawsze były ciemne) rozświetliła jasna poświata, o cieplej barwie, była to chyba świeczka. I to się już nie powtórzyło, mimo że poczekałem kilka minut na rozwój wydarzeń. Stało się jednak coś innego. Moim oczom ukazała się niewyraźna postać. Początkowo myślałem, że to sarna lub dzik, lecz trochę się zbliżyłem i osłupiałem, bo nie było to żadne zwierzę, lecz zgarbiona postać. Chodziła dość nerwowo po dziedzińcu zameczku, a nagle stanęła i miałem wrażenie, że na mnie patrzy. Trwało to dość długą chwilę i nie wiem, co było dalej, bo nie zważając na to, że będę hałasował, zacząłem zbiegać w dół. Biegłem szybko, żeby tylko oddalić się z okolic zamku, miejsca, które mnie tak fascynuje i przeraża; w tej chwili moje przerażenie sięgnęło zenitu.

Na drugi dzień w pracy podzieliłem się tym wszystkim z szefem, myśląc, że ten zrobi wielkie oczy i zakrzyknie: złodzieje, albo może mnie skarci, że widząc to wszystko, nie zareagowałem, na przykład dzwoniąc na policję. Ten jednak stał niewzruszony. Wysłuchał do końca i tylko rubasznie się zaśmiał. Sprawiał wrażenie człowieka, którego już nic nigdy nie zaskoczy. I zaczął spokojnie wyjaśniać, że to nic niezwykłego, bo mieszka tam pewna kobieta, chyba Teresa się nazywa, i nie tylko ona zresztą, bo też kilku innych dziwaków. I tam sobie urzędują, nikomu nie wadząc, więc nikt nawet nie myśli o tym, by ich eksmitować. Zresztą – i tu zaczął zacierać ręce, a jego śmiech stał się jeszcze bardziej rubaszny – firmie nie opłaca się ich stamtąd wywalić, bo są oni jak żyła złota... Nagle zmienił się jego nastrój – chyba zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Przestał się śmiać, zrobił poważną minę i powiedział: *Będę mówił dalej pod warunkiem, że wszystko co teraz usłyszysz, zachowasz dla siebie! Jeśli nie, to pamiętaj, kim jestem dla tego miasta, wiesz, jaką mam pozycję i wiesz też, że mogę wszystko. Zdradzając mnie, czyli wynosząc z tego gabinetu na zewnątrz to, o czym tu rozmawiamy, mocno mi się narażasz. Musisz więc pamiętać, że to, co teraz usłyszysz, jest tajemnicą, którą zna tylko kilka osób. I w sumie wiesz, cieszę się, że dowiadujesz się o tym teraz, bo i tak planowałem zaangażować cię bardziej w rozwój firmy, powierzyć ci poważniejsze niż dotychczas działania. Jesteś solidnym pracownikiem, świetnie wywiązujesz się z powierzonych ci zadań, to czas, żebyś awansował. To jak, umowa stoi?*

Zgodziłem się na wszystko, poczułem się doceniony i zauważony. A co najważniejsze – dostałem we władanie zameczek! Tak, każdy bogaty klient, który teraz zgłosi się do agencji w celu kupna naszego wyjątkowego zabytku, trafi pod moją opiekę, i to ja, nikt inny, będzie oprowadzał zamożnego jegomościa po jego wnętrzach. Warunek był jeden – muszę działać w zgodzie z przyjętą wcześniej polityką firmy. To znaczy, potencjalny kupiec na początku nie może się dowiedzieć o tym, że budynek zamieszkują jacyś ludzie. Chowamy ich przed jego oczami i czekamy, aż ten

wpłaci zaliczkę. Gdy to zrobi, informujemy, że niespodziewanie prawa do zameczku roszczą sobie osoby uważające się za prawowitych właścicieli. Oczywiście, nie robimy tego od razu, by nie wzbudzać podejrzeń. Dopiero po jakimś czasie informujemy, że wystąpiły problemy i ktoś rości sobie prawa do zameczku.

Może ci się wydawać czytelniku, że my – mała prowincjonalna agencja nieruchomości – nie mamy szans z bogaczami, z tymi ich wielkimi kancelariami prawniczymi, ich pieniędzmi, że łatwo nas pogrążyć, przywrócić do pionu i wskazać miejsce w szeregu, ale nie, nie, nic z tych rzeczy. Mechanizmy, które wypracował Pan Stefan z władzami lokalnymi, a nawet wojewódzkimi, są niebywale silne i skuteczne. Sami – to fakt – nie mielibyśmy najmniejszych szans, lecz stoją za nami wielcy protektorzy, którzy też korzystają na tym układzie, więc dopóki jest, jak jest, włos nam z głowy nie spadnie. Ale jak tak o tym myślę, to czasem wpadam w przestkach, ręce mi się trzęsą, szybko się pocę, a jak zaczynam mówić, to zawsze się jąkam, bo myślę sobie, co to będzie, jak wszystko się pozmienia i zostaniemy sami? Pan Stefan, jak jest w stanie wskazującym (ja nigdy nie piję i dzięki temu wszystko zapamiętuję), czasem o tym mówi i wtedy – zupełnie jak nie on, zawsze pewny siebie, do przodu taki, nieskromny nawet i grzeszny – zaczyna rzewnie płakać, że nie chce tracić swojej pozycji, że co ma robić po tym życiu, które teraz ma, że już nawet żona i dzieci go nienawidzą, że praca to dla niego wszystko. A mnie pozostaje tylko słuchać i przytakiwać, bo nie wiem, co mam odpowiedzieć. Jeszcze dosłownie przed chwilą nie wiedziałem o żadnych lokatorach zamku, a teraz dowiaduję się aż za dużo. No nic – myślę w takim momencie – Pan Stefan to wszystko mocno przeżywa, ale myślę, że przesadza, że działanie alkoholu w pewien sposób robi z niego niewolnika swoich lęków i obaw. Na drugi dzień nie ma nawet śladu po tych dramatycznych słowach – szef przychodzi do pracy rozpromieniony i zaczyna rzucać te swoje żarty, śmiejąc się przy tym najgłośniej ze wszystkich.



Powiem szczerze, że nie przykładałem wielkiej wagi do tych jego stanów. Interesował mnie tylko zamek. O niczym innym nie myślałem. Chciałem dostać się tam jak najprędzej. Stało się to dość szybko – ledwie w kilka dni po tym, gdy tylko dostałem informacje od Pana Stefana, że to mój czas. Już nie musiałem się tam błąkać jak byle spacerowicz lub zagubiony turysta, który to tylko może zaglądać przez bramę i zastanawiać się, co kryje się w środku. Zaraz, już za chwilę, miałem stać się częścią zamku, nie tylko jego biernym obserwatorem, lecz czynnym uczestnikiem zamkowej atmosfery. A jeszcze ci mieszkańcy! Ta informacja zmroziła mnie i zafascynowała. Tak bardzo chciałem ich poznać, choć nie wiedziałem, czego mogę oczekiwać. No dobra, Bogiem a prawdą, to coś tam się w międzyczasie dowiedziałem, co nie było w sumie trudne, bo Stanisław, a raczej Staszek, jak to kazał na siebie mówić, który wcześniej opiekował się zamkiem, opowiedział mi co nieco o tej – cytując jego słowa – ferajnie na górze. Nie przebierał w słowach, określając ich jako połączenie debili, dziwaków i kosmitów. *Nie ma z nimi kontaktu tak jak z innymi, wiesz, nie ma, to tak jakbyś chciał porozmawiać z żabą – napierdalasz cały dzień, mówisz o ważnych sprawach, poruszasz niebo i ziemię, gestykulujesz, by pokazać im to i owo – a oni, jak ta żaba, patrzą się tylko na ciebie bezrozumnie i rechoczą. Tak, zaczynają się śmiać, znaczą rechotać wszyscy naraz, jakby coś im padło na głowę. Zresztą sam zobaczysz, jak już tam zawitasz, zobaczysz.*

### **Misja Teresy (fragment)**

Nim zamieszkałam w szpitalu na Świętej Górze, nim ten dawny zamek stał się moim domem, musiałam przejść przemianę – z gąsienicy i poczwarki, stając się motylem. Ale nie dziennym, a nocnym, widząc wszystko wtedy, kiedy inni śpią, kiedy inni są ślepi. Nie było łatwo, mówię ci, nie było łatwo. Nie można, ot tak,



zapragnąć cudownego przeobrażenia, po prostu pstryknąć sobie palcami i nagle wyczarować nową postać. To tak nie działa, oj nie działa. Musisz odrzucić wszystko, co wiesz i co inni chcą ci wmówić. Musisz stać się nocnym motylem, by zacząć słyszeć. Ale nim to się stanie, nim przyczaisz się niewidzialnie, nim wyostrzysz swoje czułki, musisz ćwiczyć. A jeszcze wcześniej uzyskać powołanie. Dostaniesz je od mglistej postaci, co ma tysiące par oczu. Jak mucha, ale to nie jest mucha. W tych oczach jest ciepło i zrozumienie. Promieniuje, topiąc smutki i niepokoje. I jak się w nie wpatrujesz, to nagle jeden miliardów jasnych punkcików zaczyna mrugać, a ciało się poddaje, zaczyna unosić się nad ziemią i lecieć w stronę światła.

Tu w zamku wszystko krąży wokół moich rąk. Przybywają ludzie, którzy chcą wreszcie przejrzeć na oczy i przeobrazić się w istotę, co zaczyna widzieć, słyszeć i czuć, a nie tylko myśleć, że widzi, słyszy i czuje. Pomagam im w tym, bo potrafię, jak ta postać o milionach par oczu oświetlić im drogę i pokazać, jak całe życie błądzili, gubili się w ciemnościach. Gdy staje przede mną taka osoba, zaczynam mieć wizję, lecz zamiast mówić, język więźnie mi w gardle, nie mogę wydobyć słowa. Cała sztywnieję. Ale tylko pozornie jestem nieruchoma, bo całe moje ciało drży, jakby ktoś je podłączył do wysokonapięciowego prądu. Przechodzą przez nie prądy, wiry, skręcenia, małe tornadka i zmiany ciśnienia, które jasno wskazują na nadejście nowego astralnego frontu. I trwa to dłuższą chwilę, a gdy puszcza i dochodzę do siebie, sięgam szybko po zeszyt, w którym rysuję to, co widziałam. Po prostu zamykam oczy, a ręka sama krąży po kartce. I powstają z tego tylko mi znane wzory. Dla osoby postronnej mogą być niezrozumiałe, ale ja kreska po kresce, kółeczko po kółeczku je odszyfrowuję. Wczoraj stanął przede mną rosły mężczyzna. Barczysta sylwetka kontrastowała z całkowicie wygasłymi oczami. Ten człowiek nie miał w sobie życia. Zgasło w nim na wieki. Tak chciałam mu pomóc, więc szybko po objawieniu przystąpiłam do pracy. Choć jeszcze czułam, jak kurczy i rozszerza mi się żołądek, jak łupie

mi w głowie i ścisła w przełyku, to mogłam już zacząć tworzyć mapę pragnień tego wielkiego, acz smutnego i niepewnego siebie człowieka. Człowieka, co w rzeczywistości był rybą, ale nie zwyczajną, lecz kosmiczną rybą. Tak jak jego pradziadek, dziadek i ojciec, którego nie poznał. Nie był z rodu zwyczajnych ryb, co żyją w brudnych zbiornikach i mają tam kapkę tlenu, tarzają się w mule, nic nie mogą powiedzieć. Żałośnie spoglądają przed siebie, nie widzą swojego pyszczka. Mają spięte łuski grzbietowe, obolały pęcherz pławny, bez błysku i energii promienie płetwowe, są śnięte i śpiące. Tak to widziałam, pokazały mi się bardzo wyraźnie dziadkowe płetewki, pradziadkowe łuski, te drobne skarbenki mieniające się feerią niezrozumiałych, szaleńczych, spokojnych, odchodzących w niepamięć rybich mrugnięć i całusów. Nie gupiki, nie skalary, nie wredne, obgryzające kości piranie, nie rekiny, a ryby kosmiczne, których nie da się schwycić, zrozumieć, porozumieć. Ciężko je sobie wyobrazić, potrzebujesz całego arsenału kredek, mazaków i farb, by pastelozę wyjątkową nanieść na papier, nakładając na siebie wszystkie *alla primy*, baktiki i gwasze, i zacisnąć dodatkowo powieki, by spod nich wypłynęły kolorowe strumienie, w których żyją takie okazy ryb.

Ale to, co ja wiem, może szybko zaniknąć, jeśli osoba leczona nie poczuje tej energii. Musi dać jej znać o tym ciało, które zaczyna się przeobrażać, ale nie od razu, lecz stopniowo. Zrozumienie powinno zostać odrzucone, bo ono wszystko psuje, no bo jak sobie wytłumaczyć, gdy nagle ciało obrasta muł, w którym rozścielają sobie posłanie larwy, muchówki, komary i skąposzczety, i żyją tam z radością, aż oczka im świecą, jak gwiazdy na niebie, a te małe drobinki to dopiero początek, bo wraz z cyklem przemiany ciało ludzkie powoli odchodzi w zapomnienie. Zaczyna śmierdzieć po ludzku, tak jak śmierdzi dla zwierząt, które czując ten swąd, czując, jak zbliża się człowiek, szybko się chowają i po zwierzęcemu gorliwie się modlą, aby zagrożenie minęło. Im bardziej ludzka postać zanika, tym silniej władanie nad nim przejmuje coś obcego, ale i bliskiego, pierwotnego, o czym mo-

gliśmy zapomnieć przez swoje zbyt rozrośnięte mózgi, codzienne powinności, przebudzowanie nic nieznaczącymi głupotami; wrakami bezsensownych informacji, hasłami jak hakami, zasadami zaciskającymi się jak pętla na szyi. Mój rosły mężczyzna, a tak naprawdę piękna oceaniczna ryba siedzi teraz w ciemnej celi, do której wstawiliśmy mu małą wanienkę z wodą. Powolutku się z nią oswaja i wchodzi do niej coraz częściej, aż nie będzie chciał jej opuszczać. Mamy tu wielki basen, w którym dawniej kąpiele brali najzamożniejsi z zamożnych, tak naprawdę marne, brzydkie ciała odróżniające się od innych tym, że są pełne drogich materiałów, świecidełek i pachnideł, i zmywali z siebie wszystkie swoje kompleksy, czując lekkość po takim kontakcie z wodą, podobając się sobie bardziej, choćby na chwilę. Mój człowiek-ryba nie jest tam jednak dla rozrywki, to dla niego esencja życia, woda mu potrzebna do przybrania nowej postaci. I dam mu to, a później będę słuchać z przyjemnością, jak się chlupie, jak po rybiemu się cieszy. Ale to wszystko nie dzięki mnie, bo zawsze będę to przypominać, notując w swoim dzienniku, że otrzymałam dar od mglistej postaci, co ma tysiące par oczu. Jak mucha, ale to nie jest mucha. W tych oczach jest ciepło i zrozumienie. Promieniuje, topiąc smutki i niepokoje.

### **Pojawienie się Pajęczycy (fragment)**

Ta kurwa wykazuje monstrialną niegodziwość. Ileż to razy stała przede mną, ileż to razy ją prześwieciłam, wskazując jej drogę, ta się tylko śmiała głucho, wykrzywając twarz. A najgorsze było to, że nie walczyła, nie wyzywała mnie od czarownic, pizd i szmat, ale czułam, że tak o mnie myśli, a im bardziej rechotała, tym bardziej czułam, jak mnie obraża. Nie mogłam, nie mogłam podnieść na nią ręki, bo to by oznaczało, że przegrałam, a moje metody leczenia nie zdały egzaminu, są słabe

i wyczerpane, osuwam się w przepaść, bezpowrotnie zanikam. Nie, nie mogłam sobie na to pozwolić. Moją siłą nie jest fizyczne znęcanie się nad nikim, moją siłą jest wskazywanie ludziom drogi, pokazywanie im światła, za którym powinni podążać. Gdy się tu pojawiła, zagubiona, niewinna, biedna, taka dziewczynka, jak dziewczynka z zapalkami, ale i głupia, i naiwna, jak ten czerwony kapturek, co nie rozpoznaje, że wilk przebrał się za babcię, jak się tu pojawiła, to od razu zobaczyłem, że to psia suka, taka skopana przez życie z podkulonym ogonem, która potrzebuje, żeby ktoś ją przygarnął, a najlepiej zamknął w klatce, dawał żreć i wyprowadzał na spacer na smyczy. I też, żeby zrobił jej małe szczeniaczki, co by mogła sobie je otoczyć swoją suczą opieką. I tak jej to pokazywałam, wyęczałam swój umysł, słabnąc z każdym dniem, żeby sobie to ta niewdzięcznica uświadomiła, ale ona nic, ani drgnie, stoi niewzruszona po raz kolejny i kolejny, śmieje się lub udaje poważną, aż wreszcie wybucha rechotem i zaczyna mnie przedrzeźniać. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

\*

W pewien dzień nie wytrzymałam i zdzieliłam ją plaskaczem. Specjalnie napisałam: ZDZIELIŁAM, bo to nie było zwykłe uderzenie w twarz, takie wychowawcze, lecz silny cios, tak silny, że echo poniosło się po zamku. Poniosło się tak bardzo, że moje zwierzątka zaczęły się stresować: ryby pluskać nerwowo, wyskakując, co poniektóre ze swoich basenów i baseników; ptaki, tłukąc się po klatkach, skrzeczając, gwizdząc, klóćąc się między sobą, koty pochowały się po zakamarkach, dziurach, w najciemniejszych miejscach zamczyska... Przeraziło mnie to, bo zakłóciłam porządek, który był tu cały czas, nic go nie nęciło, dopóki nie pojawiła się ona, ta suka, pozostając niewzruszona nawet po moim ataku. Zamiast poczuć w niej zmianę, wstrząśnienie wywołane tą sytuacją, ta znów ma ten swój uśmieszek na twarzy, znów czuję, jak w myślach mnie obśmiewa, myśląc o mnie, że mizda, szmata, stara kurwa, która powoli się rozpada

na kawałki. I po tej sytuacji rzeczywiście się tak poczułam, prawie osunęłam się na ziemię, co ona również musiała poczuć, bo przez ciało przeszło mi nieprzyjemne napięcie – jej triumf był przygniatający. Tak bardzo, że kolejne dni spędziłam w odosobnieniu, zbierając siły na kolejną batalię z tą suką. Coraz bardziej się jej bałam, nie tylko jej mocy, ale i swoich reakcji, tym bardziej że w tym stanie odosobnienia odniosłam wrażenie, że jakaś siła, siła, której wcześniej tu nie było, zbliżyła się do mnie na niebezpieczną odległość, i zaczęła mnie męczyć, wchodzić mi coraz silniej do głowy, objawiać w snach straszne wizje zniszczenia, że zamek płonie, a mnie odpadają po kolei wszystkie członki, oczy, usta, włosy, każde z nich zaczyna żyć własnym życiem, wtapiając się na zawsze w płonące, żarzące się mury zamku. A nad tym wszystkim kontrolę sprawuje monstrualnie wielki pająk, stawia te swoje wielkie odnóża, a szczękoczułki czekają na zdobycz, na walkę, na to, by rozerwać swoją zdobycz. Nie ma dla nikogo litości, zjada żywych, dobija konających. A później zobaczyłam, że to nie pająk, a Pajęczycza, bezwzględna i silna, z tych, co potrafią zjeść niedoszłego partnera przed kopulacją z innym, żeby móc złożyć więcej jaj. A już prawdziwie mnie zmroziło, gdy uświadomiłam sobie, że właśnie taką pajęczycę wpuściłam do zamku.

# Tomasz Jedoń:

## 1. ZAMEK NA ŚWIĘTEJ GÓRZE

Adam, agent ubezpieczeniowy z prowincjonalnego miasteczka, dostaje pod opiekę Zamek na Świętej Górze. Ma go pokazywać zamożnym klientom, namawiać do kupna, ale nie mówić o pewnym szczególe – o tym, że w budynku mieszka kilku lokatorów. Główną postacią jest Teresa, która prowadzi dzienniki.

## 2. MISJA TERESY

Po kupnie zamku i eksmisji lokatorów Adam odnajduje te dzienniki (zatytułowane przez Teresę Dziennikami Jętki). Poznaje je, dowiadując się o Teresie coraz więcej i więcej – o jej posłannictwie, pomaganiu przybyłym do zamku osobom w odnalezieniu prawdziwych pragnień, o jej planach, by rozszerzyć swoją misję poza Zamek, rozlać ją na cały świat.

## 3. POJAWIENIE SIĘ PAJĘCZYCY

Ale to wszystko legło w gruzach, gdy w Zamku poja-

wia się pacjentka, której Teresa nie potrafi wyleczyć, co sprawia, że słabnie z każdym dniem, popadając w szaleństwo. W rzeczywistości Pajęczyca jest córką Teresy, córką, którą Teresa dawno temu porzuciła. Teresa z każdym dniem traci siły i popada w beznadzieję. To wtedy nazywa siebie jętką i tytułuje w ten sposób dzienniki.

#### 4. ZAGUBIENIE ADAMA

Mimo tego stanu niezmiennie prowadzi dzienniki, zapisując także wizyty Adama, które odbyły się jeszcze przed eksmisją. Ten znajduje te fragmenty o sobie i dowiaduje się, że odpowiada za śmierć swojego brata. Według relacji Teresy, Adam zabił go w okresie prenatalnym, wchłaniając jego płód. Chociaż ten zapis może być czystą mistyfikacją lub tworem chorej wyobraźni Teresy, to Adam nie może się otrząsnąć. Zaczyna zastanawiać się, kim właściwie jest.

#### 5. WIECZNOŚĆ

Dowiaduje się, gdzie przebywa Teresa i chce się z nią spotkać. Ta jednak umiera przed spotkaniem, ale zostawia list, pisząc w nim o tym, że jest on wybraniec i powinien kontynuować jej dzieło. Połączyć się z Pajęczycą i zamieszkać w Zamku. Adam tak robi, wraca do zamku. Tam już czeka na niego Pajęczyca. Kochają się i postanawiają zostać w zamku na zawsze.

# Świt

## fragment

Kiedy pozostali przeżywali pierwsze miłości, robili prawo jazdy i stresowali się maturą, ja byłam zajęta planowaniem samobójstwa.

Internet był wtedy nowym narzędziem. Ludzie szukali w nim filmu pornograficznego, czatu z nieznajomymi, strefy czasowej w Melbourne. Mnie interesowały sposoby na zrzeczenie się życia. „Jak popełnić samobójstwo?” – zapytałam. Znalazłam świat, w którym ludzie są pomocni i szczerzy, a powieszenie się jest opisywane jak przepis na upieczenie ciasta. Odmierz taką i taką długość liny, najlepiej jutowej, sizalowej lub konopnej, współmiernej do określonej wagi ciała. Pamiętaj, żeby pętla była z tyłu głowy, odbij się mocno, a rezultat będzie pulchny i rozpływający się w ustach. Z powieszeniem się nie ma żartów – zamiast krótkiej, szybkiej śmierci, można się dusić wiele godzin na kiepskiej jakości sznurze. Wtedy też trup nie wygląda zbyt apetycznie. Nikt nie chce wyglądać źle w trumnie.

Oni to rozumieli. Słuchali, doradzali, nie oceniali. Połączeni wspólnym celem wiedzieliśmy, że do sprawdzianu przystąpimy sami.

Nie byłam samolubna, nie chciałam, żeby ludziom wystygła zupa czy przegapili występ syna jako drzewa iglastego, bo mnie znudziło się kontynuowanie procesów biochemicznych. Od razu było dla mnie jasne: nikt nie będzie musiał czekać w korku czy szukać objazdu, bo rzuciłam się pod tory.

Dlatego tabletki. Białe, żółte, czerwone, ubrane w żelatynową zbroję, skrobię, polimery organiczne. Obute w pisane drobnym



druczkiem zawiniątka, ostrzegające o odpadaniu skóry, mimowolnych skrętach kończyn i uszkodzeniach wątroby. Tylko zdrowi ludzie mogą myśleć, że to wysoka cena za brak bólu. Nerkę, pęk jelita cienkiego, lewą gałkę oczną oddałabym za prawidłową wrażliwość receptorów w synapsach.

Tabletki były opcją altruistyczną, również dla pracowników domu pogrzebowego. Trudno robić makijaż na poszarpanej twarzy. Nikt nie uwierzyłby w moją proludzką stronę, bo deptałam ścieżkami z dala od ludzi. Takich jak ja łowiłam w internecie. Tam nie trzeba było bawić się w podchody, żeby podwinąć rękaw, utrzymać kontakt wzrokowy, pokazać uzębienie.

Internet uratował mi życie.

I powierzył mi Maćka.

On mnie potrafił. Znał długą historię blizn, przypaleń, podartych kolan. Nigdy nie pytał: dlaczego, chociaż przyszedł bez instrukcji obsługi.

Maciek nigdy nie cierpiał wprost. Między jednym a drugim mrugnięciem, przez bójki, narkotyki, kasyno i dziwki, żeglował w poszukiwaniu odpływu. Nigdy nie przestał.

Stworzyliśmy rodzinę na śmietniku. Czy sami byliśmy śmiecia-mi? Myślę teraz, że po prostu nikt nie nauczył nas pływać.

### **Weszliśmy nago w dorosłe życie.**

Ubraliśmy się w cudze. Jednej matce zabraliśmy regał, innej łóżko, pod blokiem znalazła się kanapa. Odwrócona skrzynka Tyskiego dotrzymywała jej towarzystwa. Lodówka z OLX, pralka od siostry kumpla, talerze po zmarłej babci. Koc przejął funkcję żaluzji. Spętany za dnia sznurówką, wieczorami powiewał jak flaga, symbol zwycięstwa, przejęcia terenu.

Wyrzucaliśmy rzeczy przez okno, a potem po nie wracaliśmy.

Ze śmietnika powstałeś, w śmietnik się obrócisz, myślałam, kalcząc palce byłymi kubkami. Talerze przeżyły babcię o dziesięć miesięcy.

Kruszyliśmy ściany, spaliliśmy kanapę, laliśmy się po mordach. Obolała od przypaleń kanapa osłaniała lufki i butelki.

Dwójka pełnoletnich ludzi podpisuje umowę najmu, kupuje szpinak na obiad, adoptuje kota – czym jest rodzina, jeśli nie tym?

Prawdziwa rodzina to cierpienie. To, co proste, nie może być miłością. Poświęcenie wyściela każdy poważny związek, zgodziłyby się ze mną moja matka i babka. Jeśli nie zrezygnujesz z własnych celów, skąd wiadomo, że ci zależy? Własność prywatna wniesiona do związku staje się wspólna. Mówi się, że to uczciwe, bo dostałeś coś w zamian: poczucie bycia potrzebnym. Bywa, że i to znika.

### **Jako gospodyni.**

Maja lubiła poznawać nowych ludzi, więc nie przeszkadzali jej pasażerowie na gapę. Nowych nie traktowała jak ludzi, a jako zbiór niepoznanych jeszcze historii, jak puzzle, zagadkę do rozwiązania. Słuchała, pytała, głaskała po ramieniu, przytulała. W chujowych zachowaniach lubiła widzieć połączenia z przeszłością. Krucha psychika, zmiażdżona przez ambicje, oczekiwania, oceny całego świata. Lubiła wysupływać fobie z dziecięcych zawstydzeń. Delektowała się myślą, że wszyscy mają pojebanych rodziców, którzy w jakiś sposób ich skrzywdzili, skrzywili, przetrącili kręgosłup.

„Wszystkiemu winni są rodzice” – taka była jej dewiza, to powtarzała gościom-pacjentom, powołując się na badania, książki, au-

tobiografie, w końcu na swoją historię, jeśli była wystarczająco pijana, żeby na drugi dzień tego nie pamiętać. Nigdy nie chciała pamiętać o swojej rodzinie.

A Ty?

Miałeś trzynaście lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś trupa. Fascynowało cię zimne, sztywne ciało. Kołysało się w zabawny sposób. Prawdziwe, bo przecież z bijącym kiedyś sercem, a jednak jak odlew, jak istota z muzeum figur woskowych.

Powieszenie się jest najpopularniejszym męskim sposobem popełnienia samobójstwa w tym kraju. Najczęściej owych prób dopuszczają się żonaci mężczyźni w wieku 30–49 lat. Twój ojciec jeden raz w życiu zachował się standardowo.

Patrzyłeś na bose stopy, spodnie ubrane na lewą stronę, ocierające się o uda opuszki palców. Ucinałeś wzrok na wysokości szyi, gdyż wyżej zaczynał się trup właściwy, trup z imienia i nazwiska, niegdyś ciepły, czasem miły, zwykle jednak skurwysyn.

Mignęła ci przez ułamek sekundy, zaraz jak otworzyłeś drzwi, pewien, że spędzisz cały dzień grając na PlayStation. Nie myliłeś się. W zabijaniu smoków przeszkadzała ci jednak wirująca w kąci oka, blada, sina, schylona. Znajoma. Głowa.

Dziesięć lat później w zimnym świetle uniwersyteckich lochów, dowiedziałeś się, czym jest bruzda wisielcza. Wróciły do ciebie obrazy znane od teraz jako wybroczyny krwawe podspojówkowe i sinica. Umiejętność nazwania bólu nie zmniejszała go.

Wtedy obce ci były medyczne nazwy, więc włączyłeś grę i zadzwoniłeś po dziadka. Przyjechał po godzinie, wyprzedzony przez obcych, którzy zdążyli już ściągnąć ciało z żyrandola.

Znali cię. Patrzyli, niepewnie, ale ręce trzymali przy sobie.

Nie mogłeś pozwolić, żeby cię zabili. Gapiłeś się w ekran, a od

ściskania joysticka w dłoniach zostały ci sine odciski.

W końcu jest spokojny. To była twoja pierwsza myśl. Nareszcie odetchnął, nie wierzgał, nie przebierał nogami, wisiał spokojnie i spokojnie patrzył przed siebie. Zawsze zachowywał się jak szczur w laboratorium, szczur, który wiedział, co go czeka. Rozedrgany, pełen ruchów, tików i okrzyków, zapierdalał w kołowrotku zwanym życiem.

– Skurwysyn – usłyszałeś z progu. A więc ty i dziadek mieliście podobne zdanie na temat ojca.

Mama? Czy jest człowiekiem, zastanawiałaś się kilka razy. Widziałaś wprawdzie, że chodzi do toalety i czasem bierze tabletki przeciwbólowe, ale to jeszcze żaden dowód. Czy płakała? Czy było jej smutno?

Gdybyśmy żyli w bajce, to jej dotyk i oddech mroziłyby wszystko dookoła. W bajce byłaby złą królową. Złe królowe nie mają dzieci. Więc dlaczego ona ma?

Kiedy bezskutecznie próbowałaś przytulić się do pani Grażyny, waszej sprzątaczkii, a listonosz jasno powiedział, że nie lubi łapania za nogę, zdecydowałaś, że zbudujesz maszynę do przytulania. Ona przynajmniej nie umrze, myślałaś. Była zimna. Wszystko, co ciepłe, odchodziło. A jednak mojego ciepła nie umiałaś przyjąć. Pragnęłaś ciepła gosposi, ale ode mnie wymagałaś wyłączenia ludzkich odruchów, odruchów żony do męża, matki do syna. Tylko naćpany byłeś inny. Więc co mi pozostało? Co ty mi pozostawiłaś?

### **Posmaruję cię.**

To jest maść na stłuczenia. Musiałaś się gdzieś uderzyć w plecy. Bardzo mocno. Wyglądają źle. Fioletowe. Podnieś się trochę...

– Masz jeszcze gorączkę? – Naszykowałam miskę z wodą i my-

dłem. – Zimna woda cię ożywi.

Usiadłam na brzegu łóżka i zaczynając od głowy, przykładalam pokrytą porami gąbkę do jego twarzy.

– Jakby była za zimna, to mów.

Kolistymi ruchami przesuwalam się coraz niżej, od szyi po klatkę piersiową, brzuch, uda. Kiedy skończyłam na stopach, sięgnęłam po ręcznik i zaczęłam wycierać.

Dzisiaj kwiat wiśni – mówię. Nałożyłam gęstą maź na dłonie i zaczęłam go smarować.

Patrzyłam na jego paznokcie, nabrzmiałe i sine. Przyglądałam się kręgom pod oczami, wypadającym rzęsom, lekko rozchylnym ustom. Naczynka krwionośne pękały pod moimi palcami. Sino-czerwone kolory zajmowały coraz szersze powierzchnie.

Przestałam liczyć, jak długo tak leżysz, ile razy wracałeś do odleżyn, potu i wymiotów.

Maciek, czemu ty to sobie zrobiłeś?

– Taki kruchy jesteś, delikatny...

Wzięłam kolejny krem, tym razem do twarzy, a potem musnęłam go odrobiną podkładu, w odcieniu ivory pięć. Cały błydy jest, biedak, chory taki, zmęczony. Nie chciałam, żeby się sam siebie w lustrze wystraszył.

Kiedy w końcu się stąd ruszysz? Chodzisz w ogóle do łazienki czy znowu sikasz do butelki? Przypomina mi się ta noc, po której nastąpił rozkład obowiązków i wierzeń, rozpad Maćka jako chodzącego człowieka.

Noc była gorąca i cicha, a ty rozsmakowałeś się w białej diecie już na dobre. Miałeś prawie czterdzieści stopni gorączki, twoje ciało gotowało się od wewnątrz.

Wrzuciliśmy cię w zaspę śniegu.

Tutaj na brzuchu też się uderzyłeś? Przemieszczają się te plamy, tak jakby. A może to maść już działa? Czekamy na lepsze czasy.

Pamiętasz, zawsze się świetnie razem bawiliśmy. Nasikać na wóz policyjny, ukraść pasek z HM-u czy uprawiać seks pod figurką Matki Boskiej Bolesnej, śmiechem, grzechem, zaniedbaniem wyznaczaliśmy swoje ścieżki i nigdy nie patrzyliśmy wstecz.

To chyba z tydzień, kiedy ostatni raz wyzwalałeś mnie od kurw.

Zrobić ci herbaty?

### **Pamiętam dobrze, gdy pierwszy raz mnie uderzyłeś.**

Okładałeś bezkształtnymi dłońmi, czasem łokciem, nadgarstkiem, kolanem. Znosiłam to cicho, odsuwałam się, głaskałam cię po głowie. Wykopałeś mnie w końcu z kanapy, więc przywlekłam materac z kuchni i położyłam się obok. Materac tam już został. Doglądałam go jak dziecka w inkubatorze, z raną po oderwanej pępowninie, która nie chce się zagoić. Stworzyłam protezę nowej z przedłużenia własnej ręki. Rano nie pamiętał niczego. Snów też nie. Usypiał na sekundę, ułamek, górna nie zdążyła musnąć dolnej powieki, a już wrywany był kurczącymi się kopnięciami. Uszy były najgorsze, toczyły tupot stóp, nieznane tembry głosów, które przetaczały się przez pokój, szeptały pod drzwiami, uderzały łomem w rury.

– Zawsze wiedziałam, że masz zadatki na damskiego boksera – powiedziałam mu z za kubka kawy pewnego ranka. Siedziałam jak zwykle z nogami wyciągniętymi w poprzek stołu. Dwadzieścia lat krzyków i plasków w ryj nie zmieniło tego nawyku.

Uparta byłam, silna jak stonka. Mój stary tak mówił. Porównywał swoją jedyną córkę do szkodnika. Mordercy ziemniaków.

Maja. Wieś w Chorwacji. Rzeka w Rosji. W mitologii matka Hermeza. Maja pospolita jest jak inni przedstawiciele jej gatunku, żółto-czarne chrząszcze z Kolorado, które nie zasłużyły się niczym, nie zrobiły nic. Nic.

W pewnym momencie, a było to może na czwartym roku studiów, gdy kace były coraz dłuższe, a dni krótsze, zapagnęłam zmiany silnej i nagłej. Zapagnęłam tak, jak zawsze pragnęłam, w tej sekundzie, już i teraz musiało być, stać się, wydarzyć, a kto nie nadążał, ten zostawał w tyle, a kto zostawał w tyle, zostawał porzucony, amen. To była jej reguła, reguła wystawiona na wielką próbę. Maciek bowiem nie chciał zmiany. Oboje czuli się oszukani: ona, że on się nie zmienia, on, bo ona się zmieniła.

Oboje wpadli na ten sam pomysł: przeczekać. W końcu drugiej stronie się znudzi, odechce, podda się, zrezygnuje ze swojego idiotycznego pomysłu. Cierpliwszy wygrywa, toteż oboje postanowili ćwiczyć się w tej cnotliwej, acz nieznannej im wcześniej cesze.

Czasami tylko przed snem wyobrażali sobie inne światy. Maja wyobrażała sobie mężczyznę, który ją ratuje. Poznaje kogoś, kogoś idealnego, dzięki komu będzie mogła czuć się dobrze. Będzie robić mu dwudaniowy obiad i deser i prasować koszulę. Wieczorem, kiedy będą przychodzić jego koledzy na pokera, ona zrobi dla nich przekąski, napełni kubek z lodem, naszykuje whisky i popielniczki. Później ubrana w długi płaszcz i szpilki pocałuje go w usta i wyjdzie, a on nie będzie musiał opowiadać kolegom, jakim jest szczęściarzem, bo każdy sam to sobie pomyśli, jak ją zobaczy.

Nikt jej nie zabroni dbać o niego. Nikt nie powie, że nie jest jego matką.

Zamiast tego obok leżał Maciek. On myślami mieszkał w Australii, miał bar na plaży i żadnej dziewczyny. Towarzyszyły temu odgłosy strzelaniny i stukot klawiszy. Wyczekiwana zmiana mu-

siała poczekać, aż zabije smoka i przejdzie na następny poziom.

Pielęgnowałam w sobie chęć odejścia, ale życie szło dalej. Rozsiadłam się w pęknięciu szerokim na długość moich ud. Moje ciało nienawidziło Maćka, świadome, że to przez niego napina wszystkie mięśnie. Przeszawałam być całością. Mam jeszcze czas, mówiłam sobie. Data ważności tabletek upływała za dwa lata. To miał być mój finisz wśród żywych.

Zażębiona z cudzym życiem, wyłączyłam internet. Mówię więc: oto jestem. Sprawdzam. Zawieszam na hak moją misję, by wziąć udział w twojej. Kim jestem, towarzyszką broni, odbiciem, pracownicą socjalną, matką?

Nie wiedział. Odpowiedziały mi pogryzione wargi i wielkie siniaki, krwotok z nosa, trzęsące się ręce.

Rzucił studia, był dilerem, ramieniem w piramidzie sprzedaży, kucharzem, ogrodnikiem, taksówkarzem. Próbował być nauczycielem angielskiego, biznesmenem, filozofem. Perorował, że się zabije albo zabije kogoś. Że wyjedzie na koniec świata i zacznie nowe życie, beze mnie, bo ja, jego kontur rodziny, byłam winna, że on nie wie, jak żyć. W nocy budził mnie jego pot i krzyk. Walczył z niewidocznym wrogiem, który czał się pod naszymi drzwiami. Widział jego cień, słyszał jego głos.

Byłam wrogiem.

Jak inne komórki w jego życiu, przez pomyłkę.

Można powiedzieć, że Maciek nie ogląda się w tył, skoro gubionych rzeczy nie szuka. Nie szuka, bo nie ma czasu, szuka czegoś innego, a mianowicie momentu, kiedy stał się ćpunem. Wie, że nim jest, chociaż zęby ma wszystkie, dzięki Bogu.

Stukał, macał, paluchami wypychał, czy aby na pewno dobrze siedzą, to miało być takie potwierdzenie, że nie jest z nim naprawdę źle, trochę źle to tak, w końcu schudł czterdzieści kilo,



rzyga codziennie i trzęsą mu się ręce, ale zęby ma wszystkie. Siedzą. Kiedy jego ciało leżało, zostawiając mokre i gorące plamy, głaszcząc swoje trzonowce, myślał o rodzicach, ludziach tak zwyczajnych, odległych, w koszulach i stukających butach.

To było lato, kiedy przyszła do niego po raz pierwszy Aneta. Cała na biało, w srebrnym kostiumie, usiadła na stoliku kawowym. Ach, Aneta, kiedy Remik poznał nas ze sobą, myślał, że spotkamy się raz na tydzień, dwa, a ty przychodzisz codziennie. Ścisnęłaś mi brzuch i mózg, zabrałaś kilogramy, włosy, umiejętność myślenia o czymś innym. Nieprzewidywalna suka z ciebie, zabrałaś mi wszystko, i tak cię kocham.

To było później, to jest teraz, wtedy, te kilka lat temu, kiedy zamykaliśmy się razem w kiblu, dzięki tobie poznałem uczucie wolności, podniecenia, rozluźnienia. Rozluźnienia przede wszystkim, w końcu Maciek lubił być sobą, i to uczucie, ta nić sympatii do samego siebie, okazała się najważniejszą nicią w jego życiu. Nic dziwnego, że uzależniająca.

W narkotykach fajne jest wszystko, myślał, więc musiał być ten zjazd, bo wszystko, co fajne, się kiedyś kończy, śpiewali o tym piosenki, mówili w telewizji, ostrzegali na spotkaniach w liceum, gdzie mężczyzna w wypłowiałej ramonesce grał na gitarze i opowiadał o swoich ekscesach. Maciek mógłby przysiąc, że to nie chęć pomocy, a pochwalenia się rockandrollowym życiem pchała byłego basistę w progi śmierdzących potem i starymi trampkami budynków. Mógłby przysiąc, że nie ze skruchą, ale z rozrzewnieniem i sentymentem opowiadał swoje historie ten były playboy, bywalec wszystkich spelun w kraju, który prawie kiedyś rozmawiał z Mickiem Jaggerem, który prawie kiedyś zrobił karierę za granicą. Jak Maciek miał wierzyć, że to wszystko przez narkotyki, Mickowi Jaggerowi jakoś nie przeszkodziły w staniu się Mickiem Jaggerem. Zakwalifikować jego wyznania jako przestrozę, to chyba raczej nie, zresztą Maćka to zachęciło, a nie zniechęciło, ta przygoda, ta jazda bez trzymanki obiecywa-

na też przez *Ćpuna* i *Trainspotting*.

Stary ćpun nie mówił nic o halucynacjach, myślał Maciek, kiedy zwinięty jak embriion w łonie trząsł się w mokrej pościeli.

To fizjologicznie niemożliwe – powtarzał sobie, jednak oczy mówiły inaczej. Ludzie bez głów stali nad nim. Mieli łuki i mierzyli do niego. Śmiali się.

„Jebany ćpun” – mówili jedni. „Trzeba go dobić, bo już dłużej nie pociągnie”.

„Nic z niego nie będzie” – kiwali głową inni.

Siedzieli jak w teatrze greckim, a on pośrodku w blasku reflektora.

Siedem, dziesięć głosów mówi na raz, próbował się wsłuchać w każdy z nich, złapać rytm, melodię, może to był kanon, chór, który przy każdym zamknięciu oczu recytował coraz szybciej. Mruganiem próbował zmniejszyć głośność, jednak pokrętko było zepsute. Przebił sobie wówczas błonę bębenkową, a potem zakleił ucho plasteliną.

Wody w ciele mu zabrakło.

Ile z tego wypłakał, wypocił, wysikał, nie wiadomo. Zjazd, który pożarł rzeczywistość, trwał tygodniami, miesiącami, aż w końcu stał się codziennością, prawdą, dniem i nocą, złączył wspomnienia z myślami i planami, jedzenie z wymiocinami, głosy słyszane z zewnątrz z głosami słyszonymi w głowie, wiercenie za oknem stało się zaś wierceniem zza błony bębenkowej.

– Jaki jest miesiąc? – spytał Maję, wychylając pół oka spod kołdry.

– Maj – usłyszał w odpowiedzi.

Fizycznie czuł się lepiej, psychicznie zaś niezdarny i niezdolny był do jakiegokolwiek ruchu.

**Idzie nowe.**

Co zrobić z uratowanym ciałem, jeśli jedyne co ratuje, to trucizna? – zapytał Maciek tego ranka, gdy pierwszy raz od tygodni sam ubrał spodnie i poczuł drewnianą podłogę pod stopami.

Zaczynam od nowa – obwieścił. Staął, zadowolony z siebie, z pierśią wypiętą i stał tak siedem sekund, aż zapadł się w sobie i wrócił do łóżka.

Czuł, jakby przebiegł ultramaraton, Ironmana. Z kamieniami na plecach, krwawiącymi stopami i zatruciem pokarmowym biegł w stronę niewidocznej mety. Wiatr chłostał jego twarz, słońce spalało mieszki włosowe, a on biegł, truchtał, czołgał się, by zdobyć medal, taki sam medal, jak tysiące innych ludzi. By osiągnąć to, co wszyscy inni. Czy to w ogóle może być atrakcyjna nagroda?

Takie fatamorgany miało jego ciało. Ciało rozczarowane tym, że nadludzki wysiłek na nic, że nie ma mety, nie ma nawet biegu, jest łóżko i przebieranie nogami pod mokrą kołdrą.

Leżał nadal, jak leżał pięćdziesiąt dwa dni, budząc się tylko po nową porcję cukru. Myśli pchały się wszelkimi zwieraczami, otworami, spustami, gnieździły się wśród neuronów/komórek i gniły. Wegetował, gnił, stapał się z pościelą. Przespał tydzień, pół miesiąca, miesiąc.

Maja gotowała zupę, poprawiała poduszki, biegała po mieście za marihuaną.

Gdy odzyskał siły, Maciek odnalazł w sobie pasję ogrodniczą. Zasadził pięć sadzonek, stwierdził, że będzie dilerem-miłośnikiem roślin.

Pielęgnował, pieścił wodą, głaskał światłem.

Ledwo co wyrosło, to sam spalił, większość jednak lampą usmażył, konewką przelał i skazał na tożsamy żywot – gnicie.

Siedział na łóżku i płakał. Płakał nad Nesti, swoją ostatnią sadzonką. Płakał nad ludźmi bez nóg, psami przywiązany do łańcuchów, kotami na obiad.

Płakał i płakać nie przestawał, bo teraz płakał nad odzyskanymi płynami, śliną do przełykania, łzami do oczyszczania. Jak to dobrze w końcu splunąć – myślał z ulgą. Przez ten cały czas tylko pot go nigdy nie opuszczał.

– Zasadzimy nową. – Maja przytuliła go i pogłaskała po twarzy. Pocałowała go w czoło, potem w prawy i lewy zapłakany policzek.

### **Najbardziej nie do zniesienia jesteś na trzeźwo.**

Krótkie te momenty, na szczęście, gdy między zjazdem a wjazdem skręcałeś na Górę Kalwarię, przeistaczałeś się w ojca Pio, a my nie byliśmy godni całować podeszwy twego sandała.

Jak wtedy, kiedy zrobiliśmy imprezę zwiastującą tve nowe oblicze, Maciej wersja pięć kropka zero.

Do świata żywych powróciłeś w towarzystwie balonów, transparentu i oceanu alkoholu. Każdy chciał się napić z trzeźwym Maciem, największym ćpunem w okolicy, który wciągał tabletki przeciwbólowe nosem i pił płyn do czyszczenia felg, który nagle jest czysty i wraca, obwieszczając: „Teraz tak będę żyć”. Teraz będę zachwycać się zapachem świeżej pościeli, nutką kwaskowatości w dopiero co zmielonej kawie, a nade wszystko miłością do mojej pięknej, wspaniałej dziewczyny, która wyciągnęła mnie z tego gówna, dziękuję ci, Maja, usiądźcie wszyscy. Tak, wszyscy przyszli obejrzeć to dziwo, coś, o czym słyszeli wcześniej, ale nikt wcześniej tego nie widział, oto stoi przed nami czysty dwudziestopięcioletni narkoman i mówi, że tak teraz będzie żyć, więc co mogliśmy innego zrobić, dostał owacje na stojąco i toast.

„Witaj w domu”, wyjątkowo ironiczne, bo Maciek przecież z domu

nie wychodził przez ostatnie dwa miesiące. Nie witało go toteż to, co go w domu uwięziło, równocześnie to, za czym najbardziej tęsknił. Amfetamina, kokaina, LSD, ecstasy nie miały od teraz wstępu do mieszkania przy Kołłątaja sześć.

Maciek miał być jeszcze kochany wiele razy, naspeedowany jeszcze więcej, ale wtedy, tego majowego wieczoru, kiedy powietrze było zielone i świeże, i wyjątkowo nikt się nie wyrzygał przez balkon, wszyscy wierzyli w wielką przemianę Maćka. Wszyscy poza nim. I nią.

„Tylko słabi uciekają w narkotyki” – perorowałeś z papierową koroną na głowie, gdy organiczne związki chemiczne wyrzygane i wypocone opuściły już twoją krew.

„Ja już nie jestem słaby, ja już teraz znam siebie, to jest najważniejsze, samoświadomość”.

Albo: „Alkohol to droga donikąd, mordo, mówię ci, idź pobiegaj lepiej albo poćwicz mindfulness”.

Nikt nie odważył ci się przerywać, wszak ty byłeś tutaj gwiazdą numer jeden, Krzysztofem Krawczykiem tej imprezy, poza tym wszyscy już byli najebani.

„Mój terapeuta powiedział”...

– Zamknij się, Maciek – powiedziałam.

– Nikt wcześniej nie zauważył, jaki Maciek jest wkurwiający na trzeźwo? – spytał Remik.

– Nie, bo Maciek nigdy wcześniej nie był trzeźwy – odpowiedziała Rysia.

Czy miała rację? Sama próbowałam sobie przypomnieć cię, ale cię cię, nie porobionego, nie na zjeździe i czy mogłam?

Pierwsza w życiu impreza na trzeźwo, widziałam, jak patrzyłeś na tych ludzi i nie dowierzałeś.

„To są moi przyjaciele?” – myślałeś, załamany w swojej trzeźwości.

Schowalesz się za książką. A oni tu przecież dla ciebie byli.

– Już bardziej pretensjonalny nie możesz być? – kopnęłam cię łydękę.

– „Człowiek jest czymś, co pokonanym być powinno” – przeczytałeś i odwróciłeś się plecami. Remik wzruszył ramionami.

Trzeźwość demaskowała cię jako dupka. Nic dziwnego, że od niej uciekałeś. A może to my wszyscy cię od niej odepchnęliśmy?

### **Nigdy nie byłeś tak zimny jak teraz.**

Zabawny to widok, muszę przyznać, dorosły mężczyzna skutą kołdrą.

Brakuje mi ciebie. Chociaż leżysz rozbebeszony przede mną.

Kołdra między nogami, kolana szare, nagie, leżysz od dwudziestu pięciu godzin.

Pod pachą termofor w kształcie sowy. Na wysokości żołądka pod żebrami leży gumowy lisek chytrusek. Grzeje cię swoim pomarańczowym futrem, ale ty zimny jesteś na te zabiegi. Zzieleniałeś tylko w okolicach żeber. Z zazdrości?

Pora karmienia. Przykładam cię do piersi i kołyszę. Obyś nie pogryzł mi sutka tym razem. Lubię cię poić, łyżką nad głową wymachiwać. Zawsze byłeś fanem mojej kuchni, zawsze aż do wczoraj, kiedy pierwszy raz ostro i zdecydowanie, nieprzejednanie zwarłeś usta na amen.

Myślę: zjesz jak będziesz głodny. Ale głodny nie jesteś już dwadzieścia siedem godzin, a jedzenie zaczyna być cierpkie.

Co by zrobiła moja matka na moim miejscu?

Posprzątałaby.

Sięgnęła więc Maja po miotłę.

Maciek patrzył na mnie zdziwiony. Wiem, że to już trzeci raz dzisiaj, ale...

– Brudno jest – wyjaśniłam. Zabrałam się do mycia podłogi, sięgnęłam po mopa i zanurzyłam go w płynie do mycia podłóg. Wody w wiadrze nie było.

Ciało Maćka cuchnęło. Tak mi się zdawało. Przez pory skóry wydostawał się jęk gnijących tkanek.

Może ona też cuchnęła. Może resztki utykały w mieszkach włosowych, ropiały, czerwieniły skórę, wyrzucały ją. Wyobrażała sobie wątrobę, która to brązowieje, to zażółca się, dysząc pod naporem pracy. Naczynia krwionośne rozszerzające i kurczące się kilkaset razy dziennie, przez które płynęły z krwią białe drobinki.

Podczas gdy półka w przedpokoju mierzyła się z ciężarem odświeżaczy powietrza, świeczek, kominków, dyfuzorów, Maja wciąż czuła smród.

– Czujesz to? – pytała Maćka kilka razy dziennie. Pytała automatycznie, nie wierzyła jego odpowiedziom, nie wierzyła w jego węch, słuch, wzrok, zawłaszczone przez cudze substancje.

– Kogo ja pytam, przecież ty usmażyłeś swoje receptory węchowe – odpowiadała sobie i wracała do szmaty.

Moczyła Maćka w tonącej w solach i kulach kąpieli. Szorowała go gąbką, usuwała martwy naskórek, masowała włosy, paznokcie, łaskotała palce stóp. Godzinę to mogło trwać czy dwie, nieważne, ważna była czysta skóra, świeży oddech.

Jednak to nie skóra była problemem, a to, co pod nią. Maja o tym wiedziała, ale co miała zrobić?

Łazienka chowała się pod kolejnymi specyfikami. Coraz dziw-

niejsze nazwy przyrównywały kąpiel i rytuały jej towarzyszące do uczty weselnej, cukiernianej biby w pastelowych kolorach. Puder o zapachu malinowej babeczki, mus czekoladowy, galaretka pomarańczowa, muffinka do kąpieli, by wymienić niektóre z nich, nie spełniały swojej roli.

Wszystko kojarzyło jej się z gniciem. Kwiaty –gniły. Skóra –gniła. Jedzenie, zmokłe książki, dywan. Wszystko, co jej towarzyszyło, było toczone procesami gnilnymi, aranżowało bakterie, grzyby, robaki, muchy, cieszyło się słoneczną pogodą, wypuszczało soki, rozsiewało zapachy. Ledwie kończyła sprzątanie, zaczynała je znowu, tłumacząc sobie, że coś przeoczyła, że coś gnije niespodzianie i trzeba to wyrzucić. Czowała, jak grzyb kiełkuje pod białą farbą, wyobrażała sobie, jak się dzieli poprzez pączkowanie i dusi ją w nocy. Malowała więc ściany, sufit, odkrywała kolejne narzędzia i preparaty do usuwania wilgoci, zapobiegania, łapania, suszenia. Wilgoć, zarzewie gnicia, stała się jej obsesją. Uwikłana w dziesiątki grup na Facebooku łączyła sodę z octem, spirytus z kwaskiem cytrynowym i szorowała, szorowała, szorowała.

Pewnego poranka, gdy podpisywała list polecony, spojrzała na swoje dłonie i wzdrygnęła się. Wysuszona, łuszcząca się skóra, pomarszczone opuszki palców i zdarte do krwi kostki nie przypominały rąk dwudziestokilkulatki. Były to dłonie staruszki, co więcej, zżartej stresem staruszki pracującej w pralni, z poobgryzanymi paznokciami, wyrwanymi do krwi skórkami. Wtedy pierwszy raz przez myśl przebiegło jej, że skoro nawet rękawiczki nie dają rady tylu detergentom, może trzeba kupić grubsze.

To, że oszalała, usłyszała od szefa ekipy remontowej. Nie ma sensu zrywać takiej pięknej podłogi – powiedział jej budowlaniec. – Tam nie ma żadnej wilgoci, żadnego grzyba. Czysto tu jak w kostnicy.

– Skąd więc ten zapach? Czuje pan? Jakby coś się zepsuło – drażyla.



– Ja tu, proszę pani, niczego nie czuję.

„Bo Maćka nie ma w domu” – pomyślała gorzko.

Maciekgnił najszybciej. Szorowanie skóry pomagało tylko na chwilę, problem był w środku. Tłumaczyła sobie, że jego ciało pozbywa się trujących substancji, stąd potrzeba kilku dni, tygodni, by wróciło do normy.

Po trzech tygodniach wciąż śmierdziało. Śmierdziało.

Wówczas uświadomiła sobie, że musi się pozbyć ciała. Musi się pozbyć Maćka.

Pytam: gdzie jesteś?

Czy świat mi cię zwróci? To już dziewięćdziesiąt dziewięć dni, odkąd twoje zimne stopy szukały moich pod kołdrą. Czeka na ciebie niedokończona zupa ogórkowa, lewa część szafy, rozrzucone na korytarzu sznurówki.

Dziewięćdziesiąt dziewięć dni temu nie powiedziałeś nic.

Nie pamiętam, kto przekręcił i wyrzucił klucz.

Chciałabym wierzyć, że ty.

Chciałabym wierzyć, że moje poświęcenie ma imię.

Sprawdzam w łazience i pod zlewem, ale nie ma nikogo. Wącham twój T-shirt, to jesteś ty: dym i metaliczny smak żelaza. Czy ktoś wcześniej lizał już koszulkę?

Wąchałam cię, jakbyś miał zostać w zapachu.

Zaczęłam to robić, bo musiałam cię sprawdzać.

Przyznam ci się teraz, że to było wtedy, gdy chodziliśmy razem na Chmielną. Kazali ci sikać do kubka i obiecywać poprawę. Nie zrobiłeś dobrego pierwszego wrażenia.

– Dziewczyna cię tu przywlokła?

Pokiwałeś głową.

– Wypierdalaj. Wróc sam, jak zmądrzejesz.

Zaimponował mi. Ja też mówiłam, żebyś wypierdalał, ale nigdy nie miałam tego na myśli.

Czy tęskniłam za życiem na zewnątrz? Na zewnątrz czego? Jak pianka poliuretanowa, życie dopasuje się do kształtu naszych palców.

Zewnątrz było niebezpieczne. Było rozległą przestrzenią niewiadomą. Obcymi ciałami, skażonymi substancjami, zimną metalową ławką.

Zewnątrz to Maciek wtulony w plecy bezdomnego na dworcu autobusowym. Skopany przez dilerę w kałuży przed klubem. Ściśnięty pasami po płukaniu żołądka. Odławiałam go jak bezpańskiego kota, zbyt chorego, by protestować. Czasami wracał sam po trzech dniach, pokiereszowany i milczący, jakby po raz kolejny nie zyskał aprobaty podwórka.

Tym razem porzuciłeś kryjówki, znajome plecy wieją zimnem, kombinacja cyfr zwana tobą nie odpowiada. Abonent niedostępny, mówią mi zewsząd, ale nie poddaję się.

Najpierw zniknąłeś czy przedawkowałeś?

Opowiem ci trochę o świecie bez ciebie.

Storczyki nie chcą kwitnąć.

Bęben pralki zawsze jest do połowy pusty.

Ktoś by powiedział, że do połowy pełny, ale nie umiem tak na to patrzeć.

Ser pleśnieje szybciej, chociaż może to czas mnie oszukuje.

Czas odszedł z tobą.

Nie pamiętam, gdzie jesteś teraz, gdzie się wybrałeś, zapuściłeś.

Zapuściłeś może korzenie gdzieś indziej.

Ile to razy chodziłam za tobą jak z wielką siatką na motyle.

Skradałam się i zgarniałam cię z ławek, krzaków, łózek.

A teraz skradam się na nic.

Pewnego dnia obudziłam się rano, a obok mnie leżał mężczyzna.

Patrzyłam na niego, na jego rzęsy, usta, włoski między brwiami i próbowałam sobie przypomnieć, czy znana mi jest ta konstelacja.

– Kim jesteś? – spytałam.

– To ja, Maciek. Nie poznajesz mnie?

Maciek, mój towarzysz broni od siedmiu lat we mnie i przy mnie. Czy to mogłeś być ty? Przyjrzałam mu się.

– Nie, nie. Maciek wygląda inaczej – zdecydowałam. Stanęły mi przez oczami wszystkie Maćki mojego życia, powłoki i warstwy wszelakie, wszak kameleon niegodny Maćkowi zawiązać rzemyska u sandała. Kim by był dzisiaj Maciek w takim razie, za kogo się przebrał, w kogo wierzy, że nim jest?

– Maciek nie ma takiej zielonej plamy pod żebrami – mówię. – Ma otwarte oczy i lekko podgryza wargę. Jego mięśnie są jędrne i gibkie, a nie twarde i zimne, jak twoje. I pachnie. Maciek pachnie. A ty masz dziwny zapach. Znajomy jakoś, słodkawy jakby, mdlący, wzbudza mdłości, ty wzbudzasz we mnie mdłości, ty atrapo Maćka.

– Zapytaj mnie o coś.

– Co?

– Zapytaj mnie o coś, co tylko Maciek wie.

Zamyśliła się. Nachyliłam się i włożyłam dłoń pod koszulkę.

– Skąd mam tę bliznę na udzie?

Podwinęła koszulkę i wskazała palcem kilkucentymetrową różowo-brązową szarpaną linię.

– Sama to sobie zrobiłaś.

Patrzyła na niego podejrzliwie.

– Dlaczego Maciek ze mną zerwał?

– Bo chciał zacząć gdzieś indziej nowe życie bez ciebie.

Brzuch mnie zmylił, bo nie mówił nic wcześniej.

W połowie śniadania poczułam pęcznienie pod żebrami.

A więc jadłam już? Myśl ta wygnała mnie do chlebaka.

Pusto.

Rytm dobowy unikał mnie, jak unikały mnie moje myśli.

Okres miałam dwa razy w miesiącu.

Wstawiłam ubrania do pralki i zostały tam. Zapomniałam, co mam zrobić.

Metaliczno-rdzawy zapach. Mówią, że na Marsie pachnie krwią. Spora ilość tlenu żelaza.

Jesteśmy drapieżnikami, a na zapach krwi reagujemy jak ofiary – stresem.

Jak ja reaguję? – zastanawiam się. Gryzę się w wargę i ssę ją.

Nie czuję nic.

Znajduję swoje ciało na ławce w parku, szorujące podłogę, za-

plątane w hipermarkecie budowlanym. Nie rozumiem, co tam robi, dlaczego mam płytkę łazienkową w prawej dłoni. Zabierałam je wtedy posłusznie i cicho do domu, nie zadając pytań.

Coraz częściej i dłużej nie pamiętam. Nie znam wyrw mojego życia. Czas już dawno przestał być na moich usługach.

Ciało żyje obok. Okłada Maćka piętami, tnie się po udach, czyści ścianę.

Życie toczy się we mnie beze mnie, myślę, gdy widzę je pijące herbatę przy leżącym w łóżku Maćku. Maciek na ciało nie reaguje. Może to nie ja?

A jednak ktoś, jednak coś, mówi przeze mnie. Nakaz życia obowiązujący aż do toczenia się krwi. Idę do łazienki, spożywam pokarm, odsłaniam włosy z twarzy i wszystko wydaje się być w odpowiednim porządku.

Patrzę na nie z góry. Słyszę zanikające tętno. Nie rozumiem ciała, ale też nie zawracam go.

A więc zrobiłam pranie. Zmywarka załadowana, kalafior pokrojony. Myślałam, że nie lubię kalafiora? Nieważne, i tak nie mam smaku.

W trójkę tu żyjemy, ja, Maja i Maciek. Obojgiem się muszę opiekować, bo są, że tak powiem, niesforni – mówi, głaszcząc się po policzku.

Kiedy jasne stało się dla mnie, że chciałeś uciec, ocknęłam się w sklepie budowlanym. Stałam między kilkumetrowymi metalowymi półkami w dziale ogrodniczym.

Nie mamy ogrodu, nie mamy kawałka ziemi, do którego przydałby się mój zakup: łopata. A jednak był to zakup właściwy, tak mi się wydawało, potrzebny, widziałam, że mam plan, chociaż teraz go nie pamiętałam.

Dużo nie pamiętam, dużo ze mnie uchodzi, ciało me wędruje,  
puszcza się, ja tylko je odszukuję. Albo i nie.

# Monika Mańka:



Maja kocha Maćka tak bardzo, że nie zauważa, że on nie żyje. Pielęguje go, myje, opowiada mu historie. Maja kocha Maćka tak bardzo, że nie zauważa, że go zabiła. Tłumaczy sobie, że uwolniła go od klątwy, dała mu inną, godną śmierć. Jednak to tylko część prawdy – pozostała znajduje się w zanikach pamięci, które ją dręczą. A może ratują?

Świt to mroczna historia o miłości zbudowanej na długotrwałej traumie. O ludziach, którzy uciekając przed przeznaczeniem, zgubili drogę do siebie nawzajem.

Maja i Maciek tworzą rodzinę. Maja nie panuje nad gniewem, Maciek nie umie okazywać uczuć. Pomagają sobie najlepiej, jak potrafią – substancjami odurzającymi, ucieczką, agresją.

Maja żyje w zamroczeniu, pułapce zaburzeń dysocjacyjnych. Obrazują je urwane klisze z utrwalonym tym, co Maja pamięta, oraz tym, co zabrały jej omdlenia.

Budzi się w lesie z łopata w ręku. W sklepie, w szpitalu, na grupie wsparcia. Mówi rzeczy, których nie rozumie. Znajduje przedmioty, których nie pamięta.

Rozpoznawana przez obcych ludzi, żyjąc ciałem, którego nie rozpoznaje, stara się dociec prawdy: prawdy, której istnienie sama wyparła.

Za pomocą stylu, narracji i perspektywy czasowej, tworzę dwie postaci, które mówią innymi językami, opowiadają pozornie różniącą się historię, będąc równocześnie tą samą osobą. Maje nie tylko mówią inaczej. One też kochają inaczej. I niszczą.

Pierwsza w patriarchalnym gorsecie, posłuszna i cicha, mówi zdaniami swojej matki.

Druga powołana do życia, by zmierzyć się z toksycznym związkiem i uzależnieniem, w brutalny sposób wymierza sprawiedliwość.

Ale Maja jest nie tylko ofiarą. Jest katem. Ma władzę i nie chce jej stracić. Wybiera, żeby nie pamiętać. Wybiera nieposłuszeństwo.

W ciemności Maja kopie grób. O brzasku kołysze Macieka do snu. Obcina mu włosy. Smaruje maścią. Jedna bohaterka próbuje ukryć ciało, druga nie przyjmuje do wiadomości, że ciało jest już tylko zwłokami.

A Maciek? Obciążony klątwą dziedziczenia, symbol zakotwiczenia w dusznych, bezwzględnych genach. Przekonany, że popełni samobójstwo tak jak jego ojciec i dziadek, sprowadza na siebie los odmienny, a jednak tożsamy z losem swoich przodków.



**Słuchając historii obu narratorek, deliberujemy między prawdą a zmyśleniem, iluzją wspomnień a gwałtownym zaprzeczeniem.**

**Maja i Maciek tkwią w mroku własnej przeszłości, narastających konfliktów i uzależnienia. W końcu jednak nastaje świt, który daje nadzieję na odkrycie prawdy.**

**Ich drogi pną się przyległe, acz ich przecięcie się jest nieuniknione. W pewnym momencie stają twarzą w twarz z pytaniem: co się wydarzyło w mieszkaniu w starej kamienicy?**



# Niepewność

## fragment

Wpatrywał się w nocne sierpniowe niebo. Gdzieś daleko na horyzoncie połyskiwały światła wielkiego miasta. A może to tylko wielkie magazyny, stacje przeladunkowe albo zakłady produkcyjne? Już dawno nie widział czystego nocnego nieba; był dezorientowany. Musiał być już dobre kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Zerwał się delikatny, ale niespokojny wiatr, który zazwyczaj zwiastuje nadejście burzy. Kiedy ostatni raz krążył tak bez celu? Kiedy miał choćby chwilę, by się zatrzymać i spojrzeć krytycznie na to, co działo się w jego życiu? Sięgał pamięcią rok, dwa, trzy, nawet pięć, ale nie był w stanie zidentyfikować podobnego wydarzenia.

Zatrzymał się na wąskiej, żwirowej drodze, która prowadziła do pogrążonego w ciemności lasu, z którego dochodziły jakieś złowieszcze dźwięki, prawdopodobnie leśnej zwierzyny. Ze wzgórza rozciągał się widok na okoliczne pola i łąki, poprzecinane małymi wiejskimi drogami, przy których gdzieniegdzie wyrastały domki, sklepiki i kapliczki. Wiatr wzmagął się coraz bardziej, kołysząc koronami drzew, a niebo rozświetliła pierwsza błyskawica. Pierwsze krople zaczęły spadać z nieba, lecz Artur stał niewzruszony, całkowicie pogrążony we własnych myślach.

Odkąd wrócił z Paryża, zupełnie nie był sobą, coś w nim pękło. Nawet jego kumpel z labu, Paweł, zazwyczaj paplający bez przerwy o odkryciach technologii *blockchain*, technologii VR, cyberseksie czy innych równie przełomowych osiągnięciach, spytał się go, czy wszystko w porządku. Odkąd wrócił z Paryża, czuł się i n a c z e j. Gdy ubrany w czarny, nieco zbyt luźny garnitur odbierał nagrodę z rąk rosłego prezesa International Cognitive Science Society, jednej z najbardziej prestiżowych tego typu

placówek w Europie, a może i na świecie, wydawało mu się, że wreszcie jest szczęśliwy. I może rzeczywiście przez krótką chwilę był, pomyślał, gdy odsłuchał wiadomość, którą nagrał Beacie na WhatsAppie. Pełen ekscytacji głos, tak, kochanie, dziękuję za wsparcie. Nie mógł wtedy ukryć wzruszenia. Jednak ta długa, ciemna paryska noc, gdy błąkał się po mieście, zostawiła w nim trwałe ślad. Nie był już tym samym człowiekiem.

35 lat. Prawie 35, bo urodziny miał obchodzić dopiero za trzy dni. Kto napisze i złoży mu życzenia? Czy ktoś odważy się zadzwonić? Zresztą co za różnica – przecież może uczcić ten dzień sam. Może to zrobić nawet dzisiaj. Sprawdził Google Maps – najbliższa stacja znajdowała się 15 minut jazdy stąd. Dogasił L&M-a, wsiadł do swojego starego, zjeżdżonego, lecz wciąż sprawnego audi A4 i ruszył. Tumany kurzu uniosły się za odjeżdżającym samochodem, układając się w przedziwny wzór, a kamienie strzeliły nieprzyjemnie pod kołami. W radiu dwóch publicystów omawiało głośny temat odwołania ministra, którego zdjęcia z zabaw z paniami i panami lekkich obyczajów wyciekły do sieci w zeszły czwartek. Jeden z nich wskazywał, że polityk to „przecież też człowiek i miewa czasem chwile słabości”, drugi natomiast dowodził, że cała sytuacja została zaaranżowana przez służby specjalne, które w ten sposób chcą wpłynąć na wynik nadchodzących wyborów.

Stanął na małym parkingu niedaleko dystrybutorów. Stacja wyglądała na zamkniętą, ale dostrzegł migające gdzieś w głębi małe światełko – prawdopodobnie mały telewizor. Stacja znajdowała się na wylocie drogi krajowej, a wokół ani żywej duszy, żadnych samochodów. Tylko deszcz uderzający o zadaszenie stacji, ogniki kocich oczu na polanie obok i pogłos niespokojnych poszczekiwań psa gdzieś w oddali. Tak wyobrażał sobie koniec świata, w którym on zostaje ostatnim ocalałym człowiekiem i musi błąkać się po nieprzyjaznej okolicy, szukając jakiegokolwiek nadziei. Zastukał w szybę i zamyślił się. Zawsze zastanawiało go, co robią

nocami osoby pracujące na małych stacjach, z dala od dużych dróg. Spały? To byłoby najprostsze. Oglądały powtórki programów rozrywkowych? Gry na telefonie? Może mogły w końcu w spokoju obejrzeć jakieś dobre porno i zrelaksować się odrobinię? Nie było to prawdopodobnie możliwe na dziennej zmianie ani w domu, gdzie czekała żona, mąż lub, co gorsza, dzieciaki.

– Czego potrzeba? – prychnął gruby, wąsaty sprzedawca wyrzucając go z zamyślenia.

– Poproszę 0,7 żubrówki – zawahał się – trzy perły w butelce i dwie paczki marlboro. No, i jakiś sok.

– Czerwone? Sok pomarańczowy? – spytał od niechcienia pracownik stacji.

– Niech będzie.

Sprzedawca sprawiał naprawdę upiorne wrażenie. Podkrążone oczy, blada, nieogolona twarz, sfatygowana i brudna flanelowa koszula, i oczywiście czapka z daszkiem z napisem „USA”. To wszystko było spójne z pogodą i szalejącą za oknem burzą. Sceneria ta nie dawała spokoju i napawała grozą, choć jednocześnie była nieco komiczna.

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale mam do pana pytanie.

– Taaaak? – zdziwił się wąsacz.

– Co pan robi nocami, pracując na tej stacji? Ma pan różne obowiązki, raz na jakiś czas przejedzie jakiś samochód. Ktoś tankuje, kupuje coś – powiedział Artur ni stąd, ni zowąd do sprzedawcy. Ten nie wydawał się ani trochę zaskoczony. – Jakoś musi pan zabijać czas.

– Proszę pana, gdybym panu powiedział, musiałbym pana zabić – roześmiał się, ale było to zupełnie nienaturalne i trochę niepokojące.

– Ale coś pan tam musi robić – nie rezygnował mężczyzna.

– Tam? – pokazał na drzwi prowadzące na zaplecze. – Tam trzymamy zwłoki podróżnych

i się z nimi zabawiamy, chce pan zobaczyć?

– Chyba nie dziś – wymamrotał Artur.

Zabrzmiało to jak ponury żart, ale patrząc na postać kasjera, ta makabryczna scena rodem z kiczowatych horrorów nie była wszakże wykluczona. Artur utracił wszelką ciekawość, zapłacił i pospiesznym krokiem wyszedł z budynku. Stary idiota – pomyślał tylko. Gdy mijał kolejne rzędy podobnych domów, przepastne iglaste lasy, opuszczone fabryki, myślami był zupełnie gdzie indziej. Niepokojące, jednostajne dźwięki muzyki elektronicznej pogłębiały dziwny stan transu.

Po około godzinie zorientował się, że znalazł się pod swoim blokiem. Nie do końca swoim, bo mieszkanie, w którym żył, kupił na kredyt kilka lat temu. Starał się do niego zbytnio nie przyzwyczajać i traktował to jako tymczasowe rozwiązanie – jak każdy z jego znajomych, którzy wzięli kredyt na 30 lat. Zaparkował, wyciągnął butelkę i pociągnął duży łyk. Gorycz wódki szybko zaczął łagodzić delikatniejszą goryczą piwa, które zresztą w okamgnieniu opróżnił.

Sięgał już do reklamówki po drugie, gdy przeraźliwy grzmot wydobył się z nieba. Spiker w radiu donosił o przewróconych drzewach, nieprzejezdnych drogach, pozrywanych dachach i nadchodzących powodziach. Zdaniem meteorologów zanosilo się na jedne z najbardziej burzowych i niebezpiecznych wakacji od wielu, wielu lat. Nieodwracalne zmiany klimatyczne spowodowane emisją gazów cieplarnianych wywoływały anomalie pogodowe nieznanie wcześniej człowiekowi. Wiało okropnie, a akompaniament deszczu miarowo uderzającego o szyby i dach samochodu, tylko umacniał apokaliptyczny wydźwięk słów dziennikarza.

Jeszcze 10 lat temu, choć równie dobrze mogła to być cała wieczność, gdy kończył studia, wszystko wyglądało inaczej – pomyślał. Był młodym, obiecującym naukowcem, miał plany; na swój sposób cenił i kochał życie, choć to nigdy nie potrafiło odwzajemnić tych skomplikowanych uczuć. Wszystko układało się wtedy po jego myśli – tak przynajmniej wydawało mu się w tamtym czasie. Poznał Kamilę, miłość swojego życia (tak wtedy myślał – co za absurd), a problemy, z którymi zmagał się od jakiegoś czasu, jakby przygasły. Nie pił tak dużo, sporo pracował, a nawet zaczął układać swoje relacje z rodziną i dawnymi znajomymi.

Ale może to wszystko nie było tak ważne? Odnosił sukcesy, które napędzały go do życia. Jego prace były cytowane przez naukowców z całego świata, otrzymał wówczas duży grant na swoje badania dotyczące świadomości i jej neuronalnych korelatów. Sukcesy te budziły szczerą, żarliwą nienawiść kolegów i koleżanek parających się działalnością naukową. Był zdumiony, gdy odkrył, że zawiłości tych intryg i zagrywek nie powstydziliby się nawet wytrawny polityk z wieloletnim doświadczeniem. Jego wyobrażenia dotyczące świata nauki zupełnie rozminęły się z rzeczywistością.

Naukowcy produkowali masowo artykuły, monografie i książki, których nikt nie czytał, tworzyli kolejne niczym nieróżniące się teorie tylko po to, by zdobyć uznanie i pieniądze. Prześcigali się w tworzeniu zupełnie pozbawionych treści neologizmów i jedynie parafrazowali swoje prace. Czasem, gdy mieli gorszy dzień, byli skłonni pomyśleć, że stosowane przez nich metody nie dają prawdziwej wiedzy, a jedynie pozwalają uchwycić numeryczne zależności między arbitralnie stworzonymi bytami. To co ostatecznie dostajemy to jedynie *doksa*, a nie *episteme*, gdyby użyć terminologii Platona.

Wieczorami ci sami naukowcy jedli mrożone pizze, wymieniali się na portalach społecznościowych swoimi poglądami (wszyscy mieli takie same) i chodzili na siłownię, gdzie spotykali swoich

nieto bogatszych, lepiej ubranych i bardziej doświadczonych seksualnie znajomych pracujących w korporacjach, agencjach i urzędach. Nie było to już z pewnością pokolenie, powiedzmy, Einsteina, którym kierował prawdziwy idealizm, pożądanie wiedzy i chęć zaspokojenia naukowej ciekawości. Badacze dokładali wprawdzie swoje małe cegiełki do gmachu wiedzy, ale były one tak naprawdę bez znaczenia.

Może rzeczywiście kiedyś, jak pisał Lovecraft, gdy już ludzka społeczność osiągnie pewien poziom rozwoju, zebranie wszystkich małych elementów wiedzy złoży się na obraz tak straszny, że nie będziemy mogli go przyjąć, nie popadając w obłąd. Na razie samo składanie tego obrazu wydawało się dostatecznie przerażające dla większości młodych naukowców niepotrafiących odnaleźć się w otaczającym ich świecie.

Teraz miał 35 lat. Gdy otwierał drzwi mieszkania, zdał sobie sprawę, że jest już mocno pijany, nie mógł trafić kluczem w zamek. Pomimo okropnej ulewy, sąsiadka akurat postanowiła wyprowadzić psa na spacer; po drodze obrzuciła go tylko pogardliwym spojrzeniem, machnęła parasolką i szybko zbiegła po schodach. Znowu pijany albo naćpany, nie ma kobiety, pewnie pedał albo pomyleniec – pomyślała zapewne. Po klatce rozchodziło się tylko echo jej kroków i ciężkiego, świszczącego oddechu.

Położył się na kanapie, włączył swój inteligentny telewizor i odpalił Netflixa. To znaczy odpaliłby, gdyby ten pierdolony telewizor się znów nie zacinał. Myślał, przeczesywał odmęty pamięci, szukał chwili, kiedy to wszystko zaczęło się sypać. Czy zaczęło się od rozwodu? Albo decyzji o aborcji? Zdał sobie sprawę, że nie da się jednoznacznie nakreślić tej granicy; paradoks sorytu był ciągle aktualny, pomimo wspaniałych osiągnięć naukowych minionego wieku.

Zsunął lekko spodnie i zaczął się masturbować, myśląc o swoich studentkach. Młode ciała, niesłychana otwartość i dziewczęca

skłonność do flirtowania – piękne. Zaczął wyobrażać sobie sytuację, gdy jedna z nich zostaje po zajęciach, zaczyna dopytywać go o szczegóły jego prac, jednocześnie, jakby przypadkiem, dotykając jego nabrzmiałego członka... Deszcz ciągle padał, a gdy Artur doszedł, zaczął zapadać w sen.

Obudził się zlany potem, nie spał zbyt dobrze. Niepewnie podniósł się z kanapy, plecy jak zwykle dawały o sobie znać. Czuł kaca, chciało mu się rzygać. Nastawił wodę na kawę i wyjrzał przez okno. Niebo było zakryte ciemnymi chmurami, deszcz ciągle padał. Odsunął szufladę i sięgnął po brązowe pudełeczko, w którym coś grzechotało. Wyjmował tabletki z kolejnych opakowań, zachowując przy tym pełne skupienie. Kofeina, coś na krążenie mózgowe, coś na pobudzenie i oczywiście kompleks witaminowy z kwasami omega-3. Ten zestaw miał pomóc mu w osiągnięciu dobrej kondycji intelektualnej, co z kolei miało przelożyć się na zawodowy sukces i lepsze życie w dłuższej perspektywie.

Miał w pamięci wczorajsze załamanie i dostrzegał jasno sprzeczność swoich zachowań, ale sprzeczność ta była właściwa całemu pokoleniu, które dorastało w otoczeniu wymagającym wyznawania różnych, często wykluczających się wartości. Społeczeństwo nastawione na sukces i szybką, wielokrotnie powtarzaną gratyfikację, nie potrafiło przyznać, że wartości, takie jak empatia, troska o drugiego człowieka, lojalność, szczerłość, wiara, duchowość, zostały zepchnięte na dalszy plan i nie stanowiły już żadnego punktu odniesienia.

Obecnie nawet poszukiwanie własnej duchowej tożsamości postrzegane było jako zadanie na liście, które należy wykonać i odhaczyć. Moralność stała się tym, czym w zasadzie od zawsze była – zbiorem reguł, którymi deklaratywnie kierowała się jednostka, chcąc osiągać własne egoistyczne cele. Nie dało się już dłużej ukrywać, że koncepcje aksjologiczne i etyczne mają charakter wysoce subiektywny i nie mogą być legitymizowane przez



żaden uniwersalny byt.

Eksperymenty na samym sobie, próba przekroczenia własnych granic, poznania siebie, zbadania swojej świadomości – oto co definiowało istnienie Artura w ostatnich latach. Paradoksem, który dostrzega z łatwością, ale który mimo wszystko pozostawał poza jego kontrolą, było to, że sztucznie odwracał swoją uwagę od kwestii zasadniczych, zgłębiając różne dziedziny wiedzy. Kolejne doświadczenie gromadzone na przestrzeni ostatnich lat, czy to związane z substancjami psychoaktywnymi, relacjami erotycznymi, międzyludzkimi, czy przeczytanymi książkami, pozwalały mu poszerzać spektrum doznań i dostrzec swoje życie z wielu perspektyw. Ale świadomość, którą tak bardzo chciał poznać, była przez to zawsze osadzona w pewnym szczególnym kontekście, a przez to jeszcze bardziej nieuchwytna i niezbadana.

Choć czy było tutaj coś, co mógłby znaleźć, coś, co mógłby poznać? I kto miał to poznać, jeśli to, co poznawał, było nim samym? Czy było tutaj coś, co stanowiło o nim i co trwało niezmiennie mimo upływającego czasu? Nowe możliwości farmakologiczne, przeczaszkowa stymulacja magnetyczna, zdolność do głębokiej stymulacji mózgu na poziomie pojedynczego neuronu czy interfejsy mózg–komputer zdawały się obiecywać możliwość ciągłego zdobywania nowych informacji i odkrywania coraz to nowych obszarów na mapie niewiedzy.

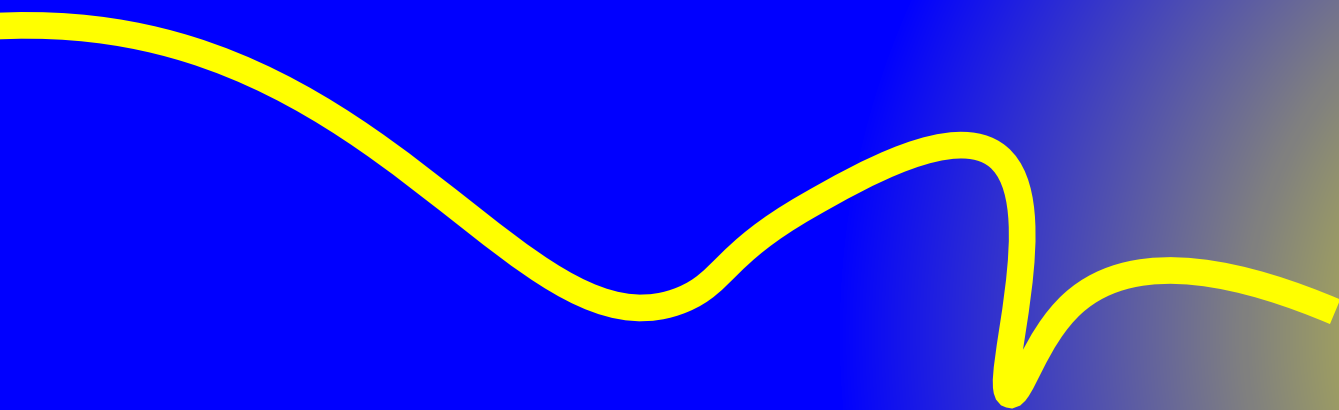
To wszystko jest niezmiernie ciekawe, myślał, ale ostatecznie nie ma większego znaczenia. Podniesienie zdolności poznawczych u niektórych jednostek z pewnością może skutkować większą zdolnością do realizacji własnych celów, jednak ostateczne i niepodważalne ograniczenia dotyczące poznania należą do sfery filozofii i lingwistyki, nie neurologii, psychofarmakologii czy informatyki. Abstrahując od poglądów filozofów analitycznych, z czysto obliczeniowego punktu widzenia (statystyka bayesowska) pewność wiedzy wydawała się niemożliwa. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej czuł się zagubiony i niepewny. Złożo-

ność problemów, z którymi spotykał się współczesny człowiek, była nieznana w poprzednich wiekach, a nawet w poprzednim pokoleniu.

Czy to objawy jakiegoś zaburzenia? Po co w ogóle o tym myśli? Na dziś miał wyznaczoną kolejną wizytę u terapeuty – w sumie to już za godzinę. Nerwowo zaczął zakładać spodnie, T-shirt, szybko umył zęby. Wybiegł jak zwykle spóźniony, nie zdążył się nawet ogolić.

# Adam Pawłowski:

Trzydziestopięcioletni neuronaukowiec Artur jest na szczycie akademickiej kariery. Jego publikacja dotycząca neuronalnych korelatów świadomości odbiła się szerokim echem w świecie nauki. Po wystąpieniu na konferencji w Paryżu, podczas której otrzymuje prestiżową międzynarodową nagrodę dla najbardziej wpływowych naukowców, przeżywa silny atak lękowy i zaczyna błąkać się po mieście. Po powrocie zgłasza się do terapeuty, który początkowo diagnozuje u niego wypalenie zawodowe i nieleczoną traumę. Artur staje się coraz bardziej apatyczny, zaczyna obsesyjnie analizować współczesne społeczeństwo, ignoruje bieżące problemy w związku. Wypowiedzi bohatera stają się mętne, tajemnicze i niejednoznaczne.



Z powodu nieskuteczności dotychczasowych działań, terapeuta proponuje mu rozpoczęcie leczenia psychiatrycznego. Psychiatra stawia kolejną diagnozę i przepisuje leki, jednak i tym razem leczenie nie daje efektów. Tymczasem Artur zaczyna interesować się psychodelikami i za namową przyjaciela bierze udział w ceremonii przyjmowania ayahuaski. Mężczyzna decyduje się wyruszyć w podróż po Polsce, podczas której wraca wspomnieniami do wydarzeń z dzieciństwa, ze studiów, a także planuje kolejne działania. Naukowiec spotyka starych znajomych, chwytą nowe okazje życiowe, jednak nie może wyzbyć się towarzyszącego mu uczucia pustki. Przebywając w nadmorskim kurorcie, spotyka nastoletnią Weronikę. Rozmowy z dziewczyną pozwalają mu spojrzeć na swoje życie z zupełnie innej perspektywy, a rodzące się uczucie daje mu nadzieję na poprawę. Zbliża się czas wyjazdu do Bostonu, gdzie ma dołączyć do amerykańskiego zespołu prowadzącego badania dotyczące wolnej woli i sprawczości. Wreszcie czuje, że wszystko zaczyna się układać i powoli wychodzi na prostą. Jest szczęśliwy i spokojny, jednak wszystko zmienia się, gdy nagle traci przytomność podczas górskiej wędrowki. Zostaje przetransportowany śmigłowcem do krakowskiego szpitala, gdzie lekarze nie potrafią znaleźć przyczyny zasląbnienia. Po drugim epizodzie utraty przytomności i wystąpieniu kolejnych objawów, Artur ostatecznie uzyskuje diagnozę, która całkowicie zmienia jego postrzeganie świata i staje się początkiem ostatecznej przemiany.

# Laleczka

## Helena

Jutowy worek był ciężki. Niosłam go z trudem przez wąski korytarz na zapleczu. Półmrok, ciemnozielone lamperie i wzmacniająca odgłos każdego kroku lastrykowa podłoga tworzyły z korytarza ponurą przestrzeń. Miałam swoje sposoby na brzydotę. Wiele lat temu działała tu fabryka sukna i kołder, jedna z pierwszych w Białymstoku, a każde miejsce ma swoją pamięć. Wystarczy się nieco skupić, przeciągnąć dłonią po ścianach i pomyśleć o bordowej cegle ukrytej pod grubą warstwą olejnej farby. Mogę niemal poczuć zapach smaru czesarek, szpul z osnową i wilgotnej przędzy. Prawie widzę spracowane ręce prządek, ich skórę pamiętającą jeszcze wilgoć ziemi na wykopywanych ziemniakach i ciepło krowich wymion, a potem już tylko chłodny metal stalowych igłarek. Umiem sobie wyobrazić huk i drobiny kurzu w powietrzu. Sukno musiało się mocno kurzyć. Właśnie ze względu na budynek i jego historię zapytałam tu o pracę, kiedy nie miałam się gdzie podziać pięć lat temu.

Próbowałam ignorować ból prawej dłoni zaciśniętej na wymykającym się wiązaniu. Jeszcze tylko kilka kroków. Dojść do obitych tapicerką drzwi, nacisnąć łokciem klamkę i położyć wreszcie worek na biurku. Przekręcić klucz w zamku i w końcu zacząć.

Opadłam na krzesło i przez chwilę patrzyłam na czarne litery przecinające grubo bordowy pas na jutowym materiale: skrytki pocztowe, poste restante, Białystok 001. Patrzyłam na drżenie moich rąk, kiedy rozwiązywałam stylonową taśmę. Zamknęłam oczy i wciągnęłam powietrze. Kurz. Na razie czułam tylko kurz.

Zatrzymałam palce na fakturze worka, żeby przedłużyć chwilę, zanim zajrzę do środka. Zawsze lubiłam ten moment przed – przed pierwszym spróbowaniem dania, które robiłam w pośpiechu, bo zapomniałam o jedzeniu wcześniej, przed wejściem do wanny, kiedy skóra lepi się od potu, przed przytuleniem kru-

czego ciała córki, kiedy kilka dni jej nie widziałam. Miłe napięcie odwiekiania nagrody po czekaniu. Nienasycenie, ale takie tuż przed – czasem przyjemniejsze niż wszystko, co nastąpi po nim.

Wyprostowałam się na krześle i pochyliłam nad biurkiem. Byłam gotowa.

Tylko w te dni, kiedy listów jest mniej, wysypuję je wszystkie na blat, a dopiero potem wążam. Dzisiaj wyjmowałam koperty powoli, pilnowałam, żeby chwycić ich dokładnie tyle, ile zmieści się pomiędzy trzymającymi je pewnie palcami. Układałam je w równe stosy. Kakofonia zapachów.

Położyłam worek na podłodze. Wysunęłam stopy z sandałów i postawiłam je na jutowym materiale. Ugniatałam tkaninę palcami, jak kot, który chce się umościć w najlepszym miejscu. Pod podbiciem drażniąca skórę szorstkość.

Białe koperty, beżowe koperty, kilka z wzorami ozdobnych papesterii – mdły róż, błękit. Zaczęłam rozróżniać pierwsze silniejsze nuty. Wstyd – cierpka, kwaśna woń przypominająca pigwę. Tuż za nią wyraźny wątek tęsknoty. Jakby słodkawa i nieco mdła gruszka z przejrzałą dynią. Wcześniej dawałam się zwieść i sięgałam po koperty z ostrym śladem złości i pośpiechu. Dziś wiem, że są przewidywalne. Przyciągają, ale zazwyczaj niosą rozczarowanie.

Położyłam dłonie na blacie i odetchnęłam. Mogłam wybrać tylko jeden list. Reguły są ważne – tylko jeden w tygodniu. Tym razem czekałam aż do piątku, ryzykując, że w ostatniej partii będę mogła znaleźć coś zaledwie przeciętnego, ale równe stosy wyglądały obiecująco. Odsunęłam te z wydrukowanymi winietkami odbiorców. Zostało dziesięć listów adresowanych odręcznie i, jak zawsze, zaczęłam od nadanych na poste restante. Na wierzchu położyłam kopertę adresowaną piórem. Wyciągnęłam z szuflady notes, zdjęłam okalającą go gumkę i przerzuciłam zapisane karki. Wpisałam datę: 22 sierpnia 1997.

Zamknęłam oczy i powąchałam kopertę. Gorzkawe, przełamane słodczą poczucie winy. Aronia i zgnieciony liść czarnej porzeczki. Ale też ziele angielskie i liść laurowy – więc jakby strach. Na końcu moja ulubiona nuta – cierpka i kwaśna – wstyd. Nie

musiałam dalej szukać. Zapisałam pierwsze typowanie i wsunęłam kopertę razem z notesem do swojej torebki.

Kroki na korytarzu i ruch klamki.

– Helena? – głos szefowej z ledwie uchwytnym zniecierpliwieniem. – Znowu?

– Już, już. Kręgosłup. Musiałam się porozciągać – kłamstwo gładko przeszło mi przez gardło, kiedy przekręcałam klucz w zamku i otwierałam drzwi.

– Dzisiejsze? – spojrzała na równo poukładane koperty.

– Tak, już wracam na salę. – Wyminęłam ją i stopą wsunęłam torebkę pod biurko.

– Wolałabym, żebyś sortowała je na swoim stanowisku. Poczta wymaga tempa. Życie wymaga tempa. Nie lubię, jak znikasz na zapleczu.

Znikanie to coś, w czym jestem naprawdę dobra. Przekładałam koperty do pudełka z przegródkami, udając, że się nie spieszę. Torebka pod biurkiem zaczeka, aż wrócę tu sama. Do końca dnia będę myślała tylko o liście. O cudzym liście, który da mi kilka godzin spokoju.

## **Julka**

Rozgrzewam się długo. Przechylam głowę nad lewe ramię i powoli napinam ścięgna szyi. Potem barki, ramiona. Każdy ruch z uwagą. Ojciec się od miesiąca nie odzywa.

Skłony. Bez trudu dotykam stóp przy wyprostowanych kolanach. Lubię to napięcie z tyłu na całej długości nóg. Może się boi, że poproszę go o pieniądze. Stawy skokowe, kolana, biodra. Krążenia, ugięcia, prostowanie. Robię kilka przysiadów. Skaczę.

Moje ciało. Ono. Jak oddzielny byt, o który trzeba się troszczyć.

Lubię zapach i skrzywienie desek sceny. I ciemność na widowni. I drobinki kurzu w świetle punktowego reflektora. Kurz lubię

najbardziej. Jak nikt nie patrzy, to wążam aksamit kurtyny.

Teatr prowadzi Teresa. Natapirowane rude włosy, zaciśnięte usta, mocno podkreślone oko. Kilka szybkich kroków i zastygnięcie. Ramiona, dłonie, palce w szybkich ruchach i znowu stop. Surykatka – gatunek drapieżnego ssaka. Ile ty masz lat, chciałabym zapytać. Jest chyba w wieku mojej matki. Ale pytań nie zadaję nikomu z dziesięcioosobowej grupy, bo wtedy oni też zaczną. W szatni wystarczy uśmiech, kiwnięcie głową na powitanie. Nie takie dziwolaży jak ja już tu widzieli. Jest bezpiecznie.

Teresa rozdaje nam kartki z *Ziemią jałową* Eliota. Mamy sobie wybrać kilka wersów i zaimprovizować etiudę. Każdy indywidualnie. Tak lubię. Myślałam, że „Eliot” pisze się przez „jot”. Nie mam pojęcia o *Grzebaniu umarłych*, ale się nie przyznaję. Słabo, jak na córkę byłej nauczycielki. Nieźle, jak na córkę bohaterki lokalnego skandaliku, który radykalnie zmienił jej życie. Jej życie i moje.

Siedzimy po turecku w półokręgu. Kiwamy się nad poematem.

„Julka, zapraszam” – słyszę. Nie mam jeszcze żadnego pomysłu, ale wychodzę na środek. Staję do nich tyłem. Reflektor zwęża plamę światła i zostaję na scenie sama.

„Kiedy byliśmy dziećmi, w domu arcyksięcia, mego kuzyna” – zaczynam pogodnie. Przeciagam się jak po przebudzeniu i wypowiadam wolno każde słowo. Prawie ziewam. Jakbym właśnie wstawała z łóżka. „Brał mnie na saneczki” – przeciąganie staje się lubieżne, a jednocześnie w barkach zaczynam czuć napięcie. „A ja się bałam” – mój głos zaczyna brzmieć infantylnie, przeproszająco. „A ja się bałam” – poprawiam dźwięk na głos dorosłej kobiety. „Mówił tak: Marie, trzymaj się, Marie” – przyspieszam i powtarzam ten wers w zapętleniu. Raz, drugi, trzeci. W moim głosie pojawia się chropowatość. Coś ścisza mi gardło. Kulę ramiona, kucam. „Pędziliśmy w dół” – wypowiadam już bardzo cicho. Oczy mi się zrobiły mokre. Oddycham.

Za mną cisza. Po chwili lekki szmer. Zmieniają pozycję? Przesiadają się? Nie chcę się odwracać. Głos Teresy. Chyba z uznaniem:

– Ktoś tu sporo wie o przemocy...



Czuję ulgę, bo wygląda na to, że jest zadowolona. Czuję ulgę dokładnie tak, jak przy matce.

Dzisiaj powiem mamie, że wiem. Że widzę.

A potem – jeszcze nie wiem kiedy – muszę jej powiedzieć, że chcę się wyprowadzić.

## Helena

Opowiadałam jej swój dzień. O liczeniu gotówki, o wypełnianiu nowych druków. O Lucynie i Wiesi, nieszczęśliwych w miłości siostrach pracujących w sąsiednich okienkach. O kolejnych eksperymentach Wojtka opowiadanych przy papierosie. Julka siedziała z kubkiem herbaty w dłoniach i wodziła za mną wzrokiem, kiedy sprzątałam naczynia po kolacji. Moja córka umie słuchać.

Najbardziej chciałabym opowiedzieć o wybranym na dzisiaj liście, ale tego nie mogę zrobić. Ukryłam go pod notesem na stole i czekałam na otwieranie nad parą z czajnika. Zdażyłam wcześniej dokładnie obejrzeć kopertę – biała, lekko pożółkła, jakby wiele lat przeleżała bez nadziei na wysłanie. KobiECE imię i nazwisko wypisane starannie, dużymi okrągłymi literami, jakby ktoś, kto to napisał, rzadko sięgał po pióro. Musiałam zaczekać, aż Julka wyjdzie z kuchni, bo przecież są jakieś zasady poufności i nie mogę jej przeczytać cudzego listu. Może kiedyś będę mogła go jej opowiedzieć.

Kiedy myślę o córce, to najpierw widzę jej oczy. Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy – ponad dwadzieścia lat temu, to najpierw dotarło do mnie właśnie jej zdziwione spojrzenie i było coś pięknego w tych nienaturalnie okrągłych małych lustrach. Tak, wiem, że to niemożliwe, sprawdzałam kilka razy i pod żadnym kątem w ludzkich źrenicach nie da się zobaczyć odbicia tego, na co człowiek patrzy, ale przysięgam, że tak to pamiętam. Dwie maleńkie źrenice i dwa obrazy mojej twarzy w oczach podanego mi właśnie noworodka. I moje zdziwienie jeszcze pamiętam. I to, że mówię: „To ty?”.

A potem pamięć przyniosła już tylko głuchy charkot. Próbo-

wałam nabrać powietrza, ale coś się zepsuło w oddychaniu i nie mogłam tego zrobić. Słyszałam rżenie, coraz głośniejsze. Strach w oczach pielęgniarek i młodego stażysty, szybkie ruchy lekarki, która pierwszy raz spojrzała na moją twarz. Wcześniej rozcinała mi brzuch, wyciągała Julkę i zszywała mnie jak kawałek mięsa. Bardzo chciałam ich wszystkich uspokoić, zakłopotala mnie myśl, że wychylam się z porządku cięcia cesarskiego, że psuję coś, co już tak gładko szło. Tuż przed chwilą lekarka opowiadała stażystce o cudem zdobytych botkach na obcasie i o tym, jak dobrze mieć tyle pacjentek pracujących za ladą. A on się tak uprzejmie zaśmiewał. Żadnego patosu nowego życia, podniosłej chwili późnej pierworódki przerażonej tym, że jednak cięcie, nie siłami natury, po dwunastu godzinach próbowania, po tygodniach ćwiczonych oddechów i parcia, po miesiącu systematycznych zajęć w szkole rodzenia. Miałam trzydzieści lat i byłam o wiele za stara na pierwsze dziecko, więc tym bardziej się starałam. 9 *pierwszych miesięcy życia* znałam prawie na pamięć. I tak bardzo chciałam nagie ciało Julki na moją skórę, od razu małą do piersi przystawić, ale dali mi ciasno zawinięty kokonik, z którego tylko te oczy w małej główce. Więc nie wyszło. Rzęziłam taka zepsuta, z szerokim uśmiechem na twarzy, żeby załagodzić nietakt.

Na moment przez ten kryzys zaistniałam na stole operacyjnym jak człowiek. Na chwilę, bo zaraz maska tlenowa. Próbowałam przeprosić, powiedzieć, że już się naprawiam, że to tylko wzruszenie, że oczy Julki mnie tak zdziwiły i dlatego powietrza nie mogę nabrać, ale już, już.

Mała Julka przypominała lśniący kamień z rzecznoego dna. Taki trochę większy, do podniesienia obiema dłońmi. Ciepły. A teraz w kuchni siedziała ze mną dorosła kobieta, w której zmieniło się wszystko poza oczami. I wciąż w jej źrenicach próbuję zobaczyć siebie.

Ciekawiło mnie, czy chciałyby o listach słuchać. Ale nawet gdybym zapytała, przygryzłaby pewnie wargę i powiedziałyby, że tak. A przecież nie. Nie Julka. Każda inna osoba na jej miejscu tak. Ta ciekawość, co jest w cudzych listach, cudzych życiach, cudzych domach. Nie przyznają się do tego, ukrywają zerkanie,

powtarzają o zasadach, ale historie wyciągnięte cudzymi rękoma byłyby bezcenne. Z zażenowaniem rumieniliby się w mojej kuchni i słuchali, ach, ależ by słuchali.

Podobno najbardziej pamięta się swój pierwszy raz. Nieprawda. Drugi i trzeci raz jest ważniejszy. Masz już decyzję, coś więcej niż impuls. Wtedy widać, czy masz charakter. Listy następnego dnia wracają na miejsce, gotowe do odebrania przez adresatów. Komu to szkodzi?

Wytarłam ceratę – najpierw na mokro, potem suchą ściereczką. Oczy córki wędrowały za każdym moim gestem. Nie patrzyłam w jej stronę i odganiałam od siebie myśl o tym, że kiedyś stanie w przedpokoju i w plamie światła zobaczy moje dłonie rozprostowujące kartki zapisane cudzym pismem, a potem pomyśli o mnie: matka złodziejka.

– Idź już spać córuś. Długi dzień przed tobą.

\*

Obsesyjnie pilnuję, żeby nic nie stało na blacie, talerze i szklanki w szafkach, ściereka na uchwycie piekarnika. Zgasiłam górne światło i zapaliłam lampkę na stole. Wyświetlona kuchnia wyładniała w rozproszonym świetle żółtawej żarówki. Koszyk, nożyczki, pędzel – zrobiłam sobie z tego prywatny rytuał. Jak zwykle odwlekałam moment siadania do listu. Czajnik na gazie, nad parą klej koperty delikatnie puścił.

„Laleczko, nie umiem pisać listów. Nigdy nie pisałam. Co najwyżej pocztówki mi się zdarzało wysłać. Albo fotografie z kilkoma słowami na odwrocie”. Powtarzałam to dziwne „Laleczko” bezgłośnie i czułam, jak słowo miękko rozlewa się na podniebieniu. Jak można do kogoś mówić „Laleczko”? Przy końcówce wyrazu zatrzymałam się na „o” układające usta niemal jak do pocałunku. Chciałam powtórzyć „Laleczko” z czułością. I mimo że bardzo starałam się wypowiedzieć zwrot ciepło, to miałam przed oczami obraz porcelanowej lalki pusto patrzącej w nic. Próbuje z irytacją, potem złością, ale „Laleczko” – bez względu na interpretację – brzmiało równie pusto. Więc może stąd gorzkawosłodkie poczucie winy, które wyraźnie wyczuwałam przed otwarciem koperty? Z niekochania?

„Nie przychodzisz do nas Laluniu, a ja do Ciebie tęsknię”. Złapał mnie chichot. Nie mogłam się opanować. Odchyliłam głowę do tyłu i pomyślałam, że zmarszczki na mojej szyi wyglądają jak egzotyczna kolia.

– Nie tęsknisz, kochana – zamruczałam. – Ani odrobiny tu tęsknoty. Ani odrobiny.

Ale była też w tym zdaniu odwaga. Nie znam nikogo, kto otwarcie napisałby o tęsknocie. Pomyślałam, czy Julka za mną tęskni. Albo czy tęskni do mnie. Wolałabym, żeby mówiło się „tęsknić do” a nie „tęsknić za”. „Do” daje jakąś nadzieję.

Wers po wersie przepisywałam list do notesu. Wypowiadałam na głos fragmenty tekstu i przymierzałam do poszczególnych zdań wysoki lub niski ton. Od czasu do czasu, przy dobrze trzymającej tempo frazie, podnosiłam rękę z długopisem i akcentowałam kolejne takt. Gdybym mogła, to czerwonym flamastrem zakreślałabym fragmenty do zmiany. Jak kiedyś – w uczniowskich wypracowaniach – wyczuwałam fałsz i momenty, w których tekst zaczynał zgrzytać. Czasem mnie to rozczulało, a czasem ciskałam list na ceratę i cedziłam coś cicho pod adresem nadawcy. Gdyby Julka zobaczyła mnie w takim momencie, to mogłaby pomyśleć, że modlę się nad kartką papieru. Na próbę wypowiedziałam: „Kyrie, elejson, Matko najczystsza, Matko dziewicza, Matko nienaruszona”.

Znowu postawiłam na gazie czajnik. Powinnam oszczędzać, ale na dobrą herbatę zawsze coś się tam znajdzie. Oparłam się o blat i z większej odległości patrzyłam na kartkę. Równe, niemal dziecięce litery. Szczególnie „a” okrągłutkie, jakby świeżo wyjęte z zeszytu pierwszoklasisty.

„Nie byłąm dobrą matką, Lalka. Nie byłąm. Kochać Boga Cię nie nauczyłąm. A jak Boga nie kochasz, to i siebie kochać nie potrafisz. I ciężko Ci pewnie bez kościoła na co dzień”. Wyraźny zapach liścia czarnej porzeczki, więc poczucie winy było oczywiste. Ale szukałam tu reszty pierwszego typowania. Przecież czułam tu cierpką pigwę. Mogłabym na siłę wyciągnąć to, czego się ta matka wstydzi, tylko że przy pasujących w treści fragmentach zapach zniknął. Podniosłam list i wciągnęłam powietrze. No zniknął.

Odłożyłam kartkę na stół i podniosłam ją raz jeszcze. Znowu powąchałam.

– Jakby ten wstyd pod czymś zakopała – mówiłam do siebie. – Jakby przykrywała go czymś, czego można się wstydzić, tylko po to, żeby nie dotrzeć gdzieś głębiej.

Zazwyczaj myślałam o adresacie listu – jak i co zobaczy w tym, co czytałam. Tym razem autorka interesowała mnie bardziej niż Laleczka, do której list był napisany. Matka musiała być starsza ode mnie, stawiałam na sześćdziesiąt pięć – siedemdziesiąt lat. Te powinności, przekonania, wyrzuty – niby do siebie, a przecież do córki. Laleczki też byłam ciekawa. Musi być krucha, jak moja Julka.

„Tak dobrego męża, jakiego Bóg ci dał, ze świecą po świecie szukać. On jest dla mnie wielką pomocą, wiesz? I nie wiem, czym sobie na takiego dobrego zięcia zasłużyłam” – czytałam i patrzyłam w ciemne okno.

– „Sobie zasłużyłam...” – wypowiedziałam jeszcze raz powoli i wciągnęłam powietrze. „Sobie zasłużyłam” zapachniało mi cierpko i kwaśno.

Uspokojona skończyłam przepisywać list. Pomyślałam, że ja wiem, czym sobie zasłużyłam na to, co mam teraz.

## **Julka**

Matka była prawie zwyczajna od dwóch lat.

Ale starała się być zwyczajna od co najmniej siedmiu.

– Jestem taka zwyczajna – powtarzała, stukając rozprostowaną dłońią w kierownicę auta, które jeszcze wtedy miałyśmy, a czerwony lakier na jej paznokciach błyszczał w świetle mijanych latarni.

Zerkałam na nią, kiedy wykrzykiwała obelgi pod adresem jadących przed nią kierowców. Posapywała, przewracała oczami i marszczyła brwi. Siebie uważała za kierowcę znakomitego,

choć jeździła nerwowo, zrywami, pilnując odpowiednio dużej odległości za jadącym przed nią samochodem. Chyba to ją na drodze denerwowało najbardziej – auta wciskające się w precyzyjnie pielęgnowaną przestrzeń.

– No żeż! – unosiła ręce do góry, kiedy kolejny raz ktoś ją wyprzedzał albo zmieniał pas, widząc dziesięć wolnych metrów w ciągu jadących samochodów. – W Niemczech zabraliby ci prawo jazdy!

Miałam piętnaście lat, kiedy postanowiłam uważnie zapamiętać każdy gest i komentarz z jej jazdy po mieście. Ocierała łzy ze śmiechu, kiedy teatralnie odegrałam jej to wieczorem. Siedziałyśmy potem na wersalce i było mi przyjemnie czuć ciepło jej ramienia, biodra.

Matka ma miły zapach. Nie ładny, tylko właśnie miły. Bez względu na porę roku, przez całe lata używała Elizabeth Arden – kanciasta butelka w kształcie nowojorskiego wieżowca. Pachniała jeszcze papierosami, miętową gumą do żucia i czasem leciutko, ale tak naprawdę leciutko potem. I jeszcze podsmażoną cebulą. I rozmarynem. I kawą – do dziś lubię, jak pachnie kawą.

Jedno z najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa, to jak kuca przede mną – w jakiejś grantowej garsonce, na obcasach, z perłami na szyi – trzyma mnie za ręce i patrzy mi w oczy. Jej powieki mieniają się na niebiesko i trochę tego niebieskiego ma też na policzkach.

– Julciu, powtarzaj za mną: jestem dobra, jestem mądra, jestem ważna.

Patrzyłam na nią jak w lustro, tak samo kiwałam głową przy każdej sylabie, starałam się równo z nią otwierać usta.

Opowiadanie siebie córce, to nie jest dobry pomysł. Choć matka zdecydowanie myślała inaczej. Zaczęła to robić, jak miałam szesnaście lat. Od kiedy zaczęła jeździć do terapeutki wyciągała mnie do kuchni, zapalała papierosa i z entuzjazmem mówiła o kolejnych odkryciach.

– Bo wiesz, to co tak bardzo w sobie lubiałam... Wiesz, to przekonanie, że sobie zawsze poradzę – ona mi powiedziała, że to nie jest zdrowe.

Bardzo możliwe, że terapeutka powiedziała coś innego, ale mama tamtego lata lubiła wszystko czyścić i wyjaskrawiać. Wiem, bo zza zamkniętych drzwi do dużego pokoju zdarzało mi się słyszeć, jak opowiadała ojcu, że o czymś gadałyśmy. Kiedy próbowała przedstawić mój punkt widzenia, to robiła z tego przerysowaną atrapę moich słów i myśli. Jakby szkicowała uliczną karykaturę. Rysy są nieco podobne, ale na papierze powstaje mało zabawny portret kogoś zupełnie innego niż przypadkowo usidlony do pozowania model. Nigdy nie lubiłam ulicznych karykatur.

I do tej pory nie wiem, kiedy się we mnie tak bardzo zasiała ta moja mama. Zalęgła, zapuściła korzenie tak głęboko, że niewiele miejsca zostało na Julkę.

### **Helena**

– Co też pani mi tu? – głos oburzonego mężczyzny kazał mi odebrać wzrok od ławki za jego plecami. Wyprostowałam się na krześle i popatrzyłam na plik banknotów, które przed chwilą podałam klientowi. Uniosłam brwi.

– Co też pani mi tu daje? – powtórzył tamten. – Się dziewczę po niedzieli nie wyspało?

Spojrzałam na banknot dziesięciozłotowy, który trzymałam jeszcze w ręku.

– Nie skorzystał pan z okazji – odpowiedziałam cierpko i zabrałam pieniądze. Odliczyłam monety i wysypałam je na plastikowy podajnik. Powstrzymałam się przed „dziękuję”, które by było adekwatne do banknotów uczciwie zwróconych przez młodą.

Za jego plecami, przy stoliku do wypisywania druków siedziała Laleczka. Na kolanach trzymała poźólką kopertę z okrągłym piśmem jej matki. Siedziała i po prostu patrzyła na list.

Zwróciłam na nią uwagę, kiedy stała jeszcze w kolejce. Wysooka, rosła. Krótkie siwe włosy zawadiacko postawione na sztorc. Mocno wygolone boki. Czarna koszulka bez rękawów i spodnie bojówki. Na opalonym ramieniu z wyraźnym zarysem mięśni

duża płócienna torba. Kiedy podała swoje imię i nazwisko do odebrania listu, zastygłam z lekko otwartymi ustami. Dopiero kiedy Laleczka się uśmiechnęła, odszukałam w pudełku odpowiednią przesyłkę i podsunęłam jej pokwitowanie do podpisu. Następnego klienta obsługiwałam już automatycznie, zerkając na odchodzącą od okienka kobietę.

Laleczka dopiero po chwili rozerwała kopertę i wyjęła złożoną kartkę. Zaczęła czytać.

Widziałam tylko jej sylwetkę, a oddałabym wszystkie te mylnie wydane pieniądze za widok jej twarzy. Nie mogłam wyjść na salę dla klientów, bo kolejna osoba przy okienku męczyła się z szukaniem drobnych. Boże, zobaczyć twarz Laleczki teraz. Usiąść koło niej i poczuć ostatni raz ten list.

Laleczka przez moment siedziała jeszcze nieruchomo a potem wstała, zgmiotła kartkę i razem z kopertą wrzuciła do torby. Wolnym krokiem skierowała się do wyjścia. Pójdzie sobie żyć dalej.

Długie pociągnięcie w brzuchu. Coś, co przypomina motyle przy zakochaniu, ale jest czarne, duszące. Potem ciężar w klatce piersiowej. Rozczarowanie i smutek – Julka przetłumaczyłaby mi to w ten swój irytujący, rozumiejący wszystko sposób.

Spojrzałam na zegar wiszący na hali. Za pięćdziesiąt minut będę mogła pójść do sortowni po następny worek.

Pięćdziesiąt minut.

### **Julka**

- Czemu to robisz mamó?
- Nie czemu, tylko po co, Juleczko. Zapytaj mnie, po co.
- Po co to robisz mamó?
- Żeby były dobrze przeczytane. Ludzie nie umieją czytać listów. Gubią wszystko, czego ktoś nie napisał i nigdy nie napisze.
- A po co je przepisujesz?



– Kiedyś w końcu zrozumiesz, że cały ten świat to jeden wielki żart. Ludzie kłamią. Możesz liczyć tylko na siebie. Pamiętaj Julka, tylko na siebie. Jak już ci umrę, to będziesz je mogła wszystkie przeczytać.

## Helena

W kościele potrafię rozpoznać kobiety, które nie są w stałym związku. Te z minimalnie za dużym dekoltem. Minimalnie zbyt opięte, koronkowe, utlenione, z czerwoną pomadką na ustach. Nieadekwatnie do miejsca smutno seksowne.

Łudziłam się, że wyglądam inaczej. Od sześciu lat nie używałam makijażu. Czasem patrzyłam na moje ubrania i buty sprzed. Jakbym oglądała szafę innej kobiety.

Zacząłam znowu chodzić do kościoła od listu do Laleczki. W niedzielę, ale i w tygodniu, po pracy, miewałam kaprys na kościół. Dzisiaj też, choć padało i okrutnie zmokłam, weszłam po szerokich schodach. Równy, noga za nogą, bez przystanków, choć stopni chyba ze trzydzieści.

A w kościele pusto. Nikogo nie było w wielkim kościele. Zatrzymałam się w wąskim przejściu na początku głównej nawy. Ale dziś potrzebowałam dalej. Więc rzędy ławek prowadziły mnie przed ołtarz. Echo kroków na posadzce oszukiwało, że nie jestem sama. Z witrażowej rozety patrzyło na mnie dwunastu apostołów. Przyklęłam. Zrobiłam znak krzyża, ale czułam się tak, jakbym liczyła od jednego do dziesięciu, a nie mówiła: „W imię Ojca i Syna...”.

A potem ten impuls - nie mogłam się oprzeć i zakradłam się do konfesjonału. Chciałam go obejrzeć od środka.

Usiadłam. Drzwiczki dolne i górne, jak z westernowego saloonu, zamknęłam z cichym skrzypnięciem. Ciemno się zrobiło. Ale ciemno, to lepiej, bo dłużej będę mogła wachać kurz w miejscu, gdzie przeprowadza się czyszczenie duszy. Zamknęłam oczy i wyciągnęłam dłonie, najpierw blisko, gładziłam szorstki aksamit tuż obok ud i pośladków. Palcami wyluskałam szczelinę między materiałem a drewnianą ramą siedziska. Tu na pewno

wpadałyby okruchy, gdyby ksiądz sobie pozwalał na przekąski w trakcie. Podstawkę na kubek z napojem można by księdzu zrobić, żeby mu lepiej te historie różne wchodziły.

Drewno było pieśczośliwie wygłaskane, ciepłe, choć w kościele chłodno. Przemoczone ubranie kleiło się do ciała i na nieopalkierowanej podłodze zostaną po mnie mokre ślady. Lubię, jak ślad po mnie zostaje. Więc dobrze.

Wygodna półeczka pod łokieć, z jednej i drugiej strony. Czarny modlitewnik albo Pismo Święte, cienkie, pożółkłe kartki. Potrzebowałam spenetrować otwory kratki od strony penitenta, ale poczułam tam folię i odruchowo cofnęłam rękę, bo dotknęłam czegoś, co mnie brzydzi. Papierowa taśma do remontów otaczała folię dookoła. I możliwe, że jak ktoś tę folię przyklejał i coś przy tym poszło nie tak, to ciche „kurwa” mu się wymknęło. A folia dobra. Przed zapachem z ust grzesznych chroni. Ludzie w stresie śmierdzą. Wiem, bo czasem czuję u siebie ten zapach, kiedy mam sucho w ustach. „To ja tak śmierdzę?” – dziwię się i dłoń do ust przystawiam, chucham trzy razy, żeby wiedzieć na pewno. Tamten mężczyzna też miał taki zapach, kiedy na łóżku leżał z rozrzuconymi ramionami. A ja ten smrodek nawet lubiłam. Jak w dzieciństwie, kiedy patykami dotykałam martwego ptaka. I strach, i obrzydzenie mieszały się z fascynacją.

I czekałam, aż mnie ktoś w tym konfesjonale przyłapie i spłoczy. Ale nikt nie przyszedł. Więc zapukałam trzy razy w gładkie drewno i wyszłam.

## **Julka**

– Myślisz czasem o tych ludziach? – przekrzykuję szum wody spłukując wannę po kąpieli, do której nosiłam kolejne garnki wrzątku, żeby woda nabrała choć odrobinę przyzwoitej temperatury. W tym roku, to w sierpniu nie było ciepłej wody. Powinam usiąść, popatrzeć mamie w oczy i spokojnie porozmawiać. Nie mam odwagi. Gadam z nią w głowie kiedy ćwiczę, kiedy idę ulicą, kiedy szorstkość kołdry i prześcieradła w łóżku przez dwie godziny nie pozwala mi zasnąć. A potem te wszystkie pytania wyrrywają mi się w najmniej odpowiednich momentach.

Czasem słyszę swój głos i jest już za późno, żeby cofnąć wypowiedziane słowa.

– O jakich ludziach, córciu? – odkrzykuje mi z kuchni.

Zaciskam dłoń na rączce prysznicza i patrzę na bielejące kostki. Staram się, żeby moja odpowiedź brzmiała lekko, ale prawie słyszę ostrzegawczy dźwięk, coś jak skrzypienie tuż przed pęknięciem lodu kiedy zimą staje się na zamrożonej kałuży.

– O tych, których czytasz.

– Myślę! – zawiesza głos na chwilę i dodaje: – Do momentu odebrania listu!

Rozprostowuję palce i dopiero czuję lekki ból. Jestem dobra w czytaniu mikro sygnałów. Drgnięcie wargi albo minimalne napięcie mięśni w okolicach żuchwy wystarczą, żebym zaczęła być czujna. Ale teraz jej nie widzę. Mam tylko tempo w jakim wypowiada słowa.

– Jak kelner – mówię na tyle głośno, żeby usłyszała.

– Jak to, jak kelner?!

Jej głos wydaje mi się ostrzejszy. Patrzę na strumień wody i wirujące w odpływie wanny resztki piany. Jak kiedyś, kiedy miałam jakieś osiem lat i bawiłam się w łazience rodziców. Byliśmy jeszcze wtedy rodziną i mieszkaliśmy w domu. Piwnica, dwa piętra i poddasze - ponad trzysta metrów dla naszej trójki. Siedziałam w wielkiej rogowej wannie i wąską strużką wylewałam zielony szampon pod lecącą z kranu wodę. Szampon pachniał sztucznym lasem, a piana z niego nie była tak wspaniała jak mi się wydawało. Małe bąbelki pękały za szybko. Nie wiem kiedy mama weszła do łazienki. Może długo stała za mną i patrzyła jak opróżniam butelkę. Pamiętam pionową zmarszczkę między jej brwiami i usta zadające mi jakieś pytanie podobnym tonem jak teraz. Chyba pytała z czego zrobiłam pianę a ja odpowiedziałam, że z mydła. Wymierzony policzek nawet nie bolał aż tak bardzo, bo ból przykryło zaskoczenie. Pamiętam zaszpachlowaną rysę na udającej marmur glazurze i lekko obtłuczony róg szklanej półki pod lustrem. W tym obtłuczeniu światło grało na zielono i niebiesko.

Długi wdech i wydech. Znowu lekki ton.

– Ktoś kiedyś robił takie badania, jak długo kelnerzy pamiętają, co kto zamówił przy poszczególnym stoliku. – Zakręcam kran i zastygam opierając się obiema dłońmi na wannie.

– I? – chyba jest naprawdę zaciekawiona. – Do przyniesienia zamówienia?

– Do zapłacenia rachunku.

Ryzykuję. Jak inaczej mogłabym jej powiedzieć, że prędzej czy później będzie musiała zapłacić swój rachunek.

– O cholera!

Poruszyło ją to! Prostuję się i szybko wchodzę do kuchni. Będziemy rozmawiać.

Stoi przy zlewie i trzyma rękę pod strumieniem wody. Na stole zwykła koperta A4 z wysuniętym plikiem kartek, na których zostało kilka kropli świeżej krwi. Rzucam się po ścierkę i w popłochu dociskam ją do papieru. Ale ślady zostają. Cztery nieduże czerwone plamki. Znowu spinają mi się mięśnie karku, bolesna kulka nad lewym barkiem, szybko, automatycznie, stan gotowości.

– Skaleczyłaś się?

– Tak. Krawędź papieru – mówi z rozdrażnieniem. – Coś czułam, że to nie jest dobry pomysł z tą kopertą. Ale była taka gruba. I ręcznie podpisana. I do świeżo wynajętej skrytki.

– Co teraz będzie?

– Nic nie będzie! Zobacz, co to w ogóle jest! Jak tak można?

Wycieram ręce i ostrożnie wysuwam plik papieru z koperty. Odwracam się i zaczynam się śmiać. Śmiech przynosi ulgę

– No co? Nieoburzające?

Śmieję się dalej, choć to pewnie okrutne. W oczach drażniące pieczenie, jak tuż przed płaczem, ale czuję pulsowanie przepony, kładę rękę na brzuchu i poddaję się temu mechanicznemu

śmianiu. Patrzą na kartki i na wzburzenie mamy.

– No list. Może trochę inny, ale list. Co czułaś przy wybieraniu?

Trzyma skaleczony palec w ustach i jedną ręką sięga do notesu. Mocuje się z gumką. Jej ruchy są kanciaste, szybkie. Pochylona nad stołem dociska notes łokciem i próbuje przewrócić kolejne kartki.

– Przytrzymaj mi...

– O na pewno! Nie zamierzam tego dotykać.

Wzdycha, dociera do odpowiedniej strony i wolno czyta ostatni zapis:

– Smutek, smutek, smutek.

– Jak pachnie smutek?

Jest zbyt zaaferowana, żeby zareagować na sarkazm.

– Banalnie pachnie. Cukrem waniliowym.

– Wanilinowym – poprawiam ją odruchowo.

– Przecież mówię: waniliowym.

– Mamo...

– Tyle razy prosiłam, żebyś mówiła „Helena”, zamiast „mamo”.

– One nie pachną! – wrywa mi się zanim zdążę zacisnąć usta.

– Co takiego? – pyta, ale przecież musiała usłyszeć. Bezradnie patrzy na wydrukowane pięciolinie i odręcznie wpisywane nuty. Dużo skreśleń, łuków. Nuty biegną w górę i w dół bez jakiegokolwiek symetrii.

– Te listy, które kradniesz, nie pachną.

– No jasne, że nie pachną. – Przez chwilę patrzy na mnie ze szczerym zdziwieniem.

– Więc czemu...

Nie daje mi dokończyć zdania.

– Listy nie, dziecko. To emocje pachną. Wstyd jest cierpki i kwaśny, poczucie winy gorzkie, złość...

– Smaki. Wymieniasz smaki a nie zapachy – mówię i opuszczam ramiona. Jakby zeszło ze mnie powietrze, jestem mniejsza i mniejsza. – Może naprawdę zwariowałaś – dodaję cicho.

Nie słucha. Sięga do szuflady i przesuwa leżące w nieładzie kartoniki z lekami. Szklane pojemniki pobrzękują lekko, kilka blistrów tabletek wypada na podłogę. Po każdym jej ruchu na dotykanych przedmiotach zostają smużki żywoczerwonej krwi. Znajduje opakowanie plastrów i próbuje jedną ręką otworzyć pudełko. Z premedytacją nie ruszam jej z pomocą. Patrzy na mnie przeciągle, ale przygryza wargę i nic nie mówi.

– Co zrobisz z tą... – szukam odpowiedniego słowa – partyturą?

– Z czym?

– Z tymi nutami.

– No właśnie! – znowu się wzburza. – Przecież ja tego nie przeczytam! Cały tydzień wybierania na marne... I całe twoje kulturoznawstwo też tu na nic.

– W przyszłym roku będę miała antropologię dźwięku – chicho-czę nerwowo. – O ślady krwi bardziej pytam.

Odwraca ostatnią stronę pliku kartek z nutami. Cztery czerwone plamki wżarte w strukturę papieru, nierówne na brzegach.

– Może by to wodą utlenioną? – mruży. – Ale się pomarszczy od mokrego. Czeka, a może zabrać tę kartkę?

– No coś ty, mamol! – oburzam się, znowu szybciej niż zdążyłam pomyśleć. – Masz jakieś zasady.

– Idź już spać – wzdycha z rezygnacją. – Sama pomyślę.

Zerkam na nią wychodząc. Widzę, że usiadła nad nutami i czeka aż uspokoi jej się oddech. A potem zaczyna się uśmiechać. Jakby spodobało jej się zostawienie śladu na kawałku cudzego życia.

(...)

Helena zaczyna zawsze zostawiać jakiś ślad po sobie, kilka ziarenek soli, włos w kopercie. W końcu pierwszy raz trafia na list z Brooklynu. Ten list pachnie inaczej niż wszystkie pozostałe listy.

Biała koperta obwiedziona czerwonymi i granatowymi paseczkami. Fale pierwszej pieczętki. Druga pieczęć okrągła, z datą. Niebieski prostokąt z białym kształtem samolotu i napisem: „BY AIR MAIL”. Równy złożony kartki, techniczne pismo.

„Moja Ukochana,

piszę tak, jak jest to we mnie. Bez zmiękczeń.

Dziesięć dni bez listu od Ciebie to mrok. Potrzebowałam i dalej potrzebuję nadania tym dziesięciu dniom jakiejś ramy. Czegoś, czego mógłbym się złapać.

Mam całą sferę uczuć w podziemiach. Na zewnątrz stoi biurowiec. Piękny, błyszczący, szklany biurowiec...”

Z listu wynika, że dwoje będących w małżeństwach ludzi ma ze sobą romans. Że trwa to od kilku miesięcy i oboje chcą porzucić swoje rodziny.

Helena czyta już tylko listy z Brooklynu. Chce powstrzymać Małgorzatę, do której są pisane listy, rozważa zatrzymanie nadchodzącej korespondencji. Romans kobiety staje się jej obsesją.

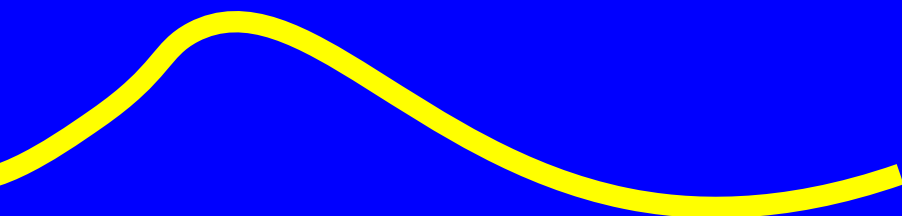
Któregoś dnia Helena wymyka się z pracy i idzie za Małgorzatą. Poznaje jej adres. Kobieta mieszka w budynku dawnej fabryki tytoniu, przebudowanej na apartamenty. Jedno z pierwszych w Białymstoku osiedli odgrodzonych bramką...

# Agnieszka Rynkowska:

Sierpień 1997. Pracująca na białostockiej poczcie Helena raz w tygodniu wybiera list spośród korespondencji przychodzącej do wynajmowanych skrytek lub adresowanej na poste restante. Tylko jeden i tylko raz w tygodniu. Wącha wszystkie nadesłane listy. Wydaje jej się, że umie rozpoznać zapachy emocji. Zabiera wybraną kopertę do domu, otwiera nad parą, przepisuje treść wiadomości do notesu. Odnosi korespondencję na pocztę i obserwuje odbierających ją ludzi.

Któregoś dnia Helena kaleczy się i zostawia na cudzym liście ślad krwi. Cztery czerwone plamki wżarte w strukturę papieru. Zaczyna zostawiać w kopertach ślady – kilka ziarenek soli, włos. Świadkiem rytuałów Heleny jest jej córka. Matka od wielu lat ze szczegółami opowiada jej swoje życie.

Wreszcie Helena trafia na list, który pachnie inaczej niż wszystkie inne. Nadana na Brooklynie koperta obwiedziona granatowymi i czerwonymi paskami. Z pisanego przez Michała do mieszkającej w Białymstoku Małgorzaty listu wynika, że od kilku miesięcy mają ze sobą romans. Oboje chcą porzucić swoje ro-

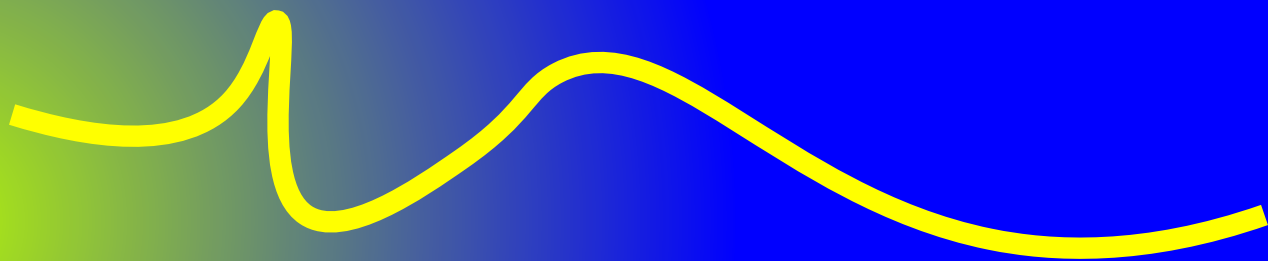




dziny. Ich relacja staje się obsesją Heleny. Czeka już tylko na listy z Brooklynu. Zaczyna obserwować trzydziestosześcioletnią Małgorzatę, która odbiera koperty ze skrytki numer 123. Któregoś dnia wymyka się z pracy, idzie za nią i poznaje jej adres.

Co zrobi Julia obserwująca narastającą obsesję matki? W jaki sposób historia wtargnięcia w cudze życie zmieni ją i Helenę? Czy Julka w końcu zda sobie sprawę z przemocy, której także wobec niej dopuszcza się matka?

Powieść w gatunku domestic noir opowiada o trudnej walce z przekonaniami zaszczeplanymi przez najbliższych. O przemocy popełnianej z miłości i o cenie, jaką musimy zapłacić, jeśli chcemy powiedzieć życiu „tak”, mimo że jest w nim ból i wina. O ryzykownej próbie radzenia sobie z rzeczywistością przez usiłowanie naprawiania cudzego życia.



# Skargowie

## PATRYCJA

Przyglądałam się turystom podziwiającym Bramę Isztar – ledwie siedem osób rozproszonych po sali. Nie wydawali się specjalnie zainteresowani tym, co widzieli. Tymczasem ja – nie pamiętam, który już raz w ciągu tych trzech miesięcy mojej pracy w Muzeum Pergamońskim – spoglądałam na nią i nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że coś tak starego, z innego miejsca i czasu, jest tutaj, w Berlinie, w sercu Europy. Brama, bez względu na to pod jakim kątem na nią patrzyłam, nie pasowała. Pojedynczy turyści krążyli przez chwilę wokół niej, część poszła dalej oglądać następne eksponaty. Przyjdą kolejni, myślałam. Jest sobota, rano. Ludzie wciąż śpią.

Z tej małej grupy wyróżniali się mężczyzna i dziecko – dziewczynka. Pewnie jego córka. W końcu oboje byli czarnowłosi, do tego mieli podobne nosy. Takie drobne. Ojciec wskazywał na ceramiczne płytki pokrywające wielki eksponat. Granatowe i złote szkliwo układające się w kształty zwierząt i hybryd. Byki, lwy, smoki. Relikty ze starożytnej epoki, ze świata całkowicie obcego. Symbole zrozumiałe jedynie dla historyków, filologów i mitoznawców.

Wyobrażałam sobie, jak pielgrzymi wkraczają przez Bramę Isztar do Babilonu, tego prawdziwego, potężnego. Miasto otaczają wysokie mury, na których stoją żołnierze w szyszakach.

W dłoniach ściskają oszczepy albo łuki. Pielgrzymi przybywają z całego świata i drżą, gdy przechodzą przez bramę. Nie rozumieją do końca, dlaczego ten moment przekroczenia wywołuje w nich tak silne reakcje. Wielkie miasto, kolebka cywilizacji i jej ówczesne centrum. Zamknęłam oczy, żeby zobaczyć wyraźniej pochylające się w upale palmy, gorący piasek pod stopami. Poczuc zapach kadzideł, spod którego przebija się ludzki i zwierzęcy pot. Za murami znajduje się miasto. Setki domów z cegły, a pośrodku wylaniający się na horyzoncie z parnego powietrza pałac króla-boga: Hammurabiego, Nabuchodonozora lub innego władcy absolutnego, którego przeznaczeniem jest prowadzenie swoich ludzi na wojnę, podbijanie wrogich ziem i panowanie nad nimi z wysokości kamiennego tronu. Król rozmawia z bogami, ponieważ jest im niemal równy, a ja właśnie przekraczam Bramę i podziwiam jego dominium. Jakbym przechodziła przez portal do innej krainy.

Kiedy otworzyłam oczy, sala była niemal pusta. Widziałam tylko mężczyznę z córką. Nadal przyglądali się stworom pokrywającym bramę. Ojciec trzymał dziewczynkę na ramionach, by mogła lepiej im się przyjrzeć. Chciała ich dotknąć, pogłodzić złożone z płytek karki i łapy, podłubać w rzeźbionych grzywach. Jakby chciała dotykiem obudzić mityczne istoty i uciec ojcu na grzbiecie skrzydlatego byka. Umknąć z tego muzeum, z tego miasta... Mężczyzna zerknął na mnie z niepokojem i ściągnął dziewczynkę z ramion, nim zdążyła cegokolwiek dotknąć. To jego spojrzenie sprawiło, że zyskałam świadomość bycia obserwatorem. Wręcz intruzem. Ale i tak przyglądałam im się, póki nie zniknęli w kolejnym pomieszczeniu.

Zostałam sama z Bramą Isztar. Było to zupełnie inne doświadczenie, niż to, co poczułam przed momentem, kiedy myślałam o starożytnej Mezopotamii. Tam istniałam w tłumie, może nawet przybyłam z rodziną lub pasterskim plemieniem i dzięki temu mogłam się schować przed potęgą bramy. Jej obecność, to

co oznaczała, nie przytłaczała do tego stopnia. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, bym mogła być w tej sali sama. Czułam wręcz jak napiera na mnie ciężar Bramy. „To tylko góra cegieł ułożona w odpowiedniej konfiguracji, by wywołać przytłoczenie w tym, kto przez nią przechodzi. W dodatku jest niekompletna, stanowi fragment większej całości” – powiedziałam sobie, jakbym broniła się przed złym urokiem.

Wróciłam do kawiarni. Tam na szczęście byli jacyś ludzie, turyści, ale była też Klara. Patrzyła na mnie jak zawsze z dezaprobatą. Nic nie mówiła. Mogła długo posyłać spojrzenia, ale nigdy nie powiedziała czegokolwiek otwarcie niemiłego. Tylko dzięki tym spojrzeniom wiedziałam, że Klara mnie nie lubi. Sprawiała wrażenie nieustannie z czegoś niezadowolonej, a moja obecność zdawała się jedynie pogłębiać u niej ten wielki zawód światem jako takim. Kiedy na mnie patrzyła, widziałam subtelne drgnięcia w kącikach jej oczu, a wargi wykrzywiały się w ledwo dostrzegalnym grymasie. Pracowałyśmy razem od trzech miesięcy, ale poza ogólnym spostrzeżeniem dotyczącym jej frustracji, nic o Klarze nie wiedziałam. Mieszkała z rodzicami czy sama? Studiowała, miała jakąś inną pracę? Dlaczego w ogóle siedziała tu razem ze mną? Wydawało mi się mało prawdopodobne, by podawanie zimnych i ciepłych napojów oraz przekąsek było pracą jej marzeń. Próbowałam do niej dotrzeć ale kiedy zaczynałam, ona zawsze odpowiadała swoim Spojrzeniem. W końcu się poddałam.

Spodziewany strumień gości muzeum nie napływał. Przyszła jedna rodzina z dwójką dzieci mających może koło sześciu, siedmiu lat i para dziarskich emerytów. Słyszałam jak dzieci zatrzymały się przy „potykaczu” ze zdjęciem frytek i zaczęły wołać, że są głodne. Emerycy natomiast pewnie potrzebowali przerwy w zwiedzaniu.

Rodzice podeszli do lady, zapłacili kartą. Kobieta schowała portfel do torebki, siwowłosa mężczyzna wziął ode mnie papierowy

kubek z czarną kawą i plastikowe talerze z frytkami. Pod szyją miał zawiązany kaszmirowy szalik, pod pachę wsadził muzealną broszurę. Nie wyglądał staro, ale włosy miał zupełnie siwe. Kiedy usiadł przy stoliku, dzieci natychmiast zaczęły skakać wokół frytek. Jak małpiatki. Kobieta wyciągnęła kolorowy magazyn, mężczyzna zaczął studiować broszurę, zagłębiając się w nią z uporem godnym lepszej sprawy – wielokrotnie ją przeglądałam i naprawdę nie jest wcale taka ciekawa. Dzieci przestały jeść i zaczęły do niego mówić, na co mężczyzna zareagował dopiero po dłuższej chwili, jakby wyrwany z transu. Popatrzył na swoje blond pociechy z wyrzutem. Podniósł się z ociąganiem i podszedł do lady. Zaczęłam udawać, że wcale się na niego nie gapiałam, tylko zamyśliłam przy sprzątaniu. Obsłużyła go Klara. Wrócił do stolika z kilkoma saszetkami ketchupu, które podał dzieciom. Była w tym geście pewna czułość. Zamiast rzucić opakowania z sosem na stół, wręczył je każdemu dziecku z osobna.

Przez chwilę zastanawiałam się, z jakiego kraju pochodzi ta rodzina, jakby to miało jakieś znaczenie. Byli, jak to się mówi, zadbani. Ich ubrania sprawiały wrażenie kosztownych, cera nie nosiła nadmiernych oznak upływu czasu ani niezdrowego trybu życia. Angielski mężczyzny pozbawiony był jakiegokolwiek wyraźnego akcentu. Do tego mężczyzna i kobieta wydawali się pogodzeni ze swoją rolą: przyjechali do Berlina z dziećmi i nie liczyli na to, że sami będą świetnie się bawić. Tak naprawdę mogliby pochodzić skądkolwiek. Pewnie w każdym europejskim kraju wyższa warstwa klasy średniej wyglądała podobnie.

Rozproszyła mnie starsza kobieta – z pary emerytów – która chrząknięciami domagała się uwagi. Nałożyłam na twarz uśmiech i zapytałam moją poprawnie brzmiącą, ale ubogą Niemieczczyzną, czego potrzebuje. Zamówienie przekazałam Klarze, bo sama chciałam kontynuować przecieranie lady mokrą szmatką, czyli ciągnięcie swojego swobodnego toku myślowego. Nie mogłam się jednak skupić. Zerkałam co jakiś czas w stronę

rodziny. Kobieta kojarzyła mi się trochę z Marion Cotillard, tylko taką bardziej swojską Przerzucała kolejne strony gazety bez tego zapału, z jakim jej partner studiował broszurę. Jasnowłose dzieci, których płęć była trudna do zidentyfikowania, próbowały dzielić się po równo frytkami.

Klara klepnęła mnie w ramię i kazała iść na zaplecze po mleko. Wzdrygnęłam się i poszłam. Kiedy wróciłam, rodziny już nie było.

Podeszłam do stolika: dzieci rozsmarowały ketchup na blacie, a część frytek zrzuciły na podłogę. Do tego kobieta zostawiła magazyn. Posprzątałam po nich i wróciłam z gazetą za ladę. Zaczęłam ją wertować z podobnym co kobieta brakiem zaangażowania. Ot, taki sobie tygodnik społeczno-polityczny prezentujący wyraźnie poglądy neoliberalne.

I nagle ją zobaczyłam.

Rezydencja na granicy całkowitej ruiny. Niebieskie drzwi odcinające się od wyblakłego frontu. Jak dom ze snu. Willa.

Była znacznie większa, niż zapamiętałam. Nie mogło to być złudzenie spowodowane przez perspektywę, z jakiej wykonano zdjęcie. Fasada stuletniego opuszczonego budynku sprawiała wrażenie rozciągniętej, napęczniałej. Długie, wąskie okna zamiast odbijać światło letniego popołudnia stanowiły tafle czerni. Zainstalowane na otaczającym budynek rusztowaniu kamery były wycelowane jak oczy bezsennych gapiów właśnie w te ciemne szyby. Usiłowały zajrzeć do środka, przebić się swym spojrzeniem przez szyby i uchwycić to, co wymykało się ludzkim umysłom. Zdjęcie musiało zostać zrobione niedawno, w ciągu ostatniego roku – zapamiętałam Willę sprzed mojego wyjazdu i wyglądała inaczej. Jej architektura zaczęła się zmieniać, i to szybko. A jeśli to działo się z nią, to prawdopodobnie również ze wszystkimi gdańskimi Budowlami. Od początku zmiany w nich zachodziły w podobnym czasie.

Wolałam nie myśleć o tym, co zobaczyłam dawno temu, kiedy z Andrzejem odłączyliśmy się od wycieczki ojca. Uznałam, że to jeden z Obrazów, ale nie zapomniałam. Przez lata ignorowałam to, co docierało do mnie mimochodem – przez Facebooka, ostatnie strony gazet, widziane kątem oka ekrany z informacjami w metrze, blogi w ciemnych zakątkach internetu. Ludziom nie potrzeba wiele, żeby uwierzyć w najbardziej niedorzeczną fantazję – jak widmo Matki Boskiej na szczycie kościoła w Kairze. Tymczasem, jeśli zdjęcia nie zostały przerobione, to nie były Obrazy i fenomen się uzewnętrznił.

Wrzuciłam gazetę do śmieci i poszłam wyczyścić stolik po emerytach, którzy oddalili się z kawiarni wolnym krokiem. Kubki po nich zgmiotłam i wrzuciłam na wierzch magazynu.

– Was war das? – zapytała Klara.

Zaskoczyła mnie. Nigdy o nic mnie nie pytała, a tu proszę. Wzruszyłam ramionami, jakbym nie wiedziała, o co jej chodzi. Uniosła brew, co mogło oznaczać, że daje mi do zrozumienia, że zachowuję się podejrzanie. Pewnie właśnie tak było, ale nie widziałam powodu, dla którego nagle miałabym się przed Klarą otworzyć. Nawet nie zaczęłyśmy rozmowy, chociaż może poczułabym się lepiej, gdybym powiedziała jej cokolwiek. Poszłam na zaplecze, do kuchni i wyszorowałam frytkownicę. Jednostajne ruchy dłoni, zapach starego oleju, ciepła woda, piana. To mnie trochę uspokoiło.

Po paru godzinach ludzie w końcu zaczęli przychodzić. Nie tak liczni jak zazwyczaj, ale w wystarczającej liczbie, by powstał ruch. Klara, zamiast mi pomóc, przykleiła się do smartfona i już o nic nie pytała. Widziałam, że coś ją zajmuje, że ekscytuje się tym, co widzi w wykwitach internetowej burzy. Nie miałam ochoty z nią gadać, więc nawet nie prosiłam, by mi pomogła. Niech się śmieje do ekranu, pomyślałam. Niedługo później również coraz więcej klientów zaczęło wyciągać telefony. Coś sobie na nich pokazywali, rozmawiali ze sobą podnieconymi głosami. Nie wytrzyma-

łam i zapytałam Klarę, co się dzieje. Spojrzała na mnie tak, jakby samo to, że pytam, że jeszcze nie wiem, świadczyło o tym, że nie ma dla mnie nadziei. Następnie podała mi swój telefon. Przesunęłam wzrokiem po kilku liniach tekstu, zmrużyłam oczy, przyglądając się zdjęciu jednej ze spokojniejszych uliczek Neukölln.

Oddałam telefon Klarze, po czym wróciłam na zaplecze.

\*\*\*

Obdrapane ściany. Stroboskopy dawały po oczach. Spocone ciała. Dużo spoconych ciał, niektóre niemal nagie. Obrzydzało mnie to i podniecało jednocześnie. Szarpany beat elektronicznych dźwięków. Kolejny nocny klub w którejś z opuszczonych fabryk. Nieważne, co w niej kiedyś produkowano. Stała się miejscem, w którym tacy jak ja – zagubieni straceńcy – mogli spotkać się z bananową młodzieżą i przez parę godzin poczuć, że uczestniczą w czymś większym od siebie. Zrobiło mi się niedobrze, więc przepchnęłam się przez tłum w stronę świecącego na zielono napisu EXIT.

Wydobyłam się na świeże powietrze. Odeszłam w stronę nieoświetlonej alejki, gdzie wydawało się, że nikogo nie ma. Zadzwoiłam do Mariki. Wysłuchałam w napięciu kilku sygnałów, aż uruchomiła się poczta. Byłam prawie pewna, że nie przyjdzie. Zazwyczaj mnie wystawiała i starałam się nie robić z tego problemu. Nagle tuż za plecami, z głębi ciemnej uliczki, w której stałam, dotarły do mnie szmery i szelesty. Odwróciłam się gwałtownie. Zobaczyłam trzech gości kręcących się wokół betonowej przybudówki, magazynu lub czegoś, co nie zostało zagospodarowane przez organizatorów tutejszych imprez. Mierzyli coś. W pewnym momencie jeden z nich wydobył z ciężkiego wojskowego plecaka urządzenie nie większe od długopisu, którym wysłał promień lasera w kilku kierunkach. Szeptem przekazał wyniki pozostałym, którzy odnotowali je w telefonach. Potem



ponownie przyłożyli ręczną miarę do betonu, pokiwali głowami i weszli do magazynu. Jeden z nich jeszcze się odwrócił i zerknął na mnie. Puch na policzkach i ślady po trądziku wokół. Przypominał mi gotowego do ucieczki gryzonia. Bał się, że zadzwonię po policję, żeby ich wsypać, czy że ukradnę im pomysł eksplorowania tych pustostanów?

Oczywiście chodziło o to, że tego popołudnia znaleźli nową Budowlę. Nie miało znaczenia, gdzie tym razem się zagnieździła. Naprawdę mnie to nie obchodziło, ale czułam jak i mnie zaczyna ogarniać to pomieszanie lęku i nadziei. Nie potrafiłam zrozumieć, czego dotyczy ta nadzieja, ale lęk był bardzo czytelny. Przynajmniej dla mnie. Wiedziałam, że Ich przybywa, a miasta, w których się pojawiają, zaczynają gwałtownie się zmieniać.

Pomyślałam, że ludzie, jak ten szczurek, muszą mieć porąbane w głowach, skoro ich szukają. A to znaczyło, że nasz gatunek miał poważny problem z rozsądnym myśleniem i całe gadanie o *homo aeconomicus* było stekiem bzdur. Bo poszukiwacze anomalii byli wszędzie. Nawet w jebanym nocnym Berlinie, tuż przy klubie. To było jak gorączka złota. Kolesi podobnych do szczurka było pełno. Mogli być studentami informatyki albo pracownikami wesołego miasteczka. Przekonani o tym, że rutyna ich zabija, łatwo dawali się porwać idei miejskiej eksploracji. Szybko zaczęli wierzyć, że staną się z dnia na dzień bogaczami. Wyobrażali sobie, że będą jak ranczerzy na przełomie wieków, którzy odkrywają na swojej ziemi pokłady ropy. Gdybym nie była za bardzo nawalona, powiedziałabym tym trzem, żeby jechali do Gdańska. Bo było dla mnie jasne, że nie odwiedzili Mekki Budowli. Powinni porozmawiać z tymi, którzy dokonali pierwszych odkryć. Może wtedy pomyśleliby, zanim sprowadzą na siebie i swoje miasto katastrofę. Oni naprawdę nie wiedzieli, o co się proszą. I na pewno tej nocy w Berlinie było ich więcej. Mogłam sobie mówić, że nie biorę w tym udziału, ale nie byłam w stanie uciec. To się zaczęło rozprzestrzeniać jak zaraza. Jak jakiś wirus mózgu.

Stałam w tamtej uliczce i już widziałam siebie, jak przemieszczam się coraz dalej na zachód, a cień Budowli, to zdeformowane echo wołania o cud, idzie za mną.

## ARTUR

Ojciec dał mi znak, bym się od niego nie oddalał. Zbliżyłem się więc niespiesznie, bo widziałem już turystów zbierających się przed bramą. Parę osób robiło zdjęcia, ale jakoś tak od niechcenia. Rzeczywiście było ich prawie dwadzieścioro. Na razie Ojciec się nie pomylił. W większości byli starsi, na oko po sześćdziesiątce, nawet po siedemdziesiątce. Mimo swojej skromnej liczby wciąż hałaśliwi.

Pomyślałem, że jeszcze rok wcześniej, późnym latem, musieli dokonywać rezerwacji przynajmniej miesiąc wcześniej. Co prawda nie było jeszcze tak, że przewodnicy narzekali na brak pracy, ale międzynarodowe zainteresowanie słabło. Ojcu to chyba specjalnie nie przeszkadzało.

Podwinął rękawy koszuli i zerknął na Szpital i na turystów. Potem spojrział na zegarek po swoim ojcu, a moim dziadku. Nigdy go nie zdejmował. Jedyne rodzaje biżuterii, jakie akceptował u mężczyzn. Uśmiechnął się jak do zdjęć. Zupełnie inny rodzaj grymasu, niż ten, który pokazywał mnie. Uśmiech mający maskować to, że wśród ludzi nie jest w swoim żywiole. Zbyt entuzjastyczny, ale jak ktoś go nie znał, to pewnie tak nie myślał.

Dlaczego właściwie Ojciec nie lubił Szpitala? Nie zwierzał mi się z tego. Miałem parę teorii, ale wszystkie były trochę głupie.

Wyobrażałem sobie, że w Szpitalu dochodziło do strasznych zbrodni i Ojciec jakoś to wyczuwał. Pielęgniarki głodzące pacjentów. Lekarze-oprawcy eksperymentujący na pechowcach, którzy mieli nieszczęście być trochę bardziej wrażliwi, niż przeciętny obywatel. Kiedy Ojciec chodził po korytarzach, objawiały

mu się powidoki tych makabrycznych scen.

– Witam – mówił Ojciec z tym czymś w rodzaju sympatycznego uśmiechu na twarzy. – Nazywam się Jerzy Skarga i dziś będę państwa przewodnikiem.

Widziałem go w tej roli dziesiątki razy. Zawsze robił to dokładnie nie tak samo. Bez entuzjazmu, ale z zaangażowaniem. Wystudiowana metoda. Czasem zastanawiałem się, na ile maskuje nią niechęć do tych ludzi. Bo Ojcu (tego jestem pewien) nigdy nie chodziło o turystów.

Stanęliśmy sto metrów od wejścia ogrodzonego biało-czerwonymi barierkami. Nie wiem, po co je postavili. Może chcieli zakomunikować, że „tu” jest jeszcze Polska (rzekomo ostatni przystanek normalności), a „tam”, po drugiej stronie, coś obcego, innego, za co rząd nie bierze odpowiedzialności.

Następnie Ojciec wskazywał na tablicę z regulaminem. Dawał minutę na zapoznanie się z pięciopunktowym spisem reguł. Potem swoją szorstką angielszczyzną tłumaczył, że telefony, aparaty i wszelkiego typu urządzenia elektroniczne muszą zostać u strażnika. Mężczyzna, który wcześniej przywitał nas z kubkiem herbaty, zapraszał gestem (teraz bez kubka i w oficjalnej czapce, która zasłaniała łysinę) do swojej budki.

Część turystów nie wydawała się przekonana – najwyraźniej niezbyt uważnie czytali FAQ na stronach internetowych. Może w ogóle na żadne strony nie weszli. Ustawili się jednak w kolejce i nikt nie protestował. Strażnik zabrał im sprzęty i wydał pokwitowania. Gdy kolejka do budki całkowicie się roztopiła, turyści ponownie zebrali się przy tablicy. Poczekaliśmy, aż ucichną szepty. Jak w szkole.

W końcu zamilkli. Zapanowała atmosfera napięcia. Teraz oni wyczekiwali.

Ojciec klasnął w dłonie i zaczął mówić...

...w środku było ciemno. To cecha charakterystyczna Szpitala. Którędy by się nie weszło, na początku zawsze ogarniają człowieka egipskie ciemności. Kojarzyło mi się to trochę z ekranem ładowania, jak w grze. Nie sądziłem jednak, by Budowla potrzebowała czegoś takiego: czasu, by przetworzyć to, co kryje się w naszych głowach, odpowiednio się przygotować. Sądziłem, że to byłoby zbyt... banalne. Jakby Szpital był maszyną. A przecież nią nie jest. Nie może być. Maszyny konstruowane są w konkretnym celu. Ktoś je konstruuje. Nie potrafiłem sobie wyobrazić powodu, dla którego ktokolwiek miałby skonstruować coś takiego.

Zastanawiałem się, jaki jest związek zaciemnienia z wycięciem świadomości na progu. Nikt nie pamiętał wchodzenia do środka. W jednej chwili było się przed Budowlą, a w kolejnej już wewnątrz. Z drugiej strony w innych Budowlach było podobnie, ale ciemności nie następowały. Dlaczego więc Szpital był inny? Do czego potrzebował tej niecałej minuty wyciemnienia, kiedy świadomość umysłów odwiedzających go ludzi zanikała?

Pewnie to nie była kwestia „potrzeby”. Raczej konsekwencja prawa, zgodnie z którym w ogóle udało im się zaistnieć. Najwyraźniej wypadkową stabilności Szpitala była ta zaporą cieni. Wznosił ją – czy też może wznosiła się sama jako przeciwwaga dla tego, co działo się w pomieszczeniach.

Zbyt łatwo przychodziło mi ucłowieczanie tych miejsc. To nie maszyny. Nie funkcjonują też jak ludzie. Są jakby czymś pomiędzy.

Czym dokładnie? Tego prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy. Jest za późno.

Zresztą co ja mogłem wiedzieć. Jedynie chodziłem za Ojcem. Byłem jego giermkim i to wszystko. Mógłbym włożyć się za nim milion lat i nawet wtedy niczego bym się nie nauczył.

Zrobiliśmy parę kroków w ciemność i już, zaraz przebiło się do nas światło dzienne poprzez pozbawione szyb framugi i dziury

w ścianach. Jakby z moich oczu podniosła się gęsta mgła.

Ciekawe uczucie. Za pierwszym razem trochę się go bałem, za piątym nie robiło takiego wrażenia.

Rozglądałem się i na twarzach wokół widziałem skonsternowane spojrzenia. Wyraz fascynacji pomieszanej z niepokojem. „Zaczyna się”, mogli myśleć. „To jest właśnie to, o czym mówili”. Nie pamiętali tej minuty, podczas której wchodzili. Przez moment nawet nie dochodziło do nich, że zostali pozbawieni zmysłów. To wrażenie podobne do utraty przytomności: kiedy świat powraca, człowiek jest skołowany, może nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Ale turyści przecież stali prosto. Rozmawiali ze sobą, gestykulowali, wodzili wzrokiem po pustych pokojach. Nikt się nie przewrócił.

Czułem się trochę jak w puszczonej od połowy filmie. Byliśmy w środku i nie pamiętaliśmy momentu przejścia.

Turyści zatrzymywali się po kolei. Przerywali wypowiedzi w pół zdania, patrzyli po sobie: „co?”, „też to... poczułaś?”, „jak?”.

Zatem wkroczyliśmy do krainy czarów. Widziałem po nich, że to były właśnie myśli, które wymieniali między sobą bez słów. Ssali je jak lizaki, świecąc pełnymi emocji oczami. Wzbierała we mnie niechęć. Patrycję bawili, mnie coraz bardziej irytowali. Myślałem sobie: oni nic nie rozumieją. Przyjeżdżali tu z daleka tylko po to, żeby przez parę godzin pobyc w tej atmosferze, dotknąć niesamowitości.

Popatrzyłem na Ojca. Stał na przedzie i mimo że wcale nie był zbyt wysoki, wydawał się górować nad Japończykami i Hiszpanami, których, wiem to na pewno, ręce świerzbiły, żeby wyciągnąć schowane po kieszeniach telefony czy Kodaki, jakieś analogi, którymi mogliby cichaczem pstryknąć jedno zdjęcie, przemyścić je później na zewnątrz i pokazywać wszystkim w rodzinnym mieście. Część prawdopodobnie to zrobiła, gdy nie patrzyliśmy.

Niewiele można było na to poradzić. Przeszukiwanie ich przed wejściem nie wchodziło w grę. Wiedziałem, że Ojciec by tego chciał, ale pozostali z Koła wykluczyli taką możliwość. Zbyt wiele komplikacji, jak powtarzała pani Zofia, jedna z koleżanek Ojca, która była przy pierwszych odkryciach. Ojciec nie próbował się kłócić albo drażnić, bo tak naprawdę, jak już wspominałem, turyści niewiele go obchodzili. Dla niego byli jak osy. Jasne było – od chwili, gdy odkryto Budowle – że musiały się zlecieć i trudno. Tak długo, jak nie wykonywało się gwałtownych ruchów, nie trzeba było się przejmować.

– Proszę trzymać się grupy. Nie oddalać się. *Stay close*. – Ojciec spojrzał na mnie. – Ty też.

Poprowadził całą grupę do końca głównego korytarza. Wspięliśmy się po schodach na piętro. Stopnie trzeszczały pod naszymi stopami. Wysoki mężczyzna, pewnie Skandynaw, szedł ostatni. Linoleum, którym przykryte były schody, ugięło się pod nim. Na szczęście on raczej tego nie widział, zbyt przejęty tym, że znalazł się w środku. Cały był czerwony na gębie, dyszał ciężko i to nie od włożenia po schodach. Oczekiwał, że coś tam znajdzie. Wydawało mu się, że to będzie najważniejszy dzień jego życia.

Odsetek tego typu wśród turystów nadal był spory, mimo, że minęło prawie dziesięć lat. Poszukiwacze objawień, tak nazywała ich Mama, a Ojca z jakiegoś powodu to irytowało. Nieraz przy śniadaniu krzywił się i sarkał z jajecznicą na widelcu, słysząc, jak Mama żartuje na ten temat. W tamtym czasie Ojciec w ogóle coraz mniej lubił, kiedy w domu rozmawialiśmy o Budowlach.

Wspinaliśmy się dłużej, niż powinniśmy. Schody przed nami wydłużały się, a przynajmniej takie miałem wrażenie. Sandały i adidas turystów wznosiły kurz zbierający się w Szpitalu w ogromnych ilościach. Ktoś zaczął kaszleć.

Ojciec dotarł do szczytu schodów jako pierwszy. Zwrócił się do sapiących i szurających zwiedzających. Ostrzegł, by poruszać się ostrożnie i obserwować go. Stawiać stopy dokładnie tam gdzie

on. Mówił spokojnie, ale zdecydowanie.

Turyści zapewne wyobrażali sobie, że chodzi o szlak: jeśli nie będą stawiać nóg w ślad za Ojcem, złamią regułę, zniszczą aurę, rozgniewają ducha Budowli... Kto wie, co chodziło im po głowach. Dzięki wycieczkom z Ojcem nauczyłem się, że ludzie potrafią stworzyć najbardziej wymyślne uzasadnienia dla w gruncie rzeczy prostych spraw.

Prawdziwy powód był taki, że Szpital znajdował się na granicy ruiny. Jeśli ktokolwiek mógł jeszcze do niego wchodzić, to tylko dlatego, że radni mieli miękkie serca wobec Przewodników i Ratusz przymknął oko. Ojciec zresztą wiedział wtedy, że to już nie potrwa długo. Stąd wzięła się decyzja Rady Koła, by wepchnąć w harmonogram tyle wycieczek po Szpitalu, ile Przewodnicy byli w stanie przerobić.

## ANDRZEJ

Obudziłem się rano. Patrzyłem, jak za oknem ludzie wsiadają do samochodów albo jadą na rowerach. Zrobiłem dziesięć pompek i wszedłem do kuchni. Stół znaczyło pobojuwisko ostatniej nocy. Moi współlokatorzy znowu pili. Ja w ich wieku zachowywałem się pewnie tak samo. Chociaż nie. Byłem frajerem, któremu wydawało się, że jeśli tylko odhaczy każdą aktywność na studiach, wszystkie te koła naukowe i wolontariaty, wyciśnie z wykładowców wiedzę, będzie pokazywać, że mu zależy, że nie jest jak inni, którzy najchętniej po prostu patrzyliby, jak życie przechodzi obok nosa, to „świat” doceni jego wyjątkowość. Tak naprawdę żałowałem, nadal czasem żałuję, że nie piłem jak oni. „Oni” to Marcin, Krzysiek i Cela. Byli czymś w rodzaju bandy hipisów. Ja ich tak nie nazywałem, ale wiem, że ktoś mógłby tak powiedzieć i trudno byłoby się z nim nie zgodzić. Krzysiek wprowadził się jako ostatni i od tego czasu spędzali we trójkę dużo czasu. Czasem siedziałem z nimi w kuchni. Było fajnie. Czułem się wtedy

trochę młodziej. Jakbym znowu studiował. Jakbym miał szansę, żeby coś zmienić.

Postawiłem czajnik na gazie i poszedłem do łazienki. Ochlapałem twarz zimną wodą. Kiedy byłem mały, nienawidziłem tego, a z czasem wkładanie twarzy pod lodowaty strumień stało się dla mnie tożsamy z dobrym początkiem dnia. Rzeczy jednak czasem zmieniały się na lepsze.

Wróciłem do kuchni i zalałem wrzątkiem kawę, którą przygotowałem sobie poprzedniego wieczoru. Stała w kubku z napisem „Road 66” i czekała na mnie. Lubiłem pić taką z fusami. Gęstą. Czarną.

Była sobota. Dzień, który należy zaczynać z czystą głową.

Wyszedłem z mieszkania i zbiegłem z czwartego piętra na jasną ulicę. Czekali na mnie.

Jeden gruby i elegancki, drugi wymiętoszony i łysy. Od razu rozpoznałem, kim są, chociaż nigdy wcześniej nie miałem z nimi do czynienia. Zaprosili mnie do auta, które musiało być nieoznakowanym radiowozem. Udałem, że ich ignoruję. Szedłem w swoją stronę. Łysy otworzył drzwi do samochodu i powiedział, żebym wsiadał. Bez zbędnych uprzejmości. Gruby się nie ruszył. Palił, oparty o auto. Szerokie plecy, w obszernym, wypranym z kolorów płaszczu, ocierały się o szybę. Rzucił mi spojrzenie. „Spojrzenie”. To była gra. Gra na siłę. Na strach. Drugi odchrząknął i chwycił mnie za ramię. Zrobił to szybko, pewnie, ale nie gwałtownie. Mógłby w ten sposób złapać niegrzeczne dziecko, o którym wiedziałby, że jest niegrzeczne nie z własnej winy. Trzeba je usadzić. Dać cukierka. W końcu się uspokoi. „To nie jest złe dziecko”.

– Spieszę się – powiedziałem.

– Podwieziemy cię – odparł łysy.

Gruby zgasił papierosa na karoserii i otrzepał ręce. Jakby właśnie wykonał pracę. Albo właśnie zbierał się, żeby jakąś wyko-



nać.

Patrzyłem na nich obojętnie. Przez chwilę. Skinąłem głową i wsiadłem do auta. Gruby zajął miejsce za kierownicą, jego kolega obok. Silnik zajazgotał i ruszyliśmy. Ulice były w większości puste. Sobota koło jedenastej. Ludzie siedzieli w domach i oglądali seriale. Tylko niektórzy emeryci odbywali wędrowniki po sklepach – kupowali bułki w piekarni i włoszczyznę na rosół.

Dobra pora dnia.

Łysy i gruby byli spokojni. Co jakiś czas wymieniali spojrzenia. Zorientowałem się, że wcale nie jedziemy w stronę komisariatu, ale o nic nie pytałem. To już nie miało sensu. Skoro wsiadłem, to wyraziłem zgodę na wszystko. Domyślałem się zresztą, o co chodzi. Tamtego przedpołudnia Ojciec chciał mieć mnie na oku.

# Wojciech Wróbel:

## TRZY NARRACJE PIERWSZOOSOBOWE:

Patrycja, Artur i Andrzej

## GATUNEK:

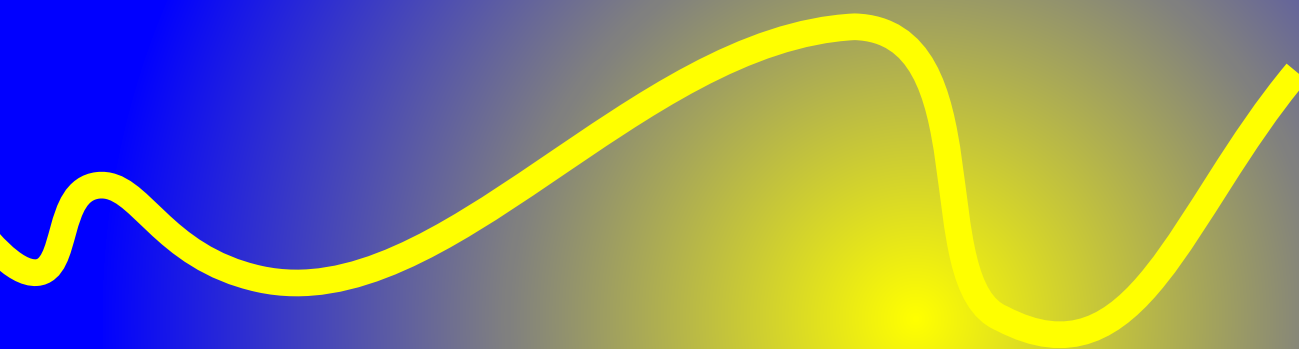
*Urban science-fiction / horror*

Artur, Patrycja i Andrzej Skargowie są rodzeństwem. Ich ojciec, Jerzy, jest przewodnikiem oprowadzającym turystów z różnych stron świata po tajemniczych Budowlach, które przed dziesięcioma laty zaczęły pojawiać się w Gdańsku. Przybyszom z zewnątrz Budowle wydają się dziwacznymi ciekawostkami i tłumnie przybywają, by zobaczyć ich wymykające się prawom fizyki wnętrza. Dla rodzeństwa stanowią one jednak niebezpieczną tajemnicę. Ich intuicja okazuje się słuszna, gdyż najpierw w jednej z nowo odkrytych Budowli – Czarnym Janku – znikają przyjaciele Artura, a później z akcji ratunkowej nie wraca ojciec. Mimo różnicy temperamentów i konfliktów, które ich dzielą, rodzeństwo zaczyna współpracować, by uratować zaginionych i rozwikłać zagadkę Budowli. Szybko odkrywają, że przyjaciele ojca z Koła Przewodników nie są tak naprawdę chętni do poszukiwań. Podobny stosunek do sprawy ma Służba

Eksploacyjno-Rozpoznawcza, rządowa instytucja zajmująca się odkrywaniem nowych Budowli. Jedynymi ludźmi, którzy mogą pomóc rodzeństwu, okazują się członkowie tajnej organizacji, jaka powstało wokół fenomenu. Dzięki współpracy z nimi Artur, Patrycja i Andrzej dowiadują się, że Budowle zmieniają się pod wpływem kontaktu z odwiedzającymi je ludźmi. Dochodzą do wniosku, że muszą „przekonać” Czarnego Janka do wypuszczenia ich ojca. Zanim jednak zdążą zrealizować swój plan, Budowle w całym mieście zaczynają przekształcać się na niespotykaną dotąd skalę – infekując przy tym zwyczajne budynki. Domy, urzędy, szkoły i kościoły zaczynają się przemieniać. W Gdańsku wybucha panika. Rodzeństwu udaje się przedostać do środka Czarnego Janka i tam każde z nich snuje swoją opowieść mającą na celu odsłonięcie we wnętrzu Budowli drogi do ojca. Dotychczasowe narracje w czasie przeszłym okazują się właśnie historiami opowiedzianymi Czarnemu Jankowi / czytelnikowi w momencie, gdy historie rodzeństwa docierają do momentu wejścia do Budowli: czas przeszły zostaje zastąpiony teraźniejszym.

Rodzeństwo znajduje ojca, ale nie udaje im się odnaleźć przyjaciół Artura. Okazuje się, że Jerzy postanowił schować się w Budowli, ponieważ zauważył u siebie objawy wczesnej demencji i nie chciał, by rodzina oglądała, jak powoli zapada się w sobie. Na prośbę dzieci wraca jednak do domu. Rozrost Budowli wówczas ustaje. Wydaje się, że rodzina Skargów odzyskała

spokój – rodzeństwo pojednało wspólne doświadczenie, a ojciec uczy się godzić ze swoim pogarszającym się stanem zdrowia. Jednocześnie fenomen Budowli pozostaje niezrozumiały, a społeczne podziały wywołane przez ich pojawienie się i rozrost nie znikną z dnia na dzień. Odmieniony Gdańsk i rodzinę Skargów czeka skomplikowana przyszłość.



# O autorach

## **Marta Biłobran**

Ur. 1980. Przygodę z pisaniem zaczęła w Klubie Otwartej Szufłady Aleksandry Makulskiej. Brała udział w warsztatach pisania historii osobistych u Mikołaja Grynberga, ukończyła Kurs Pisania Powieści KMLU 2021/2022. Autorka opowiadań, z których dwa zostały nagrodzone w konkursach (*Nie jesteśmy znikąd* oraz *Opowieści z Digipunktem*). Opiekunka dwóch nie zawsze grzecznych suczek. Rogata dusza ze skłonnością do melancholii.

## **Kamil Kosowski**

Ur. 1988. Nie jest pisarzem. Kiedyś tylko trochę czytał i ukończył z tego wszystkiego polonistykę. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Później za mocno zaciągnął się węglem.

## **Joanna Łepicka**

Pracuje w wydawnictwie i muzeum. Studiuje krytykę literacką na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mieszka w Nowej Hucie. Od 2019 roku prowadzi klub czytelniczy Sztuka Opowieści.

## Olga Górska

Urodziłam się w Radomiu w 1988 roku w sierpniu. Znacząco, w połowie sierpnia. Właściwie w pierwszej połowie sierpnia. Z zawodu urzędniczka, z wykształcenia humanistka, z pochodzenia proletariuszka. Autorka kilkudziesięciu opowiadań, niektóre ukazały się w druku. Przede wszystkim czytelniczka. We wszystkich uniesieniach w życiu towarzyszyły mi książki.

Mieszkałam w Lublinie, Gdańsku, Katowicach, Krakowie i Londynie, gdzie oddawałam się życiu, miłości i pracy. Jako dziewczynka lubiałam grać w piłkę (napastniczka), oglądać *Króla Lwa* i chodzić do kościoła. W dorosłym życiu lubię spać, oglądać stare filmy i słuchać soulu z lat 60.

## Bartosz Gromek

Rocznik '96. Z wykształcenia i zawodu programista, w czasie wolnym miłośnik literatury i teatru. Podejmuje nieśmiało próby pisarskie, czując ogromny respekt przed tymi, którzy poświęcili temu całe życie. Stara się jak najlepiej łączyć prozę życia z pielęgnowaniem marzeń i poznawaniem samego siebie.

Lubi się ruszać – szczególnie długie spacerunki i intensywne treningi, ale uwielbia też lenistwo, zwłaszcza w towarzystwie dobrego jedzenia i serialu. Ma słabość do gier, przede wszystkim szachów i pokera.

Chciałby kiedyś napisać książkę, żeby być sławnym i uznanym za mądrego, zabawnego i wrażliwego. Planuje studia psychologiczne.

## Tomasz Jedoń

Jako copywriter / creative writer / content writer (niepotrzebnie skreślić) pisał już praktycznie o wszystkim. Taka praca zapewnia mu codzienne rozpisanie, ale niekoniecznie twórczą satysfakcję. Ciężko bowiem o stan pisarskiego zadowolenia, tworząc teksty o wtryskarkach, bloczkach betonowych czy palisadach ogrodowych. Udział w kursie pozwolił mu wreszcie skupić się na literackiej wędrówce w głąb swoich rozedrganych zwojów mózgowych i poruszyć zalegającą tam chaotyczną materię, z której udało się ulepić pewną historię. Autor wierzy, że to nie jedynie wybryk w biografii, lecz początek pisarskiego tournée.

### Monika Mańka

Ur. 1989. Krytyczka literacka, lektorka. Publikowała m.in. w „Przekroju”, „Fabulariach”, „Tlenie Literackim”. Fragment *Świtu* ukaże się w jednym z najbliższych numerów magazynu „Tekstualia”.

Pierwsze opowiadanie napisała w wieku 13 lat. Jak stereotypowa introwertyczka kocha książki, kawę, koty. Obecnie mieszka w Warszawie, wcześniej w Londynie, Budapeszcie, Wrocławiu, Chengdu.

### Adam Pawłowski

Za dnia specjalista IT, ekspert od danych. Wieczorami neurokognitywista. Nocami pisarz. Uwielbia ćwiczyć na siłowni, jeździć na rowerze i eksplorować nowe tereny. Jeżeli ma chwilę, ogląda mecze ligi angielskiej, tworzy muzykę, czasem nawet przeczyta jakąś książkę. Inspiracje do pisania czerpie przede wszystkim z przeczytanych lektur i swojego burzliwego życia. W twórczości odwołuje się do literatury współczesnej, pism filozoficznych i koncepcji naukowych.

### Agnieszka Rynkowska

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, od zawsze pasjonatka literatury. Powtarza za Vedraną Rudan, że nie można pisać o życiu, jeśli się go nie przeżyło. (Tak naprawdę wie, że można, ale chce inaczej).

Tropicielka niuansów długotrwałych, z pozoru stabilnych relacji i dojrzewania po czterdziestce. Praktyk pisania ekspresywnego. Píše powieść w gatunku *domestic noir*. Historia opowiada o ryzykownej próbie radzenia sobie z rzeczywistością przez czytanie cudzych listów i próbach naprawiania cudzego życia.

Prywatnie: matka trójki „dzieciaków” (21, 17 i 12 lat), żona twarodo stąpającego po ziemi inżyniera, przyjaciel kilku całkiem wyjątkowych postaci.

Zawodowo: praktyk i trener zarządzania, superwizor trenerów i konsultant. Ponad 20 lat pracy w organizacjach z bardzo różnorodnymi ludźmi, często w trudnych dla pojedynczych osób

i całych zespołów momentach zawodowych. Autor i realizator kilkudziesięciu programów rozwojowych. Wierzy w mądrą autentyczność.

### **Wojciech Wróbel**

Ur. 1996. Absolwent Zespołu Szkół Plastycznych w Gdyni Orłowie oraz Kolegium Artes Liberales na Uniwersytecie Warszawskim. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Ukończył kurs pisania scenariuszy w Gdyńskiej Szkole Filmowej. Kiedy miał czternaście lat, przeczytał opowiadanie swojego najlepszego przyjaciela Jasia i uznał, że też tak chce. Dlatego zaczął pisać. Jego opowiadania, inspirowane twórczością Edgara Allana Poe oraz Zdzisława Beksińskiego, ukazały się w 2019 roku w magazynie „Histeria”. Mieszka w Gdańsku Wrzeszczu, gdzie czyta, ogląda i gra – najchętniej w klasyczne papierowe erpegi.



# O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

W styczniu 2022 roku zakończyła się kolejna edycja Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Podczas dziesięciu weekendów dwanaścioro początkujących pisarzy i pisarek dziesięcioro zamieściło swoje teksty w niniejszej antologii szlifowało swoje pomysły na powieści i opowiadania pod okiem specjalistów.

Nad pracą uczestników czuwało dwóch mentorów. Jeden z nich to Filip Modrzejewski – wykładowca Jagiellońskiego Kursu Typografii w Krakowie, założyciel Stowarzyszenia Magurycz, wieloletni redaktor w Wydawnictwie W.A.B., pracował nad książkami autorstwa między innymi Mariusza Czubaja, Macieja Płazy, Zyty Rudzkiej, Aleksandry Zielińskiej czy Janusza Rudnickiego. Drugim mentorem był Paweł Goźliński – wykładowca, pisarz, a także redaktor naczelny Wydawnictwa Agora i współzałożyciel Instytutu Reportażu.

Uzupełnieniem warsztatów był trening z psychologiem twórczości Arkadiuszem Matrasem oraz panel z wydawcami z Marginesów i Ha!artu – Adamem Pluszką oraz Martą Syrwid. Uczestnicy przedstawili wydawcom swoje pomysły na powieści i opowiadania. W programie znalazł się również wykład specjalistki od prawa autorskiego Anny Rucińskiej. Jeden z weekendów uczestnicy spędzili z Jakubem Żulczykiem, który pokazał im specyfikę swojego zawodu i przeprowadził zaawansowane warsztaty storytellingu.

Kurs, którego program stworzyły Karolina Macios i Magdalena Zielińska – redaktorki z wieloletnim doświadczeniem wydawniczym, jest elementem programu wsparcia debiutów literackich Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada wyróżniająca najlepszych debiutantów i ułatwiająca im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

Kurs Pisania Powieści KMLU odbywa się co roku między wrześniem a styczniem. Nabór rozpoczyna się niezmiennie na przełomie maja i czerwca.

Więcej informacji znajdziesz na stronie [pisz.miastoliteratury.pl](http://pisz.miastoliteratury.pl).

SZKOŁA  
PISANIA  
KMLU



Copyright © for texts by Authors 2022  
Copyright © for this edition by KBF 2022

Wydawca i organizator:  
KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektorka KBF:  
Magdalena Doksa-Tverberg

Kierowniczką zespołu Krakowa Miasta Literatury UNESCO:  
Urszula Chwalba

Koordynatorka Szkoły Pisania KMLU:  
Oliwia Fryc

Program Kursu Pisania Powieści:  
Karolina Macios, Magdalena Zielińska

Redakcja:  
Filip Modrzejewski

Współpraca redakcyjna:  
Karolina Hołu, Maria Świętkowska

Korekta:  
Dorota Dziunikowska, Izabela Krokowska, Anna Mazur, Marek Mikos,  
Justyna Skalska, Barbara Skowrońska, Grzegorz Słącz, Bartosz Suchecki

Kreacja graficzna:  
Nina Gregier Proste Kreski

Skład i łamanie:  
Polkadot Studio Graficzne

Koordinacja graficzna:  
Weronika Kierzkowska

Kontakt z autorami:  
[pisz@miastoliteratury.pl](mailto:pisz@miastoliteratury.pl)

 **Kraków**

**kbf:**  
operator programu

 **KRAKÓW**  
MIASTO LITERATURY  
UNESCO

